

CHARLIE DONLEA

NIEKTÓRZY WYBIERAJĄ MROK,
PO INNYCH CIEMNOŚĆ SIĘGA SAMA.

ZŁO
KRYJE SIĘ
W
MROKU



FILIA

CHARLIE DONLEA

**ZŁO
KRYJE SIĘ
W
MROKU**

Przełożył
Adrian Napieralski

FILIA

*Cecili A. Donat –
babce ciotecznej, starszej pani, przyjaciółce*

*Obawiam się, że piszę requiem
na własną śmierć.*

– Wolfgang Amadeusz Mozart

Uderzenie

Chicago, 9 sierpnia 1979 r.

Pętla zacisnęła się wokół jego szyi, a niedobór tlenu sprawił, że odczuł wyjątkowe połączenie euforii i paniki. Schodząc ze stołka, pozwolił, żeby nylon przyjął pełny ciężar jego ciała. Ci, którzy nie rozumieli, czym jest Uderzenie, uznaliby jego konstrukcję za barbarzyńską, ale tak naprawdę tylko on znał jej potencjał. Uderzenie zapewniało odczucia znacznie wykraczające ponad wszystko to, co dawały jakiegokolwiek narkotyki. Nie było na świecie niczego innego, co gwarantowałoby choćby zbliżone doświadczenia. Ujmując sprawę prościej, było wszystkim, dla czego żył.

Kiedy zszedł ze stołka, lina, do której przymocowana była nylonowa pętla, jęknęła pod wpływem ciężaru jego ciała, wijąc się w rowkowej obręczy krążka i pozwalając mu zsunąć się na podłogę. Opierała się na kołowrocie, przechodziła spodem kolejnego krążka i owijała się wokół trzeciego, aż w końcu docierała do korby, układając się w kształt litery „M”.

Do drugiego końca liny został przymocowany kolejny pas miękkiego nylonu, który ofiara miała owinięty wokół szyi. Za każdym razem, kiedy schodził z bezpiecznego poziomego stołka, nylon na jego gardle przejmował jej ciężar, gdy w niemal magiczny sposób

zaczynała lewitować nad ziemią w odległości niecałych dwóch metrów od niego.

W końcu przestała panikować. Nie szarpała się i nie wierzgała już więcej. Kiedy się uniosła, uczucie było bajeczne. Uderzenie nasyciło jego duszę, a obraz jej, unoszącej się w powietrzu, utrwalił mu się w mózgu. Wytrzymał jej ciężar tak długo, jak tylko potrafił, balansując na krawędzi utraty przytomności i ekstazy. Zamknął na moment oczy. Pragnienie utrzymywania tego stanu było bardzo kuszące, ale zdawał sobie doskonale sprawę, jakie niebezpieczeństwa na niego czyhają, jeśli posunie się za daleko. Mimo to nie potrafił się temu oprzeć.

Czując naprężony wokół gardła nylon, skoncentrował spojrzenie na wpół przymkniętych oczu na ofierze wiszącej naprzeciw niego. Pętla zaciskała się na szyi, zamykała tętnicę szyjną i wywoływała plamy w polu widzenia. Poddał się temu na moment, zamykając oczy i idąc ku ciemności.

Tylko na moment, tylko na krótką chwilę.

Pokłosie

Chicago, 9 sierpnia 1979 r.

Kiedy wrócił do rzeczywistości, otworzył usta, by zaczerpnąć powietrza, ale nie poczuł jego zbawiennego napływu. W poczuciu paniki wymacał stopą krawędź stołka, aż palce natrafiły na drewnianą powierzchnię. Stał na nim i zwolnił nacisk na szyi, chwytając gwałtownie powietrze, podczas gdy ofiara opadała na podłogę tuż przed nim. Kiedy dosięgła betonu, nogi nie zapewniły wsparcia dla jej ciała. Zamiast tego, opadła bezwładnie, a ciężar jej ciała pociągnął jego koniec linki, aż gruby węzeł bezpieczeństwa oparł się po jego stronie krążka, zapewniając luz pętli na jego szyi.

Ściągnął nylon przez głowę i zaczekał, aż z jego skóry zniknie zaczerwienienie. Zdawał sobie sprawę, że tym razem posunął się za daleko. Choć zawsze zakładał ochronny kołnierz, będzie musiał znaleźć sposób na ukrycie ciemnoczerwonego sińca na szyi. Postanowił, że zacznie zachowywać dużo większą ostrożność niż kiedyś. Sensacja goniła sensację, w gazetach publikowano kolejne artykuły. Władze wystosowały ostrzeżenia, a ogólny strach stawał się tego gorącego lata coraz bardziej wyczuwalny. Przez rosnący niepokój społeczeństwa zaczął działać ostrożniej, planować bardziej szczegółowo i dokładniej zacierać ślady. Znalazł doskonałe miejsce, w którym mógł ukrywać ciała. Coraz trudniej było mu panować nad

Uderzeniem i obawiał się, że woal okrywający jego sekretne życie zostanie zerwany przez jego własną nieumiejętność maskowania uniesienia, które towarzyszyło mu każdorazowo przez wiele dni po zakończeniu sesji. Wiedział, że musi działać z głową, żeby czuć się bezpiecznie, że musi się przycisnąć i poczekać na ustąpienie paniki. Ale Uderzenie coraz bardziej nie pozwalało się ignorować. Od niego zależało całe jego istnienie.

Siedział na stołku i odwrócił głowę w stronę ofiary. Zaczekał chwilę, żeby opanować emocje. Kiedy był gotów, podszedł do ciała, aby rozpocząć procedurę sprzątnięcia i przygotowania go do transportu następnego dnia. Kiedy skończył, zamknął swoją kryjówkę na klucz i wsiadł do samochodu. Jazda do domu w niewielkim stopniu uciszyła szczątkowe efekty działania Uderzenia. Kiedy zaparkował przy krawężniku, zobaczył, że światła w domu są pogaszone. To dobrze. Wciąż drżał na całym ciele i nie był w stanie zdobyć się na normalną rozmowę. Kiedy wszedł do środka, rozebrał się i wrzucił ciuchy do pralki, po czym wziął szybki prysznic i położył się do łóżka.

Poruszyła się, kiedy zaczął poprawiać na sobie kołdrę.

- Która godzina? - zapytała, nie otwierając oczu, z głową zatopioną głęboko w miękkiej poduszce.

- Późno. - Pocałował ją w policzek. - Śpij.

Zarzuciła mu nogę na biodro i położyła rękę na jego piersi. Leżał na plecach i gapił się w sufit. Zwykle po powrocie udawało mu się uspokoić i zasnąć dopiero po kilku godzinach. Zamknął oczy i skupił się na kontrolowaniu adrenaliny, która wciąż buzowała w jego żyłach. Odtwarzał w głowie ostatnie wydarzenia. Nigdy nie udawało mu się przypomnieć wszystkiego, ani krótko po, ani później. Wiele szczegółów zacznie powracać dopiero w nadchodzących tygodniach. Jednak dziś, za zamkniętymi powiekami, jego gałki

oczne pląsały nerwowo, kiedy jego mózg próbował przywołać krótkie migawki z wieczora. Twarz ofiary. Przerazenie w jej oczach. Nylonowa pętla pod ostrym kątem na jej szyi.

Obrazy i dźwięki przemykały w jego pamięci z prędkością błyskawicy, a kiedy skupiał się na odtwarzaniu swoich fantazji, pościel obok niego się poruszyła. Przyłgnęła bliżej do jego boku. Czując szaleństwo Uderzenia we krwi i dudnienie w uszach, kiedy w rozszerzonych naczyniach krwionośnych krążyły endorfiny, pozwolił jej pocałować się w szyję i w ramię. Pozwolił, żeby jej dłoń powędrowała pod gumkę bokserek. Uderzenie przejęło nad nim kontrolę i przetoczył się na nią. Nie otworzył oczu, kiedy jęknęła - jego mózg to po prostu odfiltrował.

Pomyślał o swoim miejscu pracy. O ciemności. O tym, jak leżał nago, kiedy tam był. Przyjął powolny rytm i skupił się na kobiecie, którą tam sprowadził tego wieczoru. Na kobiecie, która lewitowała przed jego oczami niczym duch.

Słodki zapach róż

Kobieta przykucnęła w ogrodzie, przyłożyła sekator do nasady róży i przecięła łodygę. Powtórzyła tę czynność kilkakrotnie, aż zebrała sześć długich kwiatów. Weszła po schodach na tylną werandę, położyła róże na stole i usiadła w bujanym fotelu. Patrzyła w stronę pola i zobaczyła dziewczynkę, która po chwili przybiegła, wspięła się po stopniach i do niej podeszła.

Głos miała wysoki i niewinny, taki, jaki powinny mieć wszystkie dzieci.

- Dlaczego zawsze zabierasz róże z ogrodu? - zapytała.

- Bo są przepiękne. A jeśli zostawić je w spokoju, w końcu by zwiędły i umarły. Susząc je, zapewniam im lepsze życie.

- Chcesz, żebym je związała? - spytała dziewczynka.

Miała dziesięć lat i była czymś najśłodszym, co kiedykolwiek pojawiło się w życiu kobiety. Wyjęła z fartucha drucik w osłonce i podała dziewczynce, która po chwili zaczęła ostrożnie podnosić róże. Unikając kolców, owinęła drucik wokół łodyg i zaciskała go, aż powstał w ten sposób mały bukiet.

- Co zrobisz z tymi kwiatami? - zapytała.

Kobieta odebrała od niej tę śliczną wiązankę.

- Idź, proszę, i posprzątaj przed kolacją.

- Obserwuję, jak zbierasz je każdego dnia, a potem je dla ciebie wiążę. Później jednak nigdy już ich nie widzę.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Mamy po kolacji trochę pracy. Pozwolę ci pomalować dziś wieczorem, jeśli uważasz, że masz wystarczająco pewną rękę.

Kobieta miała nadzieję, że taka przynęta wystarczy, by zmienić temat rozmowy.

Mała się uśmiechnęła.

- Pozwolisz mi malować zupełnie samej?

- Tak. Czas, byś zaczęła się uczyć.

- Spiszę się dobrze, obiecuję - odparła dziewczynka i wbiegła w głąb domu.

Kobieta zaczekała chwilę, aż usłyszała dobiegający ze środka brzęk naczyń. Wstała z bujanego fotela, starannie ułożyła nowo spięte róże, po czym zeszła z werandy na pole za domem. Słońce już zachodziło i cienie brzoź mocno się wydłużyły.

Idąc, przysunęła kwiaty do nosa i zaczęła wdychać słodki zapach róż.

Część 1

Złodziej

Rozdział 1

Chicago, 30 września 2019 r.

Bóle w klatce piersiowej pojawiły się w ubiegłym roku.

Nigdy nie padły żadne pytania związane z ich źródłem. Nadchodziły w chwili stresu, a lekarze zapewniali go, że nigdy nie doprowadzą one do jego śmierci. Dzisiejszy epizod był jednak szczególnie niepokojący, ponieważ wyrwał go ze snu, całego zlanego zimnym potem. Próbował zassać powietrze, ale odnosił wrażenie, że oddycha przez słomkę. Im bardziej pracował nad zaczerpnięciem tlenu do płuc, tym większy niepokój go ogarniał. Usiadł na łóżku i zaczął walczyć ze strachem przed uduszeniem się.

Z doświadczenia wiedział, że te epizody w końcu mijają. Sięgnął po buteleczkę z tabletkami aspiryny, którą trzymał w szufladzie stolika nocnego, i umieścił jedną z nich, wraz z pigułką nitrogliceryny, pod językiem. Po dziesięciu minutach mięśnie w jego klatce piersiowej się rozluźniły i płuca w końcu zdołały się rozszerzyć.

Nie było żadnym zbiegiem okoliczności, że ten ostatni atak anginy zbiegł się z przyjściem listu z komisji zwolnień warunkowych, który leżał na stoliku. Zanim zasnął, przeczytał go uważnie. Do listu dołączone było pismo od sędziego, w którym wzywał go on na spotkanie. Zabrał dokument i wstał z łóżka. Kiedy schodził na dół, do swojego biura, czuł, że przesiąknięta potem koszulka przykleiła mu

się do ciała. Przekręcił zamek szyfrowy w sejfie pod biurkiem i otworzył drzwiczki. Wewnątrz znajdował się stos wcześniejszych listów od komisji zwolnień warunkowych, do którego dołączył ten ostatni.

Pierwsza korespondencja dotycząca przesłuchań przyszła do niego dziesięć lat wcześniej. Dwa razy w roku komisja spotykała się z jego klientem i odmawiała mu wyjścia na wolność. Decyzję uzasadniano, dobierając stosowne słownictwo, które było silniejsze od apelacji i protestów. Jednak w ubiegłym roku przysłano do niego zupełnie inny dokument. Była do długa recenzja napisana przez prezesa komisji, który z bogactwem szczegółów opisał, jak ogromne wrażenie wywołały postępy jego klienta dokonane na przestrzeni ostatnich lat i że ów klient stanowił prawdziwą definicję resocjalizacji. Właśnie po przeczytaniu ostatniego zdania w tym liście, wyrażającego entuzjazm komisji zwolnień warunkowych i sugerującego, że przed jego klientem rozciągają się świetne możliwości, zaczął odczuwać te bóle w klatce piersiowej.

Ostatni list oznaczał przyjazd wolno zbliżającego się pociągu, który wiózł ładunek w postaci bólu, rozpacz, tajemnic i kłamstw. Pociąg ten do tej pory zawsze był jedynie małą kropką na horyzoncie, nigdy nieczyniącą żadnych postępów. Teraz jednak zmienił się w ogromny skład, który rósł każdego dnia i pomimo wielu wysiłków nie dawał się zatrzymać.

Siedząc za biurkiem, popatrzył na środkową półkę sejfu. Leżała na niej opasła teczka z dokumentami dotyczącymi śledztwa. Bardzo żałował, że brał w tym wszystkim udział, szczególnie gdy nachodziły go chwile smutku i żalu, jak dziś. Konsekwencje tych odkryć były jednak bardzo poważne i miały taki wpływ na jego życie, że gdyby tego nie doświadczył, dziś nie miałby nic. Dodatkowo świadomość,

że jego własne kłamstwa i oszustwa mogą wkrótce wyjść z cienia, w którym spoczywają od wielu lat, była wystarczająca, żeby doprowadzić do fizycznego bólu serca.

Starł warstewkę potu z czoła i zmusił płuca do zaczerpnięcia kilku oddechów. Najbardziej bał się teraz tego, że jego klient będzie wkrótce wolny i wznowi swoje poszukiwania. Śledztwo, które zostało uznane za bezowocne, odrodzi się na nowo, kiedy jego klient opuści mury więzienia. Rozumiał, że nie może do tego dopuścić. Musi zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby temu zapobiec.

Siedział samotnie w swoim biurze i poczuł nową falę chłodu, kiedy jego nasiąknięta koszulka przywarła do ramion. Zamknął sejf i obrócił pokrętko. Bóle w piersi powróciły, płuca znów się zacisnęły. Odchylił się więc na krzesło, żeby zwalczyć nawracającą panikę przed uduszeniem.

To minie.

Zawsze mijało.

Rozdział 2

Chicago, 1 października 2019 r.

Rory Moore założyła szkła kontaktowe, poruszyła gałkami ocznymi i zamrugła, żeby złapać ostrość widzenia. Nie znosiła sposobu, w jaki jej okulary ze szkiełkami grubości denek od butelek odzwierciedlały otaczającą rzeczywistość - serwowały wykrzywiony i zniekształcony świat w porównaniu z ostrością zapewnianą przez soczewki - lubiła jednak chronić się za ich grubymi oprawkami. Wszystko sprowadzało się zatem do kompromisu. Kiedy szkła kontaktowe dopasowały się w końcu do jej gałek ocznych, założyła okulary zerówki i schowała się za ich plastikowymi ramkami niczym wojownik kucający za tarczą. Dla Rory każdy dzień był dniem walki.

Umówili się na spotkanie w Harold Washington Library Center na State Street i trzydzieści minut po założeniu przez Rory ochronnego pancerza w postaci okularów w grubych oprawkach, zaciągniętej nisko na czoło czapki i zapiętego po szyję płaszczka z uniesionym kołnierzem, wysiadła z samochodu i weszła do budynku biblioteki. Pierwsze spotkania z klientami zawsze umawiała w publicznych miejscach. Dla większości kolekcjonerów stanowiło to często nie lada problem, ponieważ oznaczało konieczność wnoszenia tam cennych trofeów. Jeśli jednak chcieli skorzystać z usług Rory Moore i

jej umiejętności w zakresie rekonstrukcji, musieli stosować się do wyznaczanych przez nią reguł.

Dzisiejsze spotkanie wymagało więcej uwagi niż zazwyczaj, ponieważ zostało zorganizowane w ramach przysługi dla detektywa Rona Davidsona, który był nie tylko jej zaufanym przyjacielem, ale jednocześnie szefem. Biorąc pod uwagę, że stanowiło to jej dodatkową pracę lub „hobby”, jak irytująco lubili to nazywać inni, poczuła się w pewnym sensie zaszczycona, że to Davidson się z nią skontaktował. Nie każdy rozumiał skomplikowaną osobowość Rory Moore, jednak na przestrzeni lat Ron Davidson zdołał pozyskać sobie u niej szacunek. Kiedy prosił o przysługę, Rory nigdy się nie wahała.

Gdy weszła do biblioteki, natychmiast rozpoznała lalkę Kestner schowaną w podłużnym, cienkim kartonie, który miał w rękach czekający w holu mężczyzna. Wystarczył jej szybki rzut oka na trzymającego pudełko jegomościa, żeby ocenić go bardzo pozytywnie. Jej mózg natychmiast „wyświetlił” jej przed oczami jego charakterystykę: po pięćdziesiątce, zamożny, profesjonalista w dziedzinie biznesu, medycyny lub prawa, gładko ogolony, w wypolerowanych butach i sportowym płaszczu, bez krawata. Natychmiast wykonała mentalny krok do tyłu i odrzuciła początkową koncepcję sugerującą lekarza lub prawnika. Zdecydowanie był on właścicielem jakiejś firmy, ubezpieczeniowej lub czegoś w tym rodzaju.

Zrobiła głęboki wdech, poprawiła okulary na nosie i podeszła bliżej.

- Pan Byrd?

- Tak - odparł. - Rory?

Mężczyzna, wyższy od niej o dobre trzydzieści centymetrów, spojrzał na nią z góry, czekając na potwierdzenie. Nie dostał

żadnego.

- Zobaczmy, co pan tam ma - powiedziała, wskazując starannie zapakowaną, porcelanową lalkę.

Przeszli do głównej części biblioteki. Pan Byrd podążył za nią do stołu stojącego w kącie sali. O wczesnej popołudniowej godzinie w bibliotece nie było zbyt wielu osób. Rory poklepała blat stołu i pan Byrd odłożył karton.

- W czym tkwi problem? - zapytała.

- To jest lalka Kestner należąca do mojej córki. Dostała ją w prezencie na piątą urodziny. Zachowała się w naprawdę doskonałym stanie.

Rory pochyliła się nad stołem, żeby przyjrzeć się lalce przez plastikowe okienko w kartonie. Porcelanowa twarzyczka została paskudnie uszkodzona na środku, a pęknięcie biegło od linii włosów, przecinało lewy oczodół i kończyło się na policzku.

- Upuściłem ją - dodał pospiesznie pan Byrd. - Nie mogę sobie wybaczyć, że byłem taki nieostrożny.

Rory skinęła głową.

- Mogę zerknąć?

Przysunął do niej karton. Rory ostrożnie odczepiła zatrzask i uniosła wieko. Przyjrzała się uszkodzonej lalce z pietyzmem godnym chirurga oceniającego stan uśpionego pacjenta na stole operacyjnym. - Pęknięta czy rozbita?

Pan Byrd sięgnął do kieszeni i wyjął woreczek strunowy, w którym spoczywały drobne kawałki porcelany. Rory zauważyła, jak pulsuje żyła na jego szyi, kiedy przełyka ślinę, żeby opanować emocje.

- To wszystko, co udało mi się odnaleźć. Zrzuciłem ją na panele, więc znalazłem chyba wszystkie kawałki.

Rory odebrała od niego woreczek i przyjrzała się odłamkom. Ponownie skupiła się na lalce i delikatnie przeciągnęła opuszkami palców po pękniętej porcelanie. W końcu uznała, że uszkodzenie powinno dać się łatwo naprawić. Odtworzenie policzka i czoła przyniesie efekty bliskie ideałowi. Oczodół stanowił niestety zupełnie inny problem. Będzie wymagał od niej wykorzystania wszystkich umiejętności i prawdopodobnie zaangażowania do pomocy jedynej osoby, która lepiej niż ona radziła sobie z naprawą lalek. Rory nie miała wątpliwości, że strzaskany kawałek znajdzie się w tylnej części główki. Naprawa w tym miejscu będzie stanowiła równie duże wyzwanie ze względu na włosy i niewielkie fragmenty porcelany w woreczku. Nie chciała wyjmować lalki z kartonu, dopóki nie wróci do swojej pracowni, w obawie, że z uszkodzonego miejsca odpadną kolejne kawałki.

Pokiwała powoli głową, nie spuszczać wzroku z lalki.

- Dam radę to naprawić.
- Dzięki Bogu - odparł z ulgą pan Byrd.
- Dwa tygodnie, może miesiąc.
- Dam pani tyle czasu, ile będzie konieczne.
- Poinformuję pana o cenie, kiedy tylko rozpocznę pracę.
- Koszty mnie nie interesują. Liczy się jedynie naprawa tej lalki.

Rory ponownie skinęła głową. Schowała woreczek z odłamkami do kartonu, zamknęła wieko i zapięła zatrzask.

- Będę potrzebowała pana numeru telefonu - oznajmiła.

Pan Byrd wyłowił z portfela wizytówkę i podał ją Rory. Zanim schowała ją do kieszeni, zerknęła na nią przelotnie: GRUPA UBEZPIECZENIOWA BYRD, WALTER BYRD, WŁAŚCICIEL.

Rory chwyciła karton i zaczęła wstawać, kiedy pan Byrd położył jej dłoń na ramieniu. Nigdy nie tolerowała dobrze dotyku obcej osoby i

niemal się skurczyła, kiedy powiedział:

- Lalka należała do mojej córki - wyznał cicho.

Rory natychmiast zwróciła uwagę na czas przeszły, którego użył w zdaniu. Zrobił to celowo. Spojrzała na jego dłoń, wciąż spoczywającą na jej ramieniu, po czym popatrzyła mu w oczy.

- Zmarła w ubiegłym roku - dodał pan Byrd.

Rory powoli usiadła. Zwyczajna osoba zareagowałaby słowami „przykro mi z powodu pańskiej straty” lub „rozumiem, dlaczego ta lalka tyle dla pana znaczy”, ale Rory bynajmniej nie była zwyczajna.

- Co się stało? - zapytała.

- Została zabita - odparł pan Byrd. Zabrał rękę i usiadł naprzeciw Rory. - Udużona, a przynajmniej tak sądzą. Jej na wpół zamrożone ciało znaleziono w Grant Park w styczniu.

Rory spojrzała na spoczywającą w kartonie lalkę Kestner, na jej zamknięte prawe oko, na otwarte lewe i głęboką szramę biegnącą przez oczodół. Zrozumiała, co się dzieje i dlaczego detektyw Davidson tak nalegał, żeby zgodziła się na to spotkanie. Była to typowa przynęta i jej szef doskonale wiedział, że Rory się na nią złapie.

- Nigdy go nie znaleziono? - zapytała.

Pan Byrd pokręcił głową i opuścił wzrok na lalkę swojej martwej córki.

- Nawet nie natrafili na jego ślad. Żaden z detektywów nie odpowiedział na moje telefony. Czuję, że po prostu odłożyli sprawę na półkę.

Obecność Rory w bibliotece tego ranka przeczyła stwierdzeniu pana Byrda, ponieważ to Ron Davidson namówił ją na to spotkanie.

Pan Byrd ponownie przeniósł na nią spojrzenie.

- Proszę posłuchać, to nie jest żadna zaplanowana akcja. Pewnego dnia sięgnąłem po lalkę Camille, bo bardzo tęskniłem za córką i chciałem potrzymać coś, co do niej należało. Upuściłem ją i pękła. Nie odważyłem się, żeby powiedzieć o tym żonie, tak bardzo czułem się winny, poza tym wiedziałem, jak bardzo by ją to przygnębiło. Ta lalka była ulubioną zabawką mojej córki przez całe jej dzieciństwo. Proszę mi wierzyć, naprawdę zależy mi na odrestaurowaniu. Detektyw Davidson wspomniał jednak, że pracuje pani jako rekonstruktor sądowy, że jest pani znana w całym Chicago i nie tylko. Zapłacę, żeby zrekonstruowała pani tę zbrodnię oraz znalazła człowieka, który zacisnął ręce na szyi mojej córki i pozbawił ją życia.

Spojrzenie pana Byrda stało się dla Rory zbyt przenikliwe i bez problemu przebiło się przez osłonę zapewnianą jej przez okulary. W końcu wstała, zabrała ze stołu karton i włożyła go pod ramię.

- Praca nad lalką potrwa miesiąc. Ta, którą będę musiała wykonać w sprawie pańskiej córki, znacznie dłużej. Na pewno będę z panem w kontakcie.

Rory opuściła bibliotekę i wyszła na zewnątrz, gdzie przywitał ją jesienny poranek. To delikatne wibrowanie w głowie poczuła natychmiast, kiedy ojciec Camille Byrd użył czasu przeszłego, mówiąc o córce. Był to niemal niewyczuwalny, ale wszechobecny szept słyszalny w uszach. Jej szef doskonale wiedział, że jest to wyjątkowe zjawisko, którego Rory nie potrafiła zignorować.

- Prawdziwy z ciebie drań, Ron - mruknęła pod nosem. Właśnie zrobiła sobie urlop od pracy w roli rekonstruktora sądowego, bo potrzebowała odetchnąć co pewien czas, żeby uniknąć wypalenia i depresji. Ostatnia przerwa była dłuższa od innych i zaczynała już wkurzać jej szefa.

Kiedy szła wzdłuż State Street w stronę swojego samochodu, trzymając uszkodzoną lalkę Camille Byrd pod pachą, Rory sobie uświadomiła, że jej wakacje właśnie dobiegły końca.

Rozdział 3

Chicago, 2 października 2019 r.

Jej telefon zabrzączał po raz piąty tego ranka i po raz piąty go zignorowała. Rory wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, wiążąc gumką ciemnobrązowe włosy. Nie należała do rannych ptaszków i z zasady nie odbierała żadnych połączeń do południa. Jej szef o tym wiedział, więc Rory nie miała żadnych skrupułów, by systematycznie go lekceważyć.

- Kto się do ciebie tak dobija? - Usłyszała dobiegający z sypialni głos.

- Widzę się z Davidsonem.

- Nie wiedziałem, że postanowiłaś wrócić do pracy - odparł mężczyzna.

Rory wyszła z łazienki i wsunęła zegarek na nadgarstek.

- Zobaczymy się dziś wieczorem? - zapytała.

- Dobra, nie będziemy o tym rozmawiać.

Rory podeszła do niego i pocałowała go w usta. Kim był dla niej Lane Phillips? Rory była zbytnią indywidualistką, by posługiwać się określeniem „chłopak”, poza tym po przekroczeniu trzydziestki uznała, że słowo to brzmiało cholernie dziecinnie. Nigdy nawet nie rozważała małżeństwa, choć sypiali ze sobą przez większą część minionej dekady. Ale Lane stał się dla niej kimś więcej niż tylko

kochankiem. Nie licząc jej ojca, był jedynym mężczyzną na tej planecie, który ją rozumiał. Lane był... jej facetem, to było najlepsze określenie, które udało się jej ukuć, i obojgu taki układ odpowiadał.

- Opowiem ci, kiedy będę miała coś do opowiedzenia. Teraz nie wiem, w co się pakuję.

- Niech ci będzie - odparł Lane, siadając na łożku. - Poproszono mnie o wizytę w roli świadka i eksperta na rozprawie o zabójstwo. Za kilka tygodni mam zeznawać, więc spotykam się dziś z prokuratorem stanowym. Potem czekają mnie wykłady do dwudziestej pierwszej. - Kiedy Rory spróbowała się odsunąć, uchwycił ją za biodra. - Jesteś pewna, że nie powiesz ani słowa o tym, do czego zwabił cię Davidson?

- Wpadnij wieczorem po zajęciach, to porozmawiamy.

Rory dała mu kolejnego całusa, odsunęła jego błędzące dłonie i wyszła z sypialni. Po chwili usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych.

Kiedy tkwiła w korku na Kennedy Expressway, jej telefon zadzwonił jeszcze dwukrotnie. Zjechała na Ohio Street i zaczęła pokonywać kolejne krzyżujące się uliczki Chicago. Przedarła się przez poranny ruch, aż dojechała do Grant Park, gdzie przez kwadrans krążyła wkoło po bocznych alejkach w poszukiwaniu miejsca do parkowania, które okazało się za małe nawet dla jej hondy. W jakiś sposób zdołała wykonać odważny manewr parkowania równoległego, nie wiedząc tak do końca, czy nie zakończy tego wszystkiego stuknięciem w czyjś zderzak.

W końcu przeszła tunelem biegnącym pod Lake Shore Drive, a następnie malowniczą ścieżką, aż znalazła się na wzniesieniu. Grant Park było wyjątkowym miejscem, które oddzielało wieżowce The Loop od nabrzeża. Park zawsze cieszył się popularnością wśród

turystów, a tego ranka nie było inaczej. Rory minęła tłum ludzi, zanim zauważyła Rona Davidsona siedzącego na ławce obok fontanny Buckingham.

Choć płaszcz miała zapięty po szyję, poprawiła go, uniosła kołnierz i docisnęła okulary do grzbietu nosa. Był ciepły październikowy poranek i mijający ją ludzie nosili koszulki i szorty, ciesząc się lekkim wiatrem wiejącym znad jeziora i blaskiem słońca. Rory założyła ciuchy na typowy jesienny ponury dzień: szary płaszcz z uniesionym kołnierzem, zapięty na każdy guzik, szare dżinsy i wojskowe buty Girl Eloisee, które nosiła zawsze i wszędzie, nawet w czasie upalnych letnich dni. Kiedy podeszła do detektywa, opuściła niżej na czoło luźną, wełnianą czapkę, tak by jej krawędź dotykała oprawek okularów.

Dzięki temu czuła się chroniona.

Nie witając się, zajęła miejsce obok niego.

- Uszczypnijcie mnie! Oto nasza pani w szarościach - rzucił Davidson.

Oboje pracowali razem już wystarczająco długo, żeby Davidson zdążył poznać wszystkie jej dziwactwa. Wiedział, że nigdy nie ścisnęła niczyjej dłoni, choć sam nauczył się tego dopiero po kilku próbach, kiedy jego ręka kolejny raz zawisła w powietrzu. Nie lubiła spotkań z osobami z biura, nie licząc Rona, i nie znosiła biurokracji. Nigdy nie zgadzała się na wyznaczony termin pracy i działała całkowicie niezależnie. Oddzwaniała, tylko kiedy miała na to ochotę, czasami wcale. Nienawidziła polityki, a jeśli ktokolwiek - od zwykłego radnego miejskiego po samego burmistrza - spróbował ustawić ją w blasku reflektorów, potrafiła zniknąć na całe tygodnie. Gdyby nie to, że jej umiejętności w zakresie rekonstrukcji sądowej były takie

niespotykane, Ron Davidson nigdy nie zgodziłby się na współpracę z nią.

- Zniknęłaś z radarów, Szara.

Kąciki ust Rory lekko się uniosły, kiedy spojrzała na fontannę Buckingham. Nikt oprócz Davidsona nie zwracał się do niej w taki sposób, a na przestrzeni lat przywykła już do tego przezwiska, które dotyczyło po części jej typowego stroju, a po części skomplikowanego charakteru.

- Zajęły mnie trudy życia.

- Jak tam Lane?

- Super.

- Jest lepszym szefem niż ja?

- On nie jest moim szefem.

- A mimo to poświęcasz cały swój czas, pracując dla niego.

- Pracując z nim.

Ron Davidson urwał na moment.

- Nie oddzwoniłaś do mnie przez całe sześć miesięcy.

- Mówiłam, że robię sobie przerwę.

- Mam parę spraw, przy których potrzebowałbym twojej pomocy.

- Zaczęłam się wypalać. Potrzebowałam odpoczynku. Dlaczego twoim zdaniem większość detektywów, którzy dla ciebie pracują, jest gównem wartych?

- Ach, brakowało mi twojej bezpośredniości, Szara.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut i obserwowali mijających ich turystów, którzy spacerowali po parkowych alejkach.

- Pomożesz mi? - zapytał w końcu Davidson.

- Ale z ciebie drań. Nieźle to wykombinowałeś - mruknęła Rory.

- Nie oddzwaniałaś przez pół roku. Byłaś zbyt zajęta Lane'em Phillipsem i jego algorytmem dla Murder Accountability Project.

Postanowiłem więc pochwalić się swoją kreatywnością. Pomyślałem, że to docenisz. - Rory milczała. - No więc? - zapytał, gdy uznał, że dał jej wystarczająco dużo czasu.

- Chyba tutaj jestem, prawda? - Rory nie spuszczała wzroku z fontanny. - Opowiedz mi o niej.

- Camille Byrd. Dwadzieścia dwa lata, uduszona. Ciało znaleziono w tym parku.

- Kiedy?

- W styczniu ubiegłego roku. Dwadzieścia jeden miesięcy - odparł Davidson.

- I do niczego nie doszliście?

- Rozesłałem kilka pogrózek i zapukałem do paru drzwi, ale moi chłopcy utknęli w miejscu, Rory.

- Będę potrzebowała akt tej sprawy - oznajmiła Rory. Wciąż patrzyła na fontannę, ale dostrzegła subtelne wygięcie szyi Davidsona, kiedy szef wydziału zabójstw w Chicago odchylił głowę do tyłu i odetchnął z ulgą.

- Dziękuję.

- Kim jest Walter Byrd?

- Bogatym przedsiębiorcą i przyjacielem samego burmistrza, więc to sprawa niecierpiąca zwłoki. Nie możemy dać plamy.

- Bo jest dziany i ma kontakty? - rzuciła Rory. - Pośpiech powinien dotyczyć sprawy każdego rodzica, któremu zamordowano dziecko. Gdzie znaleziono jej ciało?

Davidson wyciągnął rękę.

- We wschodniej części parku. Chodź, pokażę ci.

Rory wstała i pozwoliła Davidsonowi pójść przodem. Przeszli przez część parku, aż dotarli na otoczony brzoźami, trawiasty pagórek

położony przy alejce. Mózg Rory zaczął natychmiast analizować, w jaki sposób ktoś przeniósł ciało w to miejsce.

Davidson wszedł na trawę.

- Tutaj leżało ciało.

- Uduszona, tak?

Skinięcie głową.

- Zgwałcona?

- Nie.

Rory podeszła do miejsca, w którym odnaleziono ciało Camille Byrd, i zatoczyła powolny okrąg, zerkając na nabrzeże i kołyszące się na powierzchni wody łodzie. Po chwili zobaczyła budynki Chicago i białe, gęste chmury przypominające nadmiernie nadmuchane balony na niebie. Wyobraziła sobie ciało dziewczyny leżące na mrozie, wzdęte i pozbawione życia, i nagie, styczniowe drzewa, które zimno okradło z liści.

- A więc leżała tutaj. Ale dlaczego? - zapytała. - To ryzykowne, bo drzewa nie zapewniają żadnej osłony. Ktokolwiek to zrobił, chciał, żeby ją znaleziono.

- Chyba że zabił ją tutaj. Coś wymknęło się spod kontroli. Może doszło do kłótni. Udusił ją i uciekł.

- Tak wyglądałaby kłótnia kochanków - odparła Rory. -A ja zakładam, że twoi ludzie już zbadali tę możliwość. Porozmawiali ze wszystkimi jej chłopakami, aktualnym i byłymi? Ze znajomymi?

Davidson pokiwał głową.

- Wszyscy sprawdzeni i czyści.

- Zatem nie był to ktoś, kogo znała. Zabito ją gdzieś indziej i przyniesiono tutaj. Dlaczego?

- Moi ludzie tego nie wiedzą.

- Potrzebuję wszystkiego, Ron. Akt, raportu z autopsji, zapisów rozmów. Wszystkiego.

- Załatwię ci to wszystko, ale żeby to zrobić, muszę oficjalnie przywrócić cię do pracy. Musisz działać formalnie. Wtedy dostaniesz to, czego chcesz.

Rory zamilkła i przyjrzała się miejscu, w którym przebywali, a w jej mózgu już rodziło się wiele scenariuszy. Znała samą siebie wystarczająco dobrze, żeby nie próbować porządkować tego napływu informacji. Nie panowała nad wszystkim, co odkrywała. Wiedziała jedynie, że powinna to przyjąć, a później, w nadchodzących dniach i tygodniach, jej mózg to posortuje i stworzy odpowiednie obrazy. A ona, powoli, wszystko idealnie zorganizuje. Najpierw zapozna się z aktami sprawy. Pozna Camille Byrd. Połączy tę biedną, uduszoną dziewczynę z nazwiskiem i opisem. Dostrzeże rzeczy, które przeoczyli inni detektywi. Jej niezwykły umysł dopasuje wszystkie kawałki układanki, którą inni uznali za niemożliwą do złożenia, aż w końcu w całości odtworzy przebieg tego przestępstwa.

Dzwonek telefonu wyrwał Rory z zamyślenia. To był jej ojciec. Przez chwilę pomyślała, że odrzuci połączenie, by włączyła się poczta głosowa, ale w końcu zdecydowała się odebrać.

- Tato, jestem w tej chwili zajęta. Mogę oddzwonić później?

- Rory?

Nie rozpoznała głosu po drugiej stronie linii. Należał do kobiety, która była wyraźnie spanikowana.

- Tak? - Oddaliła się od Davidsona o kilka kroków.

- Rory, mówi Celia Banner, asystentka twojego ojca.

- Co się stało? Wyświetlił mi się numer taty.

- Dzwonię z jego domu. Rory, stało się coś strasznego. Twój tata miał zawał.

- Co?

- Mieliśmy się spotkać na śniadaniu, ale nie przyszedł. Mam złe wieści.

- Jak bardzo złe? - Cisza przypominała próżnię, która pochłonęła słowa Rory. - Celia!

- Rory, on nie żyje.

Rozdział 4

Chicago, 14 października 2019 r.

Od pogrzebu upłynęła cała doba, zanim Rory znalazła czas i odwagę, żeby wejść do biura ojca. Zasadniczo należało ono również do niej, ale biorąc pod uwagę, że nie prowadziła żadnej sprawy od ponad dekady, jej zaangażowanie w Grupę Prawniczą Moore nie było widoczne i oczywiste. Nazwisko Rory widniało na papierze listowym i co rok składała zeznanie podatkowe za ograniczoną pracę wykonywaną dla ojca - przede wszystkim pomoc przy śledztwach i rozprawach - jednak funkcja, którą pełniła przez te wszystkie lata w departamencie policji Chicago, i pomoc przy opracowanym przez Lane'a projekcie MAC wymagała od niej większej uwagi. Przez to wszystko w firmie stała się zdecydowanie mniej widoczna.

Grupa Prawnicza Moore była niewielką firmą, w ramach której ojciec Rory zatrudniał dwoje pracowników - praktykanta i sekretarkę - oraz okazjonalnie prosił o pomoc córkę. Z uwagi na nieliczny personel i niewielką grupę klientów Rory założyła, że zamknięcie praktyki prawniczej ojca nie będzie wymagało wiele czasu i dużego doświadczenia, choć zapewne i tak wszystko rozciągnie się na kilka tygodni i poświęci temu trochę uwagi. Tytuł prawniczy Rory, coś, co osiągnęła ponad dziesięć lat wcześniej, a czego nigdy tak naprawdę nie wykorzystywała, czynił ją idealną kandydatką do zajęcia się

sprawami biznesowymi ojca. Matka zmarła rok wcześniej, a Rory nie miała żadnego rodzeństwa.

Weszła do budynku na North Clark Street i wjechała windą na trzecie piętro. Otworzyła drzwi za pomocą klucza. Recepcja obejmowała biurko stojące obok metalowych szafek na akta pamiętających lata siedemdziesiąte. Wychodziły z niej drzwi prowadzące do dwóch biur. To po lewej zajmował jej ojciec, drugie należało do praktykanta.

Upuściła pocztę z całego tygodnia na blat i weszła do biura ojca. Jej pierwsze zadanie miało polegać na przekazaniu otwartych spraw innym kancelariom. Po wyczyszczeniu rejestru będzie musiała opłacić rachunki i zapłacić personelowi, korzystając z odłożonych pieniędzy. Wtedy będzie mogła rozwiązać umowę najmu w budynku i zamknąć kancelarię na dobre.

Celia, sekretarka i zarazem osoba, która odnalazła ciało jej ojca w jego domu, zgodziła się z nią spotkać w południe, żeby przejrzeć papiery i pomóc przy przekazaniu zleceń. Rory odłożyła torebkę na podłogę, otworzyła puszkę z dietetyczną colą i zabrała się do roboty. Przed nastaniem południa na biurku ojca urosła prawdziwa góra papierzysk. Opróżniła szafki stojące w recepcji, a ich zawartość posegregowała na trzy stosy: sprawy oczekujące, aktywne i zamknięte.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Celia, kobieta, którą w ostatnich latach widziała tylko kilkakrotnie, stanęła w progu biura. Rory wstała.

- Och, Rory - powiedziała sekretarka, minęła biurko i mocno ją przytuliła.

Rory trzymała ręce przyciśnięte do boków i zamrugła kilka razy za okularami w grubych oprawkach, podczas gdy ta obca kobieta

zajmowała jej prywatną przestrzeń w sposób, do którego nie posunęłyby się większość jej znajomych.

- Tak mi przykro z powodu twojego ojca - dodała Celia wprost do jej ucha.

Kobieta wypowiedziała oczywiście dokładnie to samo zdanie kilka dni wcześniej, na pogrzebie. Rory stała wtedy bez ruchu w słabo oświetlonym pomieszczeniu pogrzebowym. Patrzyła na trumnę, w której spoczywało coś, co wyglądało jak woskowa rzeźba przedstawiająca jej ojca. Teraz, kiedy poczuła ciepło oddechu Celi w uchu i łzy kobiety kapiące jej na szyję, w końcu położyła dłonie na ramionach tamtej i uwolniła się od jej uścisku. Wzięła głęboki oddech i wypuściła z płuc cały niepokój, który zaczęła odczuwać na wysokości mostka.

- Przejrzałam szafki z dokumentami - oznajmiła w końcu.

Celia rozejrzała się, nieco zmieszana, i objęła wzrokiem pracę wykonaną przez Rory. Poklepała przód swojej kurtki, żeby się uspokoić, po czym otarła łzy.

- Myślałam. .. pracowałaś nad tym przez cały ten tydzień?

Rory już dawno zaprzestała prób wyjaśniania swoich umiejętności polegających na realizowaniu tego typu zadań w ułamku czasu, którego potrzebowali na to inni. Jednym z powodów, dla których nie podjęła się praktyki prawniczej, była bijąca z niej przeraźliwa nuda. Pamiętała innych studentów, godzinami wkuwających materiał z książek, który ona zapamiętywała po jednym przeczytaniu. Pamiętała też tych, którzy decydowali się na wielomiesięczne kursy przygotowujące do egzaminu adwokackiego, zdanego przez Rory za pierwszym podejściem, bez zaglądania do notatek. Inną przyczyną, dla której unikała pracy jako prawniczka, była jej silna awersja do ludzi. Na samą myśl o spieraniu się z innym adwokatem w sprawie

jakiegoś przestępcy czuła dreszcze na całym ciele, a wizja stania przed sędzią i wyjaśniania swoich racji budziła w niej lęk. Zdecydowanie lepiej radziła sobie w samodzielnej pracy przy rekonstrukcji zdarzeń, kiedy jej końcowe opinie trafiały do innych w postaci pisemnego raportu, który kończył na biurku detektywa.

Świat Rory Moore był otoczonym murami sanktuarium, do którego nie wpuszczała zbyt wielu osób, a którego wielu ludzi w ogóle nie rozumiało. To właśnie dlatego wieści z tego ranka okazały się szczególnie niepokojące. Dowiedziała się, że jej ojciec prowadził kilka aktywnych spraw zmierzających do procesu w nadchodzących miesiącach, które wymagały natychmiastowego działania. Rory rozważyła już możliwość, że zostanie zmuszona od odkurzenia swojego dyplomu, przełknięcia goryczy i pojawienia się w sądzie w celu wyjaśnienia sędziemu, że adwokat prowadzący zmarł i że sprawa będzie wymagała w najlepszym wypadku odroczenia, a w najgorszym unieważnienia. Dodatkowo będzie musiała poprosić Wysoki Sąd o wskazówki, które pozwolą się jej odnaleźć w całej tej sytuacji.

- Kilka godzin? - zapytała Celia, wrywając Rory z zamyślenia. - Jak to możliwe? To wygląda tak, jakbyś przejrzała każdą ze spraw, którymi się zajmowaliśmy.

- Bo tak było. Wszystko, co zdołałam znaleźć w szafkach. Komputerów nie udało mi się sprawdzić.

Skłamała. Rory nie miała problemu z zalogowaniem się do bazy danych ojca. Chroniło ją oczywiście hasło, aczkolwiek proste, a Rory szybko pokonała drobne zabezpieczenia, by porównać przypadki z akt w szafkach z tymi, które znajdowały się na twardym dysku. Choć miała pełne prawo, by otwierać pliki na tym komputerze, fakt, że tak

bardzo oddaliła się od tego, co się działo w kancelarii, sprawiał, iż czuła się trochę jak intruz.

- Jeśli coś było w szafce, to na pewno jest też w komputerze - wyjaśniła Celia.

- Świetnie, zatem to wszystko. - Rory wskazała biurko i pierwszy stos akt. - To są sprawy oczekujące. Skontaktowanie się z tymi klientami i wyjaśnienie sytuacji nie powinno stanowić większego problemu. Kancelaria już ich nie obsłuży i będą musieli poszukać pomocy gdzie indziej. Myślę, że wyglądałoby to profesjonalnie, gdyby przygotować listę innych kancelarii obsługujących tego typu sprawy, aby oszczędzić naszym klientom kłopotów.

- Oczywiście - odparła Celia. - Twój ojciec na pewno by to pochwalił.

- Druga sarta to zamknięte sprawy. Tutaj wystarczy prosty list informujący o tym, że Frank Moore zmarł. Zostawię te dwa stosy tobie, dobrze?

- Żaden problem - powiedziała Celia. - Ja się tym zajmę. A co z tym?

Rory popatrzyła na ostatni stos papierów leżący na biurku jej ojca. Na sam ich widok zaczęła głośniej oddychać. Poczuła, że ściany starannie przez nią zbudowanej i pieczołowicie chronionej konstrukcji, która osłania jej osobowość, zaczynają drżeć w reakcji na niechciany intruzów nadchodzących z zewnątrz.

- To otwarte sprawy prowadzone przez kancelarię. Podzieliłam je na trzy kategorie. - Rory położyła dłoń na pierwszej kupce. - Aktualnie negocjowane ugody, dwanaście. - Wypowiedziawszy te słowa, poczuła, jak poci się pod pachami. Dotknęła kolejnego stosu dokumentów. - Oczekujące na rozprawę, szesnaście. - Kropla potu spłynęła po jej kręgosłupie i zwilżyła plecy. - I na koniec

przygotowania do procesu, trzy. - Kiedy powiedziała „trzy”, jej gardło się zacisnęło i odkaszlnęła, by zamaskować strach. Trzy sprawy zmierzające ku procesom będą wymagały natychmiastowego działania.

Celia spojrzała z niepokojem, kiedy zobaczyła krew odpływającą z twarzy Rory, jakby się obawiała, że choroba serca, która pokonała jej szefa, była chorobą powszechną w jego rodzinie i mogła uderzyć dwukrotnie w ciągu miesiąca.

- Wszystko w porządku?

Rory znów zakaszlała i odzyskała panowanie nad sobą.

- Tak. Znajdę sposób, żeby zająć się tymi otwartymi sprawami, jeśli ty zdołasz zająć się resztą.

Celia pokiwała głową i podniosła stertę dokumentów dotyczących spraw oczekujących.

- Od razu zacznę dzwonić do tych klientów.

Zaniosiła papiery na swoje biurko w recepcji i zabrała się do pracy.

Rory zamknęła drzwi do biura ojca i opadła na jego krzesło. Popatrzyła na akta i cztery puste puszki po dietetycznej coli, która napędzała ją tego ranka. Włączyła komputer i zaczęła szukać prawników z Chicago, gotowych wziąć te sprawy w swoje ręce.

Rozdział 5

Zakład karny Stateville, 15 października 2019 r.

Jego alter ego był Forsicks. Reagował na tę ksywę od tak długiego czasu, że nie miał pewności, jak by się zachował, gdyby ktoś zwrócił się do niego, używając prawdziwego imienia i nazwiska. Ksywa wywodziła się od numeru, który przydzielono mu pierwszego dnia po przyjeździe i który zapisano wielką, grubą czcionką na plecach jego kombinezonu: **12276594-6**.

Zanim więzienni strażnicy poznali nazwisko więźnia lub paragraf, z którego został osądzony, ujrzeli jego numer. Skrócono go do ostatnich dwóch cyfr w serii - „cztery-sześć”**ri1** - co na przestrzeni lat spowszedniało wśród innych osadzonych i strażników do tego stopnia, że niektórzy sądzili już, że „Forsicks” to jego prawdziwe nazwisko.

Wszedł do więziennej biblioteki i kliknął przełącznikiem światła. Za murami zakładu karnego był to jego dom. Prowadził to miejsce już od dekad. Dźwiganie ciężarów i pompowanie ciała nigdy go specjalnie nie interesowało, dołączanie do zwierząt na więziennym dziedzińcu w celu wstąpienia do gangu również nie wzbudzało w nim entuzjazmu. Zamiast tego znalazł bibliotekę, zaprzyjaźnił się ze starszym więźniem skazanym na dożywocie, który się nią opiekował, i czekał na okazję. Starzec zaczął rzeźić zimą osiemdziesiątego

dziewiątego i nie dotrwał do ostatniego dziesięciolecia dwudziestego wieku. Strażnik zastukał w kraty celi Forsicksa następnego ranka i oznajmił mu, że stary wyszedł na warunkowe do nieba. Od tej pory biblioteka należała do niego. „Nie spieprz tego”, usłyszał. Nie spieprzył.

Przez trzydzieści lat sprawował nad nią pełną kontrolę. Łącznie spędził tam cztery dekady, nie doprowadzając do jakiegokolwiek incydentu. To niezwykle osiągnięcie uczyniło go niemal niewidzialnym, tak samo jak superbohaterów, o których czytał w komiksach każdego miesiąca. Gardził komiksami i powieściami obrazkowymi, ale czytał je tak jak inne książki. Dzięki temu złagodniał i zdołał pokonać tęsknoty, które wciąż odzywały się w jego duszy.

Przed więzieniem jego życie skupiało się wokół Uderzenia - uczucia, które go wypełniało, kiedy spędzał czas ze swoimi ofiarami. Uderzenie kontrolowało jego umysł i kształtowało jego życie. Było czymś, przed czym nigdy nie mógł uciec. Kiedy go schwytano, nie miał jednak żadnego wyboru i musiał dostosować się do życia panującego w więzieniu. Odstawienie było wyjątkowo bolesne. Bardzo brakowało mu poczucia władzy i dominacji zapewnianego przez Uderzenie, niezwyklego poczucia słuszności, którym się rozkoszował, kiedy zakładał nylonową pętlę na szyję i oddawał się euforii, jaką mogły mu zapewnić wyłącznie jego ofiary.

Po trudnym odstawieniu poddał się jednak i skoncentrował na przyszłych latach, szukając jednocześnie czegoś, co pozwoli mu wypełnić pustkę. Szybko sobie uświadomił, co to jest. Tajemnica, która wszystko mu zniszczyła, leżała zakopana gdzieś za murami tego więzienia, a on postanowił poświęcić ostatni rozdział życia na jej odkrycie.

Usiadł przy biurku we frontowej części biblioteki. Tylko w Ameryce człowiekowi, który zamordował tyle osób, zapewniano taką wolność - biurko i całą więzienną bibliotekę, nad którą sprawował władzę. Jednak po tylu latach w tym miejscu tylko kilka osób za murami znało jego historię. Niewielu w ogóle ona obchodziła. Anonimowość była kolejną przyczyną, dla której nigdy nie poprawiał nikogo, kto mówił na niego Forsicks. W ten sposób był jeszcze lepiej chroniony. Świat zgasił światła wokół niego już dawno temu i dopiero niedawno reflektor przeszłości zaczął niepewnie kierować się w jego stronę.

Siedząc samotnie w bibliotece, rozłożył egzemplarz „Chicago Tribune” i na drugiej stronie znalazł nagłówek: „40 LAT PO WYROKU Z 1979 ROKU ZŁODZIEJ WYCHODZI NA WOLNOŚĆ”. Zatrzymał spojrzenie na swoim starym pseudonimie, „Złodziej”. Nie potrafił zignorować delikatnego żaru adrenaliny, którą uwolnił w jego żyłach ten tytuł. Był jednak świadomy również złych stron związanych z taką doskonałą wizytówką - z pewnością przyciągnie ona uwagę i przywoła wspomnienia wielu osób. Kiedy zaczęły pojawiać się kolejne nagłówki i dziennikarze rozpoczęli dyskusje dotyczące lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, uznał, że musi znaleźć sposób na uniknięcie protestujących i ucieczkę przed tymi, którzy planowali go dręczyć i torturować. Potrzebował jedynie małego okna anonimowości po zwolnieniu, żeby zakończyć swoją ostatnią podróż i zrealizować plan, któremu poświęcił całe życie w więzieniu. Była to podróż, na którą czekał przez dekady, naiwnie wierząc, że inni zrealizują ją za niego. Ale Złodziej był jedyną osobą, która mogła rozwiązać dręczącą go tajemnicę. Tajemnicę, która zrujnowała mu życie.

Po tylu latach od jego rządów terroru ofiary stały się anonimowe i pozbawione twarzy. Nawet kiedy odwiedzał najmroczniejsze

zakamarki swojego umysłu i próbował wykrzesać odrobinę emocji płynących z Uderzenia, które kiedyś go napędzały, ledwie udawało mu się przypomnieć którąkolwiek z kobiet. Wszystkie były już dawno martwe, skasowane z jego pamięci przez czas i obojętność.

W jego umyśle wciąż pozostawał jednak żywy obraz jednej z nich, tak wyraźny, jakby czterdzieści lat minęło w mgnieniu oka i po jednym uderzeniu serca. Była kimś wyjątkowym, kogo nigdy nie potrafił zapomnieć. Chodziła mu po głowie podczas cichych dni spędzanych w bibliotece i nawiedzała go w snach. Tylko ją jedną wciąż pamiętał, a nadchodząca wolność otwierała przed nim możliwość ostatecznego rozwiązania zaległych spraw z nią związanych.

II „Four-six” (ang. cztery-sześć), co brzmi podobnie jak „Forsicks” - przyp. tłum.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Angela Mitchell wbijała wzrok w telewizor. Stała obok swojej przyjaciółki Catherine Blackwell i oglądała wiadomości. Dziennikarka na ekranie stała na tle zacienionej alei spowitej blaskiem letniego zachodzącego słońca. Do ogrodzeń siatki przyparto przepelnione kosze na śmieci, a ze szczelin nierównego chodnika wyrastały chwasty.

- Zaginęła kolejna kobieta - powiedziała dziennikarka. - Samantha Rodgers, lat dwadzieścia dwa, zamieszkała w Lincoln Park. Została uznana za zaginioną we wtorek po tym, kiedy nie stawiała się do pracy. Władze uważają, że jest to piąta ofiara w szeregu niewyjaśnionych zniknięć, które rozpoczęły się w pierwszym tygodniu maja.

Dziennikarka ruszyła wzdłuż bulwaru. Kilkoro przechodniów minęło ją i spojrzało w kamerę z głupimi uśmiechami, nieświadomi tragedii, o której była mowa.

- Zaginięcia rozpoczęły się drugiego maja od porwania Clarissy Manning. Od tamtej pory z ulic Chicago znikły trzy kolejne kobiety. Żadnej z nich nie odnaleziono i istnieją podejrzenia, że przypadki te są ze sobą powiązane. Pojawiły się obawy, że Samantha Rodgers została ostatnią ofiarą napastnika, któremu władze nadały

przydomek Złodziej. Departament policji Chicago ostrzega kobiety przed samotnym spacerowaniem po ulicach miasta. Władze proszą o jakiegokolwiek wskazówki dotyczące miejsca przebywania zaginionych kobiet. Obiecano nagrody.

- Pięć kobiet w trzy miesiące - powiedziała Catherine. - Jak to możliwe, że policja nie znalazła tego faceta?

- Coś muszą wiedzieć - odparła cicho Angela. - Podejrzewam, że ukrywają informacje przed opinią publiczną, żeby ten bydlak się nie zorientował, ile o nim wiedzą.

Do pokoju wszedł mąż Angeli. Sięgnął po pilota, wyłączył telewizor i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Chodźcie, kolacja jest już gotowa.

- To po prostu straszne - powiedziała Angela.

Mąż przeciągnął dłonią po jej ramieniu i mocno ją przytulił. Przekrzywił lekko głowę w kierunku kuchni i złapał kontakt wzrokowy z wychodzącą z pokoju Catherine.

Angela nie spuszczała wzroku z ciemnego ekranu telewizora. Profil dziennikarki utkwiał jej w pamięci niczym powidok. Zapamiętała twarz kobiety, alejkę, zielone znaki uliczne w tle, nawet głupie spojrzenia przechodniów wchodzących w kadr. To, że wszystko zapamiętywała, było jednocześnie darem i przekleństwem. W końcu zamrugła oczami, pozbywając się obrazu dziennikarki. Catherine wróciła i pociągnęła ją za łokieć, kierując się w stronę stołu.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Cała czwórka - Angela i Catherine wraz z mężami - zasiadła przy stole do kolacji. Thomas, mąż Angeli, skończył piec kurczaka z warzywami i w końcu zdecydowali się na klimatyzowaną jadalnię zamiast patio, jak to początkowo zaplanowali. Letni upał był obezwładniający, wilgotne powietrze dokuczało, a komary nie dawały żyć.

- Wybaczcie, że spędzamy kolejny letni wieczór w środku - powiedział Thomas. - Niecierpliwie czekamy na odejście zimy, a teraz i tak siedzimy w czterech ścianach.

- Spędzałem ostatnio wszystkie dni na zewnątrz - odparł Bill Blackwell, mąż Catherine. - Jeden z naszych brygadierów odszedł z pracy przed kilkoma tygodniami. Przejąłem jego ludzi, więc bardzo się cieszę z odpoczynku od upału.

- Nie zatrudniliśmy jeszcze nikogo na jego miejsce? - zapytał Thomas.

Thomas i Bill byli partnerami biznesowymi w branży betoniarskiej i zajmowali się wylewaniem fundamentów pod nowe domy, kładzeniem podłoża pod przemysłowe parkingi i wewnętrzne garaże. Firma, którą założyli w wieku dwudziestu lat, rozrosła się do średniej

wielkości przedsiębiorstwa zatrudniającego pracowników zrzeszonych w związkach zawodowych.

- Skontaktowali się ze mną ci z lokalu numer dwieście pięćdziesiąt pięć. Chłopaki już nad tym pracują, ale dopóki kogoś nie zatrudnimy, to ja muszę nadzorować ludzi, a to oznacza, że nie ma mnie przez cały dzień. A przy tych temperaturach cieszę się, że mogę wieczorem usiąść w chłodnym wnętrzu.

- Jeśli to cię pocieszy - odparł Thomas - ja musiałem kierować ładowarką, kiedy jeden z naszych chłopaków zachorował w tym tygodniu.

- Wcale mnie to nie pociesza - mruknął Bill. - Obsługa ładowarki to nie to samo, co pilnowanie ekip. Jeśli zostanę jeszcze mocniej pokąsany przez komary, zaszczepię się przeciwko malarii.

- Czy nie powinniśmy okazać więcej współczucia naszym ciężko pracującym mężczyznom, Angelo? - zapytała Catherine.

Jej przyjaciółka wpatrywała się w talerz nieobecny wzrokiem.

- Angela - rzucił Thomas.

Kiedy znów nie odpowiedziała, wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia, aż podskoczyła, i natychmiast uniosła wzrok. Na jej twarzy panował taki wyraz, jakby zaskoczył ją widok pozostałych osób przy stole.

- Bill mówił właśnie o tym, jak upierdliwe są komary - powiedział zachęcającym tonem jej mąż. - I że pracuje ciężiej niż ja w warsztacie. Potrzebuję mojej żony, żeby mnie obroniła.

Angela spróbowała się uśmiechnąć, ale ostatecznie tylko skinęła do niego głową.

- Tak czy inaczej - wtrąciła Catherine, dotykając karku swojego męża - jeśli bardziej cię pogryzą, nie będziesz myślał o malarii, a o transfuzji krwi. Wyglądasz, jakby dopadł cię Dracula.

Bill przyłożył dłoń do szyi.

- Mam alergię na spray na owady - mruknął.

Thomas nie zabrał dłoni z ramienia Angeli, próbując w ten sposób zachęcić ją do udziału w rozmowie. Położyła dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się sztucznie.

- Nie jestem pewna, czy środek na owady działa na wampiry - powiedziała w końcu.

Pozostali się roześmiali. Angela próbowała się zaangażować w dyskusję przy obiedzie, ale wciąż widziała przed oczami dziennikarkę i potrafiła się skupić jedynie na kobietach, które zaginęły tego lata.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Kiedy goście wyszli, Angela ścisnęła górną część worka na śmieci i zawiązała go. Jej mąż otarł czoło przedramieniem, stojąc przed zlewozmywakiem i czystymi naczyniami. Tego rodzaju wieczory były dla niej nowym doświadczeniem i czymś, do czego Angela wciąż się jeszcze przyzwyczajała. Zanim poznała Thomasa, nie brała udziału w tego rodzaju spotkaniach z bliskimi przyjaciółmi, a tym bardziej ze zwykłymi znajomymi. Swoje dotychczasowe życie wiodła jako outsiderka. Żywe wspomnienia z młodości przypominały jej, dlaczego tradycyjne przyjaźnie nie wchodziły w grę.

Kiedy Angela skończyła pięć lat, w przedszkolu podeszła do niej dziewczynka, która podała jej lalkę Betsy McCall i zaprosiła ją do wspólnej zabawy. Do dziś Angela odczuwała przytłaczające poczucie dyskomfortu, kiedy ktoś stał blisko niej, pamiętała też odrazę, jaką czuła na samą myśl o dotknięciu lalki, którą wcześniej trzymała w dłoniach tyle innych dzieci. Nawet przed pójściem do przedszkola wszystkie swoje zabawki nosiła w foliowych woreczkach śniadaniowych w trosce o ich bezpieczeństwo przed bakteriami i brudem. Rodzice zorientowali się, że napady Angeli - jej całkowite zubożenie emocjonalne - miały, kiedy jej rzeczy były bezpiecznie schowane w woreczkach. Nawyk ten zabrała ze sobą do szkoły,

gdzie skutecznie odciął ją on od przyjaźni. Była oddzielona od świata tak samo efektywnie, jak przedmioty w woreczkach.

Zaproszenie Catherine i Billa Blackwellów na kolację oznaczało, że Angela wyszła poza własną strefę komfortu. Ale dobrze, że tak się stało. Dzięki temu jej życie zyskało nieco normalności. Za tę transformację mogła podziękować jedynie Thomasowi. Angela już zawsze miała być świadoma ukradkowych spojrzeń, które rzucali jej inni, ukojenie znajdowała jednak w fakcie, że Thomas ją zaakceptował pomimo jej licznych dziwnych przypadłości. Po zawarciu małżeństwa otworzył się przed nią zupełnie nowy świat. Catherine została pierwszą kobietą, którą Angela określiła mianem swojej przyjaciółki. W otoczeniu innych Angela z powodzeniem kontrolowała wiele nietypowych nawyków rujnujących jej życie. Catherine wiedziała o niektórych z tych dziwactw i je zaakceptowała. Należała do nich awersja Angeli do kontaktów fizycznych z kimkolwiek poza Thomasem, strach przed hałasem czy sposób, w jaki paraliżowało ją coś, czego jej mózg nie był w stanie przetworzyć - tak jak tego wieczoru, kiedy oglądała dziennikarkę opowiadającą o kolejnej zaginionej kobiecie. Aż do zaśnięcia nie była w stanie skupić się na czymkolwiek innym.

Choć przyjaźniła się z Catherine, Angela nigdy nie potrafiła przekonać się do jej męża, który był jednym z najbliższych przyjaciół Thomasa. Ale nawet to nie zniechęciło do niej Catherine. Kiedy ich mężowie byli w pracy, często spotykały się na lunchu.

- Super było - oznajmił Thomas.
- Tak.
- Zaprzyjaźniłyście się z Catherine jeszcze mocniej, prawda?
- Zgadza się. Jej mąż też jest bardzo miły.

Thomas podszedł bliżej.

- Mąż Catherine ma imię, wiesz?

Angela opuściła wzrok i popatrzyła na swoje stopy.

- Wiem, że dzisiejszy wieczór był dla ciebie trudny, ale świetnie sobie poradziłaś. Zdaję sobie sprawę, że przy Catherine czujesz się bardziej komfortowo, ale nie możesz rozmawiać tylko z nią i ze mną. Powinnaś mieć kontakt ze wszystkimi, którzy są w domu. To po prostu grzeczne.

Pokiwiała głową.

- I powinnaś zwracać się do ludzi po imieniu. Bill, okej? Mąż Catherine ma na imię Bill.

- Wiem - odparła Angela. - Po prostu. .. jeszcze się do niego nie przyzwyczaiłam, to wszystko.

- To mój partner w biznesie i dobry przyjaciel, więc będziemy spotykali się często.

- Popracuję nad tym.

Pocałował ją w czoło jak wtedy, kiedy oglądała dziennikarkę informującą o ostatnim zaginięciu, po czym wrócił do naczyń.

- Idę to wyrzucić - oznajmiła Angela, podnosząc zawiązany worek ze śmieciami.

Wyszła przez kuchnię na ogród. Przecięła nieduży trawnik i zauważyła, że boczne drzwi prowadzące do garażu są otwarte. Było już ciemno i ze środka sączyło się światło, rzucając na trawę na zewnątrz blask w kształcie trapezu. Kiedy Thomas piekł kurczaka, Angela zauważyła, że mąż Catherine - Bill, jak właśnie przypomniał jej Thomas - wchodził do garażu i z niego wychodził. Była to dla niej kolejny niepokojący element, związany ze świadomością, że w garażu panuje ogromny bałagan. Angela miała spory problem z rzeczami, które nie były skrupulatnie zorganizowane, a wygląd garażu wprawiał ją w takie zakłopotanie, że w trakcie spotkania

rozważała nawet zamknięcie do niego drzwi, co byłoby niewerbalnym przekazem sugerującym, że mąż Catherine powinien zostać na patio.

Angela zatrzasnęła teraz drzwi, wyszła za ogrodzenie z siatki i weszła w ciemną alejkę. Uniosła pokrywę pustego kontenera i wrzuciła do środka worek ze śmieciami. Usłyszała syknięcie kota, który wybiegł ze swojej kryjówki w pobliżu. Wystraszyła się i upuściła pokrywę, wywołując głośny huk, który poniósł się echem po alejce. Stłumiła krzyk, a na sąsiednich posesjach rozszczękały się psy.

Angela wzięła głęboki oddech i spojrzała w głąb drogi. Na końcu przecznicy świeciły się uliczne latarnie, rzucając na ziemię kołyszące się cienie konarów drzew. Przywołała w głowie mapę przedmieść i zlokalizowała na niej ciemną alejkę na dalszych obrzeżach miasta. Odtworzyła w myślach diagram, który pieczołowicie stworzyła, i na którym rozmieściła czerwone punkty oznaczające przybliżone położenie każdej zaginionej kobiety. Oznaczyła na żółto łączący je obszar. Jej dom znajdował się daleko od barwnego pięciokąta.

Czując dudnienie w piersi i drżenie rąk, Angela podniosła pokrywę kontenera na śmieci i pospiesznie położyła ją na swoim miejscu. Nie zwlekając ani chwili dłużej, przebiegła przez ogród i wpadła do kuchni. Thomas skończył zmywać naczynia i usłyszała odgłosy meczu Cubsów dobiegające z salonu. Kiedy tam zerknęła, zobaczyła męża odpoczywającego w zagłębieniu rozkładanego fotela, co oznaczało, że niebawem zacznie pochrapywać. Wciąż czując efekty przyływu adrenaliny, weszła do sypialni i uklękła u stóp łóżka. Otworzyła skrzynię i znalazła plik artykułów wyciętych z gazet wraz ze sporządzoną przez nią samą mapą miasta.

Poświęciła cały wieczór na tłumienie swoich obsesyjno-kompulsywnych potrzeb. Nowo poznane samoograniczenie dobrze

jej zrobiło. Otworzyło jej nowy świat z Thomasem i pozwoliło nawiązać przyjaźń z Catherine. Angela wiedziała jednak, że nie może całkowicie zignorować potrzeb swojego umysłu i żądań ośrodkowego układu nerwowego, który domagał się organizacji, porządku i odrzucenia niepotrzebnych rzeczy. Różne kwestie postrzegała jako proste i ułożone, z zachowanymi kątami prostymi, lub zupełnie nieuporządkowane. Wezwania jej umysłu do ułożenia razem w sztywnym porządku wszystkiego, co nie wpasowywało się w schemat, zawsze były bardzo głośne i nie dawały się zignorować. Jednak ostatnio krzyki te stały się wręcz ogłuszające. Świadomość, że gdzieś tam istniał człowiek, który umykał policji i przez którego oddech wstrzymało całe miasto, stanowiła dla niej prawdziwą definicję chaosu. Od kiedy Angela pozwoliła swojemu dzikiemu i nieujarzmionemu umysłowi na wpuszczenie do środka człowieka, którego władze nazywały Złodziejem, nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Zaniosiła plik artykułów na nieduże biurko w sypialni, włączyła lampkę i rozłożyła przed sobą papiery. Przeczytała je wszystkie po raz setny, zdeterminowana, by znaleźć to, co umykało wszystkim innym.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Angela spędziła cały następny ranek przy kuchennym stole, otoczona artykułami prasowymi z minionego tygodnia na temat Złodzieja. Czytała je do późna, kiedy Thomas zasnął na rozkładanym fotelu. Teraz pojechał do pracy i Angela wróciła do swojego zajęcia. Leżały przed nią bieżące wydania „Tribune” i „New York Timesa”, z których pieczołowicie wycinała fragmenty nożyczkami. Zdołała nawet znaleźć coś w „Timesie”, gdzie napisano krótko o wydarzeniach z Chicago, porównując je z przypadkiem „Syna Sama”, który mordował trzy lata wcześniej. Angela czytała raz za razem artykuły, skupiając uwagę na pięciu zaginionych kobietach i katalogując wszystko, co zostało napisane na temat ofiar. Zgromadziła zdjęcia i opracowała ich biogramy. O każdej z nich wiedziała tak wiele, że czuła się z nimi mocno związana.

Dokładała wszelkich starań, by ukryć przed Thomasem skalę swoich dolegliwości. W przeszłości zdarzały się okresy, kiedy zaburzenia obsesyjno-kompulsywne ją pożerały, przytłaczając w stopniu, który uniemożliwiał normalne funkcjonowanie. W najmroczniejszych czasach choroba wymuszała na Angeli realizowanie zbędnych zadań, które zdaniem jej mózgu były absolutnie niezbędne. A im bardziej próbowała oderwać się od tych

kłopotliwych obowiązków, w tym większą paranoję popadała, czując, że jeśli przerwie cykl nic nieznaczących czynności, to wydarzy się coś strasznego. Pętla paranoi karmiła się sama, aż Angela stała się zupełnie bezradna wobec jej mocy.

Teraz znów poczuła to samo i uświadomiła sobie szybko, że musi ujarzmić tę obsesję, jeśli pragnie zapobiec nawrotom. Kiedy jednak skupiała się na zaginionych kobietach i mężczyźnie, który je porywał, czuła się zupełnie bezradna. Wierzyła bowiem, że zdoła znaleźć jakieś powiązanie między ofiarami, choć nie miała pojęcia, co zrobiłaby z takim odkryciem. Może powinna podzielić się nim z władzami. Angela była jednak ostrożna i starała się nie wybiegać tak daleko w przyszłość. Zbyt intensywne myślenie o tym, co będzie, otwierało jej umysł na dzikie spekulacje, które wywoływały niepokój i strach. Jeśli Thomas znów zauważy jej wyrwane rzęsy i rzednące brwi, ogarnie go strach przed nawrotem. Wtedy Angela trafi z powrotem do gabinetu terapeuty, a to będzie oznaczało koniec jej pracy nad tym tematem. Nie mogła sobie na to pozwolić. Kobiety, które patrzyły na nią z wycinków z gazet, zasługiwały na jej uwagę, a Angela nie była w stanie tego zignorować.

Kiedy poukładała i skatalogowała artykuły, spakowała wszystko i schowała z powrotem do skrzyni u stóp łóżka. Wybiła dziesiątą, gdy zabrała swoją kawę i poszła do garażu. Wzięła ze sobą dwie zrobione samodzielnie kanapki owinięte w folię. Ich garaż był wolnostojącym budynkiem na dwa samochody, znajdującym się za domem. Od patio tuż przy kuchni biegła wybetonowana ścieżka aż do bramy garażowej, która otwierała się na alejkę. Ubiegłego wieczoru, kiedy przestraszył ją kot, Angela pozwoliła swojej wyobraźni stworzyć irracjonalne koszmary dotyczące tego, co czaiło się w mroku. Dziś rano słońce świeciło jasno i jej strach znikł.

Weszła do środka bocznymi drzwiami i nacisnęła przycisk na ścianie, co sprawiło, że duża garażowa brama z grzechotem pojechała do góry, wpuszczając do środka światło dzienne. W związku z tym, że rzadko się tutaj zapuszczała, garaż zupełnie odstawał od domu, o który dbała. Gdyby to miejsce należało do niej, a nie do Thomasa, Angela zadbałaby o odpowiedni porządek i poukładała wszystko tak, jak robiła to w swojej głowie. Zamiast tego zobaczyła bałagan na półkach wypełnionych starymi książkami i zakurzonymi pojemnikami. Stały tam puszki z farbą ze śladami wycieków, jeszcze z czasów, kiedy wraz z Thomasem malowali ściany w sypialni, narzędzia służące do naprawy auta, które Thomas ułożył w narożniku, i starą kanapę, przeznaczoną na sprzedaż, czego nigdy nie zrealizowali. Kanapę pokrywała teraz warstwa kurzu i brudu, stare magazyny i gazety. Pozbycie się jej wyznaczyła sobie na ten ranek.

Środa była dniem odbioru odpadów, a Angela chciała wyciągnąć na ulicę starą kanapę, by stamtąd odebrali ją śmieciarze. Kanapki miały pełnić funkcję łapówki, którą zamierzała im wręczyć w podziękowaniu za zabranie tak dużego mebla. Zanim jednak zabrała się za sam mebel, zaczęła od magazynów i gazet, które powrzucała do śmietnika. Po dziesięciu minutach kanapa była już wolna od pokrywającego ją bałaganu. Angela stanęła obok wejścia do garażu, chwyciła kanapę za oparcie i pociągnęła. Mebel był ciężki i szło jej to opornie, jednak w końcu zdołała wytaszczyć go na chodnik. Potrzebowała przeciągnąć kanapę jeszcze o kolejnych sześć metrów, w miejsce przeznaczone na odbiór śmieci, jednak na tym etapie walki z niewdzięcznym meblem zupełnie opadła z sił. Wróciła do garażu, by złapać oddech i odzyskać energię.

Biorąc głębokie wdechy, rozglądała się z niesmakiem po zabałaganionych półkach, zdając sobie sprawę, że Thomas będzie zły, jeśli wykorzysta swoją obsesję do sprzątanía garażu, choć zobowiązała się tylko do wystawienia kanapy na śmietnik. Patrząc na chaos panujący na półkach, nie potrafiła się jednak wyzbyć mrowienia w palcach. Przyglądając się przedmiotom, natrafiła na kilka rzeczy, o których już zapomniała - o starym szkle sprzed czasów małżeństwa i świątecznych dekoracjach, których nigdy nie założyli.

Na kolejnych półkach Angela znalazła stare prezenty ślubne, które okazały się niepraktyczne i nietrafione. Był tam kosz piknikowy z kieszeniami na butelki z winem z każdej strony. Nigdy w życiu nie była na pikniku, a na samą myśl o sączeniu wina i siedzeniu na trawie pełnej robaków dostała gęziej skórki. Uniósła pokrywę kosza. Coś, co się w nim znajdowało, przyciągnęło jej uwagę. Po chwili się zorientowała, że dostrzegła wąskie pudełko na biżuterię.

Rozejrzała się po garażu i wyjrzała nawet na ulicę, jakby właśnie znalazła ukryty skarb i martwiła się, że ktoś odkryje jej sekret. Wyjęła pudełko z dna kosza i je otworzyła. Blask porannego słońca wpadający przez boczne okno garażu rozświetlił kamień naszyjnika - piękny, zielony perydot. Thomas nie był raczej znany z ekstrawaganckich zakupów. Zdarzało mu się to w przeszłości, ale urodziny Angeli przypadały dopiero w przyszłym tygodniu. Natychmiast poczuła się winna, że zepsuła mu niespodziankę.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

Niski, nieznany głos sprawił, że Angela podskoczyła. Odłożyła naszyjnik z powrotem do kosza i się odwróciła. Zobaczyła przed sobą nieznanomego mężczyznę. Płuca natychmiast wypełniły się powietrzem, a z jej krtani wydostał się stłumiony pisk. Mężczyzna

stał na ulicy obok kanapy, ale odniosła wrażenie, że jest tuż obok. Miał głęboko osadzone oczy, ciemne w porannym słońcu, które podświetlało go od tyłu. Jego cień kładł się na podłodze garażu tak blisko Angeli, że na jej ciele wystąpiła gęsia skórka.

- Chyba pani z tym utknęła.

- Nie, nie - odparła bez zastanowienia Angela. Na nieco chwiejnych nogach zaczęła się wycofywać w stronę bocznych drzwi garażu. Jeśli było to możliwe, Angela Mitchell unikała kontaktu wzrokowego z innymi, ale czarne dziury w twarzy mężczyzny nie dawały się tak łatwo zignorować.

- Pomogę pani to popchnąć - zaoferował mężczyzna. - Przesuniemy to pod śmietniki. Rozumiem, że planuje się pani tego pozbyć?

Angela pokręciła głową. Przed oczami natychmiast przewinęły się jej obrazy przedstawiające zaginione kobiety. Artykuły z gazet, które zbierała i czytała. Mapa miasta, na której oznaczyła miejsca zaginięć oraz żółty pięciokąt wyznaczający granice, których należało unikać. Wypełnił ją taki sam strach jak poprzedniego wieczoru, kiedy przypadkowo przepłoszyła zza kontenerów bezpańskiego kota. Wyczuła wtedy czyjąś obecność i musiała uciec do domu, zanim jej mózg zacząłby się zbytnio nad tym zastanawiać. Od tamtej chwili Angela starała się rozdzielić tę myśl na części, pozbyć się obawy, że ktoś naprawdę czaił się na nią w mroku alejki. Pozwolenie umysłowi, by koncentrował się na strachu, i umożliwianie mu ciągłego uderzania o krzesiwo, by rozpałił iskrę niepokoju, mogło doprowadzić ją do obłądu. Jeśli pozwoli tej myśli zapłonąć, nie będzie już w stanie zdławić płomieni.

Jeszcze kilka lat wcześniej podobna myśl była w stanie doprowadzić ją do trwającej wiele tygodni paranoi i obsesji, kiedy to

zamykała się w domu, nieustannie sprawdzała wszystkie zamki, a w nocy wstawiała z łóżka, by się upewnić, że wszystkie okna są pozamykane, i setki razy podnosiła słuchawkę telefonu, żeby usłyszeć sygnał wolnej linii. W ciągu kilku ostatnich lat pracowała jednak nad swoim nowym życiem i nie chciała dopuścić do tego, by zrujnowały je wewnętrzne konszachty jej zawilego umysłu. Jednak teraz, kiedy patrzyła na stojącego na ulicy mężczyznę, żałowała, że nie zwróciła większej uwagi na ostrzeżenia wysyłane poprzedniego wieczoru przez jej mózg.

- Mój mąż zaraz przyjdzie - wydukała. - Pomoże mi to wszystko ogarnąć.

Mężczyzna zerknął za plecy Angeli, przez otwarte boczne drzwi, w kierunku domu. Wyciągnął w jego stronę dłoń.

- Pani mąż jest w domu?

- Tak.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, żeby zajrzeć do wnętrza garażu, co sprawiło, że postrzępiony cień przesunął się po podłodze i wspiał po jej nogach. Poczowała go niemal fizycznie.

- Na pewno nie mogę pomóc?

Angela wycofała się jeszcze dalej. Nagle się odwróciła i przebiegła przez otwarte drzwi na podwórze. Dopadła do kuchennych drzwi i zaczęła majstrować przy klamce, aż w końcu je otworzyła i znalazła się w środku. Natychmiast zamknęła je za sobą na klucz. Odsunęła zasłony po jednej stronie, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Mężczyzna wciąż stał przy porzuconej kanapie i patrzył przez otwarte drzwi w garażu na dom Angeli. Choć dudniło jej w uszach, usłyszała wyraźnie pisk hamulców śmieciarki, który poniósł się echem w alejce. Kiedy nadszedła ciężarówka, obcy zerknął za siebie i pospiesznie się oddalił.

Angeli drżały ręce. Nie potrafiła się zmusić, żeby wyjść na zewnątrz, porozmawiać ze śmieciarzami i podarować im kanapki w zamian za zabranie kanapy. Zamiast tego pobiegła do łazienki, uniosła klapę sedesu i zwymiotowała z taką siłą, że rozboleł ją brzuch, i zalała się łzami.

Rozdział 6

Chicago, 16 października 2019 r.

Rory Moore zatrzymała się obok nieoznakowanego policyjnego samochodu tak, że kierowcy obu aut znaleźli się tuż obok siebie. Opuściła szybę i dopchnęła okulary do grzbietu nosa. W jej samochodzie było ciemno i miała pewność, że Davidson nie widzi jej oczu, co zawsze było pewnym plusem.

Detektyw podał jej przez okno sztywną kopertę.

- Wyniki z autopsji i toksykologii - oznajmił. - Do tego wszystkie notatki i rozmowy dotyczące sprawy.

Rory zabrała kopertę, na której w dolnej części nadrukowano nazwisko Camille Byrd, i pomyślała o uszkodzonej lalce Kestner należącej do dziewczyny oraz prośbie jej ojca. Odłożyła dokumenty na siedzenie pasażera.

- Oficjalnie pracujesz nad tą sprawą - powiedział Ron. - Rano wypełniłem wszystkie niezbędne papiery.

- Kiedy którykolwiek z twoich chłopaków spojrzał na to po raz ostatni? - zapytała Rory.

Davidson wydał policzki i westchnął teatralnie. Rory wiedziała, że krępuje się przed udzieleniem jej odpowiedzi na to pytanie.

- Ta sprawa ma już rok. Od wielu miesięcy nie pojawiło się w niej nic nowego, a na tapecie mamy w tej chwili pięćset nowych

morderstw. Nikt już do tego nie wraca.

Rory wróciła myślami do poranka w Grant Park, kiedy Davidson pokazał jej miejsce, w którym znaleziono zamarzniete ciało Camille. Serce bolało ją z tego powodu, podobnie jak w przypadku wszystkich ofiar, nad których sprawami pracowała. Dlatego nigdy nie przebierała w zleceniach. W niewielkim świecie rekonstrukcji sądowej nikt nie był w stanie zrobić tego, co osiągała Rory Moore. Rozpalała nowy ogień w śledztwach, które zdążyły już stać się zimniejsze niż Chicago w styczniu. Miała to po prostu w genach. Jej DNA było zaprogramowane tak, by dostrzegła rzeczy przeoczone przez innych, żeby łączyła kropki, które wyglądały na przypadkowo rozrzucone w oczach każdej innej osoby. Proste rekonstrukcje, takie jak wypadki samochodowe i samobójstwa, pozostawiała innym ze swojej profesji, którym lepiej wychodziło rozwiązywanie trywialnych spraw. Takie rzeczy detektywi potrafili rozwiązywać samodzielnie z niewielkim wysiłkiem i przy odrobinie szczęścia. Tego typu przypadki kliniczne nigdy Rory nie interesowały; ona rekonstruowała nierozwiązane sprawy zabójstw, przy których inni już się poddali i które porzucili. Osiągała to, nawiązując głęboką i osobistą więź z ofiarą, poznając jej historię, odkrywając, kim była za życia. Zawsze potem sprawdzała, dlaczego doszło do morderstwa. Była to wymagająca wiele wysiłku technika, która wyczerpywała ją emocjonalnie, często zbliżała do ofiary i wzbudzała chęć domagania się sprawiedliwości. Ale był to jedyny sposób, w jaki Rory potrafiła wykonywać swoją pracę.

Wiedziała, że Ron Davidson, szef wydziału zabójstw w departamencie policji Chicago, ulega naciskom z każdej możliwej strony, zarówno politycznym, jak i społecznym, żeby podnieść wskaźnik nierozwiązanych spraw z podłogi, na której leżał. Miasto

cechował najniższy w skali kraju odsetek wykrywalności sprawców morderstw, więc kiedy Rory zgodziła się wziąć na warsztat zimną jak lód sprawę Camille Byrd, była to dla niego okazja do zrehabilitowania się bez poświęcania zbyt wielu zasobów. Rory rekonstruowała sprawy samodzielnie, odrzucając oferty pomocy ze strony innych detektywów. Od wielu lat policja miała ją w zanadru, z uwagi na jej niezwykłą skuteczność.

- Zerknę na to i powiem ci, jeśli coś znajdę - powiedziała w końcu Rory.

- Bądź ze mną w kontakcie.

Szyba w samochodzie Rory zaczęła się podnosić.

- Hej, Szara - zawołał Davidson. Rory zatrzymała okno w połowie drogi i popatrzyła na niego. - Przykro mi z powodu twojego taty.

Rory pokiwała głową, domknęła szybę i po chwili oba samochody ruszyły w przeciwnych kierunkach.

Rozdział 7

Chicago, 16 października 2019 r.

Rory przyjechała do domu opieki i weszła do pokoju numer sto dwadzieścia jeden. Światła były w nim przygaszone, a telewizor rzucał na ścianę niebieską poświatę. Kobieta leżała nieruchomo w łóżku z otwartymi oczami, ale nie zwróciła uwagi na obecność Rory, nawet kiedy ta podeszła bliżej i położyła dłonie na metalowej barierce chroniącej pacjenta przed upadkiem. Usiadła na stojącym obok łóżku i skierowała wzrok na kobietę, która wciąż wpatrywała się w ekran telewizora, jakby Rory była zupełnie niewidzialna.

Ta wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni kobiety.

- Ciociu Greto. To ja, Rory.

Jej babka cioteczna wciągnęła wargi, wsysając je do środka, jak wtedy, gdy pielęgniarki usuwały jej sztuczną szczękę.

- Greto - powiedziała szeptem Rory. - Słyszysz mnie?

- Próbowałam cię ratować - powiedziała staruszka. - Próbowałam, ale było za dużo krwi.

- Okej - odparła Rory. - Już wszystko w porządku.

- Krwawiłaś. - Babka cioteczna spojrzała na Rory. - Krwi było za dużo.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

- Przepraszam, próbowałam panią złapać, zanim tu pani weszła. Ona ma dziś kiepski dzień.

Kobieta poprawiła poduszkę pod głową Greta, po czym postawiła na stoliku plastikowy kubek z wystającą słomką.

- To twoja woda, kochana. I nie ma tu żadnej krwi. Nie znoszę krwi, dlatego pracuję w tym miejscu.

- Jak długo jest w takim stanie?

Pielęgniarka popatrzyła na Rory.

- Przez większą część dnia. Wczoraj było lepiej. Ale jak pani wie, demencja zabiera ich z powrotem do innych momentów życia. Czasami na krótko, czasami na dłużej. To minie.

Rory skinęła głową i wskazała kubek.

- Dopilnuję, żeby się napiła.

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

- Proszę dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Kiedy kobieta wyszła, babka cioteczna Rory znów na nią popatrzyła.

- Próbowałam cię ratować. Za dużo było krwi.

Greta sama pracowała niegdyś jako pielęgniarka i choć było to wiele lat temu, demencja rujnująca jej umysł ściągała ją do najmroczniejszych momentów jej zawodu.

Staruszka umilkła i przeniosła wzrok na telewizor. Rory wiedziała już, że to będzie jedna z tych wizyt. Jej babka cioteczna skończyła dziewięćdziesiąt dwa lata i stan jej umysłu często się zmieniał. Czasami bywała bystra jak zwykle. Innym razem, jak teraz i w ciągu ostatnich dwóch tygodni, kiedy dowiedziała się o śmierci ojca Rory, zatracala się w przeszłości. Wkraczała do świata, do którego Rory nie miała wstępu. W ciągu minionych lat najczęstsze okazje, kiedy można było ją zastać w dobrym stanie, zdarzały się nocami. Bywało,

że Rory przychodziła i wychodziła w ciągu kilku minut. Ale zdarzało się również, że ciotka Greta była rześka i gadatliwa, a Rory siedziała z nią do wczesnych godzin rannych, rozmawiając i śmiejąc się jak w dzieciństwie. Niewiele osób rozumiało w pełni Rory Moore. Jej babka cioteczna Greta była jedną z nich.

- Ciociu Greto, pamiętasz, jak powiedziałam ci o tacie? O Franku, twoim siostrzeńcu?

Staruszka jeszcze mocniej zassała miękkie wargi.

- Pogrzeb był w ubiegłym tygodniu. Chciałam cię zabrać, ale nie czułaś się dobrze.

Rory zauważyła, że kobieta jeszcze szybciej porusza ustami.

- Niczego nie straciłaś. Mogłaś co najwyżej uratować mnie, wijącą się w kącie i próbującą wszystkich unikać. Przydałabyś mi się jako zasłona, starsza pani przyciągnęłaby uwagę.

Greta zerknęła na nią zdawkowo i na jej twarzy zagościł krótki uśmiech. Rory wiedziała, że przebiła się przez cienki mur, którym tymczasowo odgrodziła się od niej ciotka.

- Czy istnieje lepszy sposób na to, żeby odwrócić od siebie uwagę, niż przywiezienie staruszki, którą wszyscy uwielbiają?

Rory poczuła, że ciotka ściska jej dłoń. Na powiece Grety uformowała się łza, która spłynęła jej po policzku. Rory wstała i szybko wyciągnęła z pudełka chusteczkę, żeby przetrzeć jej twarz.

- Hej - powiedziała, próbując nawiązać kontakt wzrokowy, którego na co dzień tak unikała. - Mam ciężki przypadek, przy którym potrzebowałabym twojej pomocy. To lalka Kestner z brzydkim pęknięciem biegnącym przez lewy oczodół. Pęknięcie naprawię, ale przydałby się ktoś do barwienia. Porcelana wyblakła i będę musiała nadać kolor powłoce epoksydowej. Chciałabyś pomóc?

Greta popatrzyła na Rory i przestała żuć wargi. Skinęła lekko głową.

- Świetnie - powiedziała Rory. - Jesteś w tym najlepsza i wszystkiego mnie nauczyłaś. Następnym razem przyniosę twoje farby i pędzle. Sama zobaczysz.

Rory poprawiła się na krześle, ponownie sięgnęła po dłoń Greta i przez następną godzinę gapiała się w wyciszony telewizor, aż w końcu się upewniła, że jej babka cioteczna zapadła w sen.

Rozdział 8

Chicago, 16 października 2019 r.

Zaparkowała przy chodniku przed swoim domem, ustawiając samochód między autami należącymi do sąsiadów. Minęła jedenasta i Rory była w dobrym nastroju po wizycie u Greta. Nie zawsze się tak czuła po zakończeniu spotkania z babką cioteczną. Choroba Alzheimera i demencja odebrały jej większą część osobowości i zmieniały ją od czasu do czasu w niemiłą starą kobietę, która w jednej chwili rzucała obraźliwymi słowami jak pijany marynarz, żeby w następnej mamrotać bez ładu i składu. Choć to pierwsze bywało dość szokujące, Rory wołała tę wersję ciotki Greta od wpatrzonej gdzieś w dal kobieciny, do której czasami przychodziła. Tolerowała każdą z osobowości Greta, ponieważ zawsze, tak jak tego dnia, dostrzegała w niej przebłyski osoby, którą kochała przez całe swoje życie. To była naprawdę dobra wizyta.

Oszczekiwana przez psa sąsiadów Rory weszła po stopniach, otworzyła drzwi wejściowe i podniosła z podłogi korespondencję. Rzuciła stos kopert wraz z raportem z autopsji Camille Byrd na kuchenny stół i wyjęła z szafki szklankę. Na środkowej półce lodówki przechowywała sześć butelek piwa Three Floyds Dark Lord, trudnego do zdobycia w sklepach portera, którego zapas udało się jej zgromadzić dzięki swoim koneksjom w Indianie. Każda z butelek

o pojemności sześciuset pięćdziesięciu mililitrów została ustawiona etykietą do przodu w idealnym szeregu - jedynym układzie, w którym według Rory można było przechowywać ten alkohol. Zabrała jedną, zdjęła kapsel, wlała zawartość do wysokiej szklanki, po czym dodała odrobinę syropu z czarnej porzeczki. Przy zawartości alkoholu równej piętnaście procent piwo to było mocniejsze od większości win i pożądany efekt można było uzyskać już po wypiciu kilku szklanek. Usiadła przy kuchennym stole, odsunęła na bok to, co przyszło pocztą, i chwyciła kopertę, którą dostała od detektywa Davidsona. Wypiła dwa duże łyki, wzięła głęboki oddech i wyjęła pierwszą stronę raportu z autopsji.

W chwili śmierci Camille Byrd była dwudziestodwuletnią absolwentką uniwersytetu w Illinois. Ukończyła college w maju i wciąż polowała na miejsce pracy, w którym mogłaby wykorzystać swoje umiejętności w zakresie komunikacji. Mieszkała w Wicker Park z dwiema współlokatorkami. Patolog uznał, że przyczyną śmierci było zamknięcie dróg oddechowych wynikające z ręcznego uduszenia. Charakter zgonu: zabójstwo. Żadnych śladów wykorzystania seksualnego.

Dwa kolejne łyki portera i Rory odwróciła stronę, wczytana w notatki patologa. Napisano tam o klasycznych oznakach uduszenia - krwi w drogach oddechowych, obrzęku płuc, wybroczynach na twarzy i krwotoku podspojówkowym. Na szyi Camille znaleziono liczne sińce oraz uszkodzenia kości gnykowej i krtani, co potwierdzało teorię o uduszeniu. Obecność „odcisków palców” nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Rory wyjęła zdjęcie z autopsji i ponownie przeczytała wnioski. Ciało Camille Byrd odnaleziono następnego dnia po jej zaginięciu. Stężenie pośmiertne i zasinienie pozwoliły określić czas zgonu na dwadzieścia cztery godziny przed

znalezieniem zwłok. Ktokolwiek zamordował Camille Byrd, zrobił to szybko. Rory przeczytała, że w próbkach skóry wykryto obecność leukotrienów B4, co wskazywało, że siniaki na szyi powstały przed śmiercią dziewczyny i już nie zniknęły, ponieważ zdolność jej ciała do regeneracji zanikła wraz z ostatnim oddechem.

Kolejną godzinę poświęciła na analizę pozostałych stron raportu patologa, po czym przeszła do notatek detektywa. Raport z autopsji wydrukowano z komputera, natomiast wydział zabójstw departamentu policji Chicago nadal pracował z papierowymi formularzami. Kiedy spojrzała na kartkę, zobaczyła paskudne, zdawkowe notatki zapisane pismem, które trudno było jej odszyfrować. Rory nie miała wątpliwości, że istniało jakieś freudowskie powiązanie między odrażającym charakterem pisma detektywów i ich matkami, jakby dziecinnie nakreślone słowa były dowodem na ciągłe pragnienie bycia rozpieszczanym.

Przez godzinę i przy kolejnym Dark Lordzie doprawionym syropem z czarnej porzeczki Rory czytała o życiu Camille Byrd. Od dzieciństwa po dzień zaginięcia i poranek, kiedy zamarznęte ciało dziewczyny znaleziono w Grant Park. Sporządzała notatki, jedna po drugiej, aż zapełniła nimi całą stronę. W przeciwieństwie do detektywów Rory pisała doskonałą kursywą, nie robiła jednak przerw między zdaniami i stosowała niewiele znaków interpunkcyjnych, co pozwalało zakładać, że jej zapiski okazałyby się równie nieczytelne jak bazgroły jej kolegów po fachu.

Rory zamknęła akta i uznała, że wciąż jest daleko, by poznać Camille Byrd w stopniu umożliwiającym jej znalezienie odpowiedzi na postawione pytania. Ale od czegoś przynajmniej już zaczęła. Odsunęła raporty na bok i zamknęła w końcu oczy. Uspokoila myśli i pozwoliła przejść kontrolę faktom. Tej nocy będzie śniła o Camille

Byrd, tak jak zawsze śniła o badanych przez siebie ofiarach. W taki sposób zaczynała się każda z jej rekonstrukcji. Każdą sprawę wybierała starannie i poświęcała jej pełną uwagę, aż dochodziła do konkretnych wniosków i przekazywała wszystko detektywom, żeby mogli dokończyć dzieła.

Po dwudziestu minutach medytacji otworzyła oczy i wzięła głęboki oddech. Zniosła papiery do biura i ułożyła je na biurku. Wyjęła zdjęcie Camille Byrd w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i przypięła je do dużej tablicy korkowej na ścianie. Upstrzona dziurkami po wcześniejszych rekonstrukcjach tablica opowiedziała w ciągu minionych lat wiele niepokojących historii. Tego dnia, kiedy Rory wpatrywała się w zdjęcie Camille, echa poprzednich spraw nie były słyszalne. Dziewczyna patrzyła na nią z jakiegoś niezmiernie miejsca i czekała na pomoc Rory.

Zgasła wszystkie światła i wyszła z biura. Kiedy pozostałą część domu spowity ciemności, zabrała z lodówki następne piwo i ruszyła w stronę swojej pracowni.

W pomieszczeniu nie było żadnych górnych lamp czy żarówek, jedynie starannie rozstawione reflektory punktowe. Po przestawieniu pierwszego przełącznika Rory oświetliła przymocowane do ściany półki, na których spoczywało ponad dwadzieścia starych porcelanowych lalek. Ustawione zostały po trzy sztuki na półce w idealnych kolumnach, a światła pod półkami rozjaśniały je w doskonałej kombinacji blasku i cieni. Porcelanowe twarzyczki lalek lśniły, zwracając uwagę obserwatora na doskonałe barwy i lśniącą powierzchnię.

Na półkach stały dokładnie dwadzieścia cztery lalki. Gdyby było ich mniej, dręczyłoby to Rory do momentu, w którym wypełniłaby brakujące miejsce. Próbowwała już tego wcześniej - usunęła kiedyś

jedną lalkę, nie zastępując jej inną. Niewypełniona przestrzeń zachwiała równowagę w jej mózgu, co nie pozwalało Rory spać, pracować i racjonalnie myśleć. Odkryła, że ta udręka skończyła się dopiero po tym, kiedy uzupełniła skład, umieszczając w tamtym miejscu inną lalkę. Ze swoimi przypadłościami pogodziła się już przed laty i w końcu przestała z nimi walczyć. Wszystko to utrwaliło się w niej, kiedy była małym dzieckiem stojącym w domu ciotki Greta i wpatrującym się w zastawione lalkami półki. Pasja Rory do ich odnawiania wywodziła się z lat, kiedy to spędzała z Gretą całe dni, przywracając uszkodzonym lalkom dawny blask. Teraz pracownia Rory wyglądała identycznie od ponad dziesięciu lat i stanowiła replikę dawnego domu ciotki Greta. Na półkach stały rezultaty jej prac, które uznała za najlepsze. Żadnych pustych miejsc.

Pod każdą z półek znajdowała się cienka szufladka, w której spoczywały zdjęcia „przed” każdej z lalek znajdujących się powyżej. Na fotografiach widoczne były popękane twarzyczki, brakujące oczy, postrzępione pęknięcia, z których wylaziła biała wata, poplamione ubranka, urwane kończyny i wyblakła porcelana, która utraciła po latach dawną świetność. Zdjęcia przechowywane w szufladkach kontrastowały ostro z nieskazitelnymi lalkami na półkach, które Rory starannie przywracała do życia.

Siedząc przy biurku, skierowała lampkę na elastycznym pałku w kierunku zniszczonej lalki Kestner, której ojciec Camille Byrd użył, by ją zwabić i zachęcić do zrekonstruowania śmierci córki. Upiła łyk portera i rozpoczęła badania, fotografując uszkodzoną lalkę pod każdym kątem. W końcu ułożyła ją płasko i zrobiła ostateczne zdjęcie, które miało stać się zdjęciem „przed” i punktem odniesienia, do którego będzie można porównać efekt końcowy. Piwo w połączeniu ze skupieniem nad nowym projektem - do którego

zaliczała się zarówno lalka z dzieciństwa Camille, jak i ona sama - wystarczyło, żeby spenetrować głębokie fałdy mózgu Rory i oderwać jej uwagę od dręczącego ją obrazu dokumentów czekających w kancelarii ojca. Skupienie na nowym projekcie okazało się wystarczające, żeby wyrzucić z głowy myśl o ojcu umierającym samotnie w domu.

Rozdział 9

Zakład karny Stateville, 17 października 2019 r.

Seria zabójstw sprzed dziesięcioleci na krótki czas uczyniła z niego celebrytę. Niestety tuż po tym, jak zapadł wyrok, świat nie zwolnił kroku i większość ludzi najzwyczajniej zapomniała o Złodzieju. Dopiero w ostatnich miesiącach jego gwiazda zaczęła znów lśnić, kiedy dziennikarze wrócili do lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, wspominając kobiety, które uznano za jego ofiary. Skontaktowano się z członkami rodzin. Przyjaciele, teraz posiwiali i pomarszczeni, opowiadali o dawno zapomnianych relacjach z tymi, których utracili. Ambitni prezenterzy wiadomości odtwarzali stare materiały, próbując przypomnieć panikę, która wybuchła w mieście upalnego lata, gdy Złodziej przemykał ciemnymi uliczkami Chicago i porywał młode kobiety.

Teraz, kiedy jego sława znów zaczęła nabierać blasku, musiał skorzystać z pomocy człowieka, który pomagał mu przez większość tych lat. Dysponował dostępem do więziennej poczty elektronicznej, jednak samo wysyłanie i odbieranie wiadomości było kłopotliwym procesem, a panujące zasady ograniczały długość jego maili. Szybciej i łatwiej pisało mu się listy ręcznie. Wysyłał je pocztą, co uczynił kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech tygodni, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Więzienna poczta zawsze była dla niego

najszybszą formą komunikacji. Wydawała mu się sprawniejsza niż rozmowa telefoniczna, która wymagała złożenia formalnego wniosku, oczekiwania na zgodę oraz ustalenia daty i godziny, kiedy mógł skorzystać z więziennego płatnego telefonu. Jeśli musiał się skontaktować ze swoim adwokatem, zawsze korzystał z papieru i długopisu, zaklejał kopertę i wrzucał do skrzynki. Kiedy jednak tym razem nie otrzymał odpowiedzi po upływie dwóch tygodni, zdecydował się złożyć wniosek o rozmowę telefoniczną. Posiedzenie komisji zwolnień warunkowych zbliżało się wielkimi krokami, a jego prawnik wcześniej był z nim w stałym kontakcie w kwestii szczegółów dotyczących zwolnienia. Od ostatnich dwóch tygodni adwokat jednak milczał i nie można było się z nim skontaktować.

Złodziej leżał na swojej pryczy z założonymi na piersi rękami i czekał. We wszechświecie panowała nierównowaga, czuł to gdzieś w głębi duszy. Upływający czas nigdy nie stanowił dla niego wyzwania, przynajmniej w ostatnich latach. Ostatnio jednak, kiedy komisja postawiła przy jego wniosku pieczęć „przyjęto”, czas stał się czymś, czym trudno było mu zarządzać. Wyrok dobiegał końca i pozwalał sobie posmakować tego, co czekało na niego na wolności. Zabawianie myśli swobodą, która powoli jawiła mu się przed oczami, było mimo wszystko niebezpieczne. Jednak gdy leżał na więziennym łóżku, zamykał oczy i wyobrażał sobie ich ostateczne spotkanie. Ta świadomość napełniała go poczuciem euforii. Kobieta, przez którą się tutaj znalazł, w końcu dostanie to, na co zasłużyła.

- Forsicks - odezwał się strażnik, wrywając go z zamyślenia. -
Masz dziś pozwolenie na skorzystanie z telefonu?

Usiadł szybko i wstał.

- Tak, sir.

Strażnik odwrócił głowę i zawołał donośnym głosem w głąb korytarza:

- Jeden-dwa-dwa-siedem-sześć-pięć-dziewięć-cztery-sześć.

Jego słowa odbiły się echem od ścian i zwabiły pod kraty osadzonych, którzy wsparli łokcie na poprzeczkach i czekali na rozwój wydarzeń.

Drzwi celi Forsicksa zagrzechotały i strażnik gestem kazał mu ruszyć przodem wzdłuż długiego podestu. Nie dostrzegłszy niczego interesującego, pozostali więźniowie wycofali się w głąb swoich cel. Kiedy dotarł ze strażnikiem na koniec podestu, rozległ się brzęczyk i Forsicks przeszedł na drugą stronę, gdzie czekał na niego inny klawisz. Pobieżnie go przeszukano i skierowano w stronę płatnego telefonu zawieszzonego na ścianie.

Forsicks wykonał dobrze mu znaną procedurę korzystania ze zautomatyzowanego, więziennego systemu telefonicznego, który pozwalał na nawiązywanie połączeń wychodzących. Wybrał numer z pamięci i wsłuchał się w sygnały oczekiwania. Kiedy naliczył ich osiem, połączenie zostało skierowane do poczty głosowej, a tam się dowiedział, że skrzynka jego adwokata jest zapełniona.

Wszechświat nagle się skurczył. Coś było nie tak. Nagle wszystkie jego plany związane z jej znalezieniem zaczęły blaknąć.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Przez cały tydzień po spotkaniu z obcym w alejce dokuczały jej wymioty. Nieustannie miała zawroty głowy, a na każde wspomnienie tamtego ranka żołądek Angeli skręcał się, wywołując mdłości. Stara kanapa stała tam porzucona przez cały dzień. Śmieciarze nawet jej nie dotknęli. Znalazła się pod dziwnym kątem w stosunku do otwartej bramy garażowej i Angela uznała, że mężczyźni uznali taki stan za tymczasowy, bo ktoś sprząta garaż. Przez szczelinę w zasłonach obserwowała, jak śmieciarka zatrzymuje się w alejce i jak jej obsługa opróżnia przepełnione kontenery w tylnej części ciężarówki, po czym wskakuje na zderzak i się oddala. Nie znalazła w sobie wystarczająco wiele odwagi, żeby otworzyć kuchenne drzwi, pobiec w stronę alejki i poprosić ich o wywiezienie kanapy.

Tego samego dnia wczesnym popołudniem Angela usłyszała odgłos klaksonu. Sąsiad usiłował wjechać do garażu położonego bezpośrednio naprzeciw ich garażu, nie mógł jednak tego zrobić, bo wjazd zastawiała kanapa. Jak to bywało w Chicago, ciągle naciskanie klaksonu miało być rozwiązaniem stosowanym w celu poradzenia sobie z każdym problemem kierowcy, od wolno poruszających się aut i dzieci grających w piłkę na ulicy, po porzuconą kanapę w alejce. Kiedy trąbienie nie ustało w ciągu

kolejnych pięciu minut, Angela w końcu zdecydowała się wyjść z domu. Wciągnęła kanapę z powrotem do garażu, zatrzasnęła bramę, wbiegła z powrotem do kuchni i zaryglowała za sobą drzwi.

Raz.

Dwa.

Trzy razy, żeby mieć pewność.

Kiedy tylko Thomas zjawił się w domu, opowiedziała mu o porannych wydarzeniach. Zasugerował, by zadzwonili na policję, jednak im dłużej na ten temat dyskutowali, tym bardziej Angela traciła pewność, co tak naprawdę powinna zgłosić. Czy miała powiedzieć, że obcy, zapewne dalszy sąsiad, okazał się na tyle miły, by zaproponować jej pomoc? Że poprzedniego wieczoru wystraszył ją kot, napełniając poczuciem, że jest obserwowana? Angela wiedziała, jak potoczyłaby się taka rozmowa. Wyobrażała sobie rzucane z ukosa spojrzenia policjantów, kiedy jąkałaby się w trakcie swojej opowieści, przez cały czas starając się unikać kontaktu wzrokowego. Nerwowe skubanie brwi zostałyby potraktowane niczym zaraźliwa choroba, aż w końcu funkcjonariusze postanowiliby porozmawiać na osobności z Thomasem na temat jego ogarniętej paranoją żony, która najwyraźniej wyciągnęła dziwne wnioski z prostych faktów. Im dłużej rozmawiała z mężem, tym bardziej absurdalnym pomysłem wydawał się jej kontakt z policją.

Teraz, tydzień później, bardziej niepokoił ją fakt, że mogła znajdować się na krawędzi załamania spowodowanego manią obsesyjno-kompulsywną, że rozpoznawała objawy jego nadejścia niczym ołowiane chmury na horyzoncie. Przed laty spadłoby to na nią bez najmniejszego ostrzeżenia, kradnąc tydzień lub miesiąc, kiedy żądania jej umysłu skazałyby ją na wykonywanie pozbawionych sensu zadań. Jednak jej życie się zmieniło i w

nowych warunkach Angela nie tylko wyczuwała zbliżające się załamanie, lecz starała się także ze wszystkich sił mu zapobiec. Kiedy walczyła o swój stan, pracowała również nad ukryciem najgorszych symptomów przed Thomasem. Brak rzęs zamaskowała grubą warstwą tuszu, którą nałożyła na ostatnie pozostałe włoski, a kredka pozwoliła jej narysować kształtne brwi. Pomimo panującego upału zmuszała się do zakładania dżinsów i bluzek zamiast szortów czy koszulek na ramiączkach, żeby ukryć krwawe strupy na ramionach i udach po zadrapaniach.

Maskowanie objawów było jednak zgubne, przez co czuła się jeszcze gorzej. Im lepiej udawało się jej kryć nawyki samookaleczania, tym dramatyczniejsze stawało się uzależnienie od nich. Próbowwała się powstrzymać za pomocą subtelnych trików, które sprawdzały się w przeszłości. Końcówki palców wkładała do wazeliny, by trudniej było jej chwytać za mieszki brwi. Przycięła też paznokcie aż do opuszków, żeby palce nie zmieniły się w groźne narzędzia podczas drapania. Wszystko to robiła po to, by ukryć najgorsze objawy załamania.

Wymioty stały się jednak pewnym problemem. Thomas zauważył to pewnego ranka. Kiedy do niej zajrzał, powiedziała, że zatrula się nieświeżym chińskim jedzeniem.

W rzeczywistości nudności nadchodziły za każdym razem, kiedy wspominała nieznanego z alejki. Kiedy Thomas wychodził rano do pracy, Angela godzinami wyglądała zza zasłon w kuchni, obserwując ulicę. Wypracowała w ten sposób pewną rutynę: odsunąć zasłonę, skontrolować alejkę, sprawdzić zamki, podnieść słuchawkę telefonu, posłuchać sygnału wolnej linii, powtórzyć. Jedyną rzeczą, która przerywała jej ten cykl, były wymioty. Za każdym razem, gdy przed oczami jawił się jej mężczyzna zaglądający przez otwarte drzwi

garażu w stronę jej kuchni, biegła do toalety, gdzie poddawała się gwałtownym skurczom żołądka.

Tydzień po tamtym wydarzeniu, podczas jednego z rzadkich momentów klarowności umysłu, Angela znalazła przeterminowaną buteleczkę z tabletkami valium zapisaną przez poprzedniego lekarza. Połykając pigułkę co sześć godzin, odkryła, że udaje się jej zasnąć i oderwać myśli od spotkania przy garażu. Było to tymczasowe rozwiązanie, dopóki się nie uspokoi. Wcześniej radziła już sobie z takimi obsesjami. Teraz też da radę.

Pod uspokajającym wpływem valium Angela przekonała się, że jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że kontakt z mężczyzną na ulicy był wyłącznie ofertą pomocy ze strony ofiarnego sąsiada, który zapragnął zostać dobrym samarytaninem. Uznała za równie nieprawdopodobne, by horror porywanych kobiet mógł rozciągać się tak daleko poza granice miasta, w miejsce, w którym wiodła spokojne życie. Wzięła głęboki wdech i spróbowała uspokoić drżące dłonie, nalewając sobie porannej kawy. Powstrzymała się przed spojrzeniem po raz setny przez okno w stronę alejki. Zamiast tego zmusiła się, by skoncentrować uwagę na zaginionych kobietach i profilach, które stworzyła. Nie myślała o nich już od wielu dni.

Wyjęła wycinki prasowe ze skrzyni w sypialni i rozłożyła je na kuchennym stole. Przez dwie godziny studiowała przypadki zaginionych kobiet i notatki, które na temat każdej z nich sporządziła. Niewykluczone, że po całym tygodniu paranoi jej umysł w końcu odnalazł spokój lub po prostu valium uwalniało jej myśli w sposób, w jaki nie była tego w stanie zrobić do tej pory, ale kiedy czytała profile, dostrzegła coś, co wcześniej przeoczyła. Poukładała w głowie skatalogowane informacje, przewijając je niczym mikrofilm w bibliotece. Artykuły, które czytała w poprzednich latach, nagle

połączyły się w jej mózgu w jedną całość, i dostrzegła wzorzec, który zawsze tam istniał, czekał na odkrycie, ale jak dotąd pozostawał niezauważony. Jej myśli zaczęły galopować. Zabrała się pospiesznie do pisania, jednak wysiłek, który włożyła w tygodniową walkę z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, obciążył jej umysł i sprawił, że zwątpiła w samą siebie. Nie było innej możliwości, musiała się mylić.

Odsunawszy jednak na bok wątpliwości, Angela pisała jak opętana, notując myśli krążące w mózgu w obawie, że jeśli nie zrobi tego teraz, utraci je już na zawsze. Z wyjątkową przejrzystością umysłu przywoływała artykuły prasowe, które niegdyś czytała, po czym zapisywała daty i nazwiska z obrazów podrzucanych jej przez umysł. Kiedy skończyła, spojrzała na zegarek. Zbliżało się południe. Usiadła przy kuchennym stole przed trzema godzinami, a wydawało się jej, że upłynęło zaledwie kilka minut.

Ubrała się pospiesznie w dżinsy i bluzkę z długimi rękawami, po czym wcisnęła notatki do torebki. Kiedy wyobraziła sobie moment wyjścia z domu, ogarnęła ją fala mdłości, ale nie miała wyboru. Musiała dostać się do biblioteki, żeby potwierdzić swoje podejrzenia. Wiedziała również, że będzie zmuszona zastosować inne środki ostrożności. Potrzebowała potwierdzenia, że jej myśli są jasne i spójne i nie wynikają z paranoi. Takie potwierdzenie mogła uzyskać od tylko jednej osoby.

Angela podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer swojej przyjaciółki Catherine.

- Halo?
- Catherine - odezwała się cicho Angela.
- Angela?
- Tak, to ja.

- Czujesz się już lepiej? Thomas mówił Billowi, że chorujesz od naszego ostatniego spotkania.

Angela uświadomiła sobie, że może nie kryła swoich objawów tak dobrze, jak się jej wydawało.

- Wszystko w porządku, ale muszę z tobą pogadać. Możemy się spotkać?

- Pewnie. Czy coś się stało?

- Nie. Potrzebuję po prostu pomocy. Mogę wpaść na moment?

- Oczywiście - odparła Catherine.

Angela odłożyła słuchawkę bez pożegnania, pobiegła do łazienki i wymiotowała.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Angela Mitchell spędziła dwie godziny wśród bibliotecznych regałów, zdejmując z nich książki i przerzucając w nich strony. Usiadła przy stanowisku do obsługi mikrofilmów i przygotowała stare rolki z artykułami prasowymi datowanymi na lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, czyli niemal dziesięć lat wcześniej. Sporządzała notatki, dopóki jej mózg nie dostrzegł wyraźnie wzorca, którego istnienie podejrzewała. Poświęciła trzydzieści minut, by przenieść wnioski na papier milimetrowy i narysować wykres, który prezentował sporządzone przez nią ustalenia w taki sposób, by inni mogli zrozumieć jej odkrycie.

Uporządkowała swoje notatki, zaniósła mikrofilm na półkę i wyszła pośpiesznie z biblioteki. Dom Catherine znajdował się w odległości zaledwie dwóch przecznic od jej domu i o piętnastej Angela otworzyła furtkę z kutego żelaza prowadzącą na werandę. Zanim zdążyła zastukać, Catherine stanęła w drzwiach.

- Kobieto, na zewnątrz jest ponad trzydzieści stopni - zawołała, schodząc po stopniach. - Dlaczego się tak ubrałaś?

Angela popatrzyła na swoje dżinsy i rozpinaną bluzkę. Nie myślała o tym, jak zniesie w tej odzieży upał, ponieważ ukrywała ślady swoich paznokci na rękach i nogach.

- Wszystko się suszy po praniu - odparła w końcu.

- Chodź do środka, schłodzisz się w klimatyzacji. - Catherine otworzyła siatkowe drzwi i zaprosiła Angelę gestem do domu.

Usiadły przy kuchennym stole.

- Co cię tak rozłożyło? Jakiś wirus żołądkowy?

- Tak - odpowiedziała Angela, patrząc pospiesznie Catherine w oczy, po czym spojrzała na blat stołu. - Męczyłam się z tym przez kilka dni. Sama wiesz, jak Thomas się o mnie martwi.

Przez pierwszy rok czy dwa po ich ślubie Thomas mocno naciskał, żeby Angela zapoznała się z żonami jego znajomych. Ta jednak zawsze czuła się przez nie oceniana. Szeptały na jej temat, kiedy sądziły, że nie słyszy, i traktowały ją jak dziecko, gdy nie reagowała tak, jak ich zdaniem powinna. Catherine Blackwell była od nich inna. Przy niej Angela czuła się akceptowana, a Catherine nie zadawała głupich pytań ani nie rzucała jej dziwnych spojrzeń, kiedy nagle milkła. W obecności przyjaciółki czuła się komfortowo, a ta zawsze jej broniła, kiedy ktoś miał czelność źle ją potraktować. Za pierwszym razem, kiedy poszły razem na lunch, kelnerka zganiała Angelę za to, że mówi zbyt cicho.

„Mów głośniej, kochaniutka”.

„Ona ma na imię Angela, nie kochaniutka”, powiedziała wtedy Catherine. „I ma prawie trzydzieści lat, a nie dwanaście”.

Od tamtej pory Catherine Blackwell była nie tylko jej obrończynią, ale również najbliższą przyjaciółką.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, nie - odparła Angela. - Ale dzięki.

- To co się takiego pilnego wydarzyło?

- Wiem, że to zabrzmiało głupio - zaczęła Angela, wyciągając z torebki teczkę. Trzymała w niej wycinki prasowe i biogramy

zaginionych kobiet, a do tego całe arkusze papieru, które zapisała w bibliotece. - Ale przyjrzałam się bliżej tym zaginionym kobietom - dokończyła.

Przyciągnęła tymi słowami uwagę Catherine.

- Jak to się przyjrzałaś?

- Gromadziłam informacje na ich temat z gazet i innych źródeł.

Catherine przysunęła sobie jedną z kartek. Był to artykuł z „Chicago Tribune” na temat Samantha Rodgers, ostatniej z dziewczyn, która znikła z ulic miasta. Tydzień wcześniej, kiedy spotkali się na kolacji, Catherine oglądała z nią wiadomości w telewizji na temat tego zdarzenia. U góry widniało zdjęcie dziewczyny. Środkiem biegło zagięcie, ślad po złożeniu i umieszczeniu w segregatorze.

- Dlaczego to wszystko zbierasz? - zapytała Catherine.

Angela uniosła wzrok.

- Mam obses. .. - urwała gwałtownie. Używając słowa „obsesja”, przyznałaby się przyjaciółce do mrocznej przypadłości, która rujnowała jej życie. Nie wierzyła w to, że Catherine do tej pory niczego nie zauważyła, ale i tak się powstrzymała. - Nie potrafię przestać o nich myśleć - odparła w końcu.

- Dlaczego?

- Trudno to wyjaśnić. Kiedy mój mózg się na czymś skupi, trudno jest mi. .. odpuścić. Zaczęłam więc gromadzić informacje na temat tych dziewczyn i chyba na coś natrafiłam.

Angela rozłożyła swoje materiały na stole. Wydrukowała artykuły z gazet i mikrofilmów w bibliotece, podobnie jak strony z książek, a jej własne notatki wypełniły jedną trzecią zeszytu na spirali.

- Od wiosny zaginęły trzy dziewczyny. Tu są daty każdego z przypadków. - Angela wskazała inną stronę. - Tutaj mam listę

opisującą każdą ofiarę: wiek, pochodzenie etniczne, wykonywaną pracę i cechy fizyczne, takie jak kolor włosów, odcień skóry czy kolor oczu. Sama rozumiesz.

Angela przesunęła w stronę Catherine zapisaną ręcznie listę.

- Policja uważa, że każde zniknięcie miało charakter przypadkowy. Ich zdaniem wszystkie te kobiety porwał ten sam mężczyzna, ale że jednocześnie nie ma między nimi żadnych powiązań. Z tego, co widzę, mają rację. Żadnej z tych kobiet z pozostałymi nic nie łączyło. Policja uważa jednak, że Złodziej nie uderza systematycznie. To akurat nie jest prawdą.

Catherine popatrzyła na Angelę.

- Od jak dawna nad tym siedzisz?

- Zajmowałam się tym przez całe lato, od kiedy te kobiety zaczęły znikać. W zasadzie pracuję tylko nad tym i tylko o tym potrafię myśleć. Ale dziś rano uświadomiłam sobie, że zaczęłam analizować ten przypadek jeszcze wcześniej, tyle że nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki wszystkiego nie ułożyłam w jedną całość.

- A co takiego ułożyłaś?

Angela podniosła przypadkowy arkusz spośród skserowanych stron.

- Spójrz na to. Posortowałam cechy każdej zaginionej dziewczyny - wiek, pochodzenie, zawód, cechy fizyczne, wszystko to, co widać na tej liście - a potem wróciłam nie tylko do przypadków tych zaginięć, ale również zabójstw innych kobiet o podobnych cechach w Chicago i okolicach.

Angela wskazała ręcznie sporządzony wykres, który narysowała w bibliotece.

- Popatrz tutaj. - Wskazała wykres palcem. - U dołu są lata, począwszy od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, aż do dziś, do

lata siedemdziesiątego dziewiątego. -Przeciągnęła paznokciem u dołu kartki, od lewej do prawej strony. - Na osi pionowej zaznaczona jest liczba zabójstw kobiet, które pasują do tych kategorii. Znów mamy wiek, płeć, pochodzenie, cechy fizyczne. A teraz spójrz na lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt do siedemdziesiąt. Linia zabójstw pasujących kobiet jest płaska.

Na wykresie pozioma kreska biegła od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego bez żadnych znaczących wzrostów czy spadków.

- Ale w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym - ciągnęła Angela - mamy nagły skok kwalifikujących się zabójstw.

Na wykresie Angeli linia pięła się dramatycznie ku górze w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

- I to są wszystkie zabójstwa popełnione w Chicago? - zapytała Catherine.

- Nie. W siedemdziesiątym w Chicago i okolicach popełniono ponad osiemset morderstw. Wykres przedstawia jedynie te dotyczące kobiet o podobnych cechach do piątki, która zaginęła latem. - Angela znów postukała w wykres. - Wzrost liczby zabójstw rozpoczyna się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym i trwa do siedemdziesiątego drugiego, po czym zwalnia, ale pozostaje wysoki w odniesieniu do całej dekady lat sześćdziesiątych. Później, w tym roku, mamy znów gwałtowny spadek do poziomu z lat sześćdziesiątych.

Catherine słuchała i kiwała głową.

- Widzę ten wzrost i spadek. Ale co to oznacza?

- Oto moja teoria - powiedziała Angela. - Osoba, która porywa teraz, mordowała podobne im kobiety od mniej więcej tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Od siedemdziesiątego do

siedemdziesiątego ósmego facet był nieostrożny i bezczelny, ale od tego roku stał się dużo bardziej uważny. Policja przestała znajdować ciała po tygodniach od zaginięcia; teraz kobiety znikają bez śladu.

Catherine zmrużyła oczy, kiedy zaczęła dostrzegać sens w teorii przyjaciółki.

- Twierdzisz, że rządy terroru tego faceta rozciągają się nie tylko na to lato, ale na całą dekadę?

Angela po raz drugi nawiązała z nią kontakt wzrokowy.

— Tak.

Catherine wyprostowała się na krześle.

- To jest naprawdę odjechane, przyznaję.

- Ale dostrzegasz taką możliwość, prawda? - spytała Angela.

- Kiedy przedstawiasz mi to w taki sposób, to i owszem. Zakładając jednak, że twoje wnioski są właściwe.

- Są właściwe.

- I wszystkie te informacje zdobyłaś w bibliotece?

- Każdy może sobie tam tego poszukać. Trzeba to po prostu robić w odpowiednich miejscach z odpowiednimi pomysłami w głowie. Ten facet, Złodziej, ma swój typ i od dziesięciu lat żeruje na kobietach, które sobie upatrzył.

- Dlaczego w takim razie stał się taki ostrożny w tym roku? Dlaczego staranniej ukrywa ciała?

- Dobrze pytanie - odparła Angela. - Co się wydarzyło w ubiegłym roku? O jakiej wielkiej sprawie się tutaj trąbiło?

Catherine pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

Angela wyjęła kolejne kartki z teczki i podała je przyjaciółce.

- Pamiętasz Des Plaines?

Catherine otworzyła szerzej oczy, czytając nagłówek: „KLAUN ZABÓJCA PRYZNAJĘ SIĘ DO 33 OFIAR PO ODNALEZIENIU KOLEJNYCH CIAŁ”. Właśnie coś sobie uświadomiła. - John Wayne Gacy - szepnęła.

- Zgadza się. Policja wytropiła seryjnego mordercę nazwiskiem John Wayne Gacy, który zabił ponad trzydziestu młodych mężczyzn i zakopał ich pod podłogą swojego domu. - I co w związku z tym? Złodziej się wystraszył, kiedy aresztowano Gacy'ego?

- Właśnie tak. Policja nagle zaczęła działać sprawniej. Opinia publiczna stała się czujniejsza. A jeśli służby zyskały umiejętność dostrzegania wzorców, mogli znaleźć również tego faceta. - Angela znów postukała w wykres. - Postanowił zatem zmienić się z mordercy w złodzieja. Wciąż zabija te kobiety, tu nie mam żadnych wątpliwości, ale bardziej się stara, ukrywając ich zwłoki.

- Angela, skarbie - powiedziała Catherine. - Nie wiem tak naprawdę, co mam ci powiedzieć. Jeśli to prawda, nawet częściowo, to powinnaś udać się z tym na policję.

Angela ponownie popatrzyła na Catherine.

- Dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie mogę pójść z tym na policję. Będą mi się przyglądać. .. - Angela znów zaryzykowała przelotny kontakt wzrokowy. - Sama wiesz, co sobie pomyślą.

- Zabierz ze sobą Thomasa.

Angela pokręciła głową.

- Nie mogę mu tego powiedzieć. I tak się już martwi tym, jak spędzam czas. Jeśli się dowie o mojej obsesji... - Jej własny głos wypowiedający ponownie to słowo sprawił, że podrapała się w ramię przez materiał bluzki. Poczwała nagłą frustrację, kiedy łagodnie

przycięte paznokcie, skrócone do samych opuszków, nie pozwoliły jej wywołać bólu, na który liczyła. - Thomas uzna, że zajmuję się sprawami, które nie służą mojemu zdrowiu.

- Ale jeśli to prawda, Angela, jeśli to, co odkryłaś ma sens, to zdanie Thomasa na temat twojego spędzania czasu nie ma większego znaczenia. - Catherine dotknęła wykresu. - Jeśli to jest prawda, to powiedzenie o tym policji może uratować komuś życie.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i w domu rozległ się tubalny głos męża Catherine.

- Catherine, jesteś w domu?

- Jestem tutaj, kochanie.

W chwili paniki, kiedy Bill Blackwell wszedł do kuchni, Angela zaczęła zbierać swoje materiały i upychać je do teczki. Mąż Catherine miał na sobie brudne dżinsy i koszulę ze śladami zaschniętego betonu. Angela natychmiast rozpoznała ten widok, gdyż Thomas również często wracał do domu w takim stanie. Bill zawiązał na głowie bandanę, która zwisała mu luźno na karku. Angela przypomniała sobie czerwone ślady na jego skórze i uwagi dotyczące komarów, reakcji alergicznych i odejścia brygadiera, które zmusiło go do przejęcia kierowania ekipami. Tamtej nocy nawet sobie nie uświadomiła, pogrążona w myślach na temat zaginionych kobiet, że te słowa Billa Blackwella do niej dotarły. Tak właśnie funkcjonował umysł Angeli - chłonał wszystkie informacje i układał je w głębokich partiach jej mózgu. Skatalogowane informacje przypadkowo powracały, aż uświadamiała sobie ich obecność. Często się to jej zdarzało. Umysł szeptał do niej, że jest czegoś świadoma, nawet jeśli nie wiedziała dokładnie, co to takiego. Później zapisany obraz lub fragment informacji odrywał się od pozostałych i wynurzał na powierzchnię. Teraz jednak coś jeszcze przyciągnęło jej

uwagę. Angela starała się nie patrzeć, skupiając wzrok na papierach, żeby jak najszybciej móc stąd wyjść.

- Angela - powiedział Bill. - Jak się masz? Nie wiedziałem, że się dziś spotykacie.

Angela się uśmiechnęła i rzuciła Billowi Blackwellowi przelotne spojrzenie. W tej samej chwili zwróciła uwagę na inny obraz, który pojawił się jej przed oczami. Zobaczyła w tle innego mężczyznę.

- To Leonard Williams - oznajmił Bill, kiedy obcy wchodził do kuchni. - Pracuje dla mnie w warsztacie w Kenoshy. Wpadłem do domu, żeby coś na szybko przekąsić, zanim pojedę na zachodnią stronę.

Kiedy Leonard Williams zjawił się w kuchni, Angela natychmiast rozpoznała w nim mężczyznę z alejki, który chciał jej pomóc przy kanapie. Ciemne oczy kryły się w cieniu w mniejszym stopniu niż tamtego dnia, kiedy od tyłu podświetliło go poranne słońce, jednak czarna oprawa jego oczodołów była bardzo charakterystyczna. Gardło Angeli zacisnęło się natychmiast w panicznej reakcji na jego widok. Nie mogła oddychać, przez co jej oczy się rozszerzyły i wyszły na wierzch. To ten mężczyzna zafundował jej tydzień histerii i wywołał u niej objawy manii obsesyjno-kompulsywnej.

W końcu nabrała powietrza do płuc i wróciła do układania w teczce papierów, z których kilka spadło na podłogę. Pochyliła się szybko, żeby je pozbierać i zapobiec rozrzuceniu innych, ale poczuła, jak kolejne kartki lądują na jej plecach.

- Hej, hej - powiedział Bill. - Spokojnie.

Zerknął z ukosa na Catherine, po czym podniósł kilka arkuszy i podał je Angeli, która odebrała je pospiesznie, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Nie musiała patrzeć mu w oczy, żeby dostrzec wyraz obrzydzenia na jego twarzy. Wyczuła go. Było to

spojrzenie, które Angela знаła jeszcze z dzieciństwa. Większość ludzi patrzyła na nią właśnie w taki sposób przez cały okres dorosłości, a dziś poczuła, jak opuszcza ją pewność siebie, nad którą pracowała przez kilka ostatnich lat. Wymamrotała słowa podziękowania i wcisnęła kartki luzem do torby.

- Czekaj, pomogę ci - zaoferowała się Catherine, przejmując kontrolę nad sytuacją i układając starannie kartki, żeby Angela mogła je schować. - Angela wpadła na kawę - wyjaśniła. - Taka niezapowiedziana wizyta.

Bill popatrzył na suchy dzbanek do kawy, pusty od rana.

- Jasne - odparł. - Lepiej się czujesz? Thomas wspominał, że ostatnio było gorzej.

Angela pokiwała pospiesznie głową.

- Tak, dzięki. - Spojrzała na Catherine. - Zadzwoń do mnie później, to pogadamy.

- Nie ma sprawy.

Angela wyminęła męża przyjaciółki i mężczyznę z alejki, wyszła do holu, otworzyła siatkowe drzwi i zeszła po stopniach. Po chwili ruszyła pospiesznie chodnikiem, trzymając torebkę ciasno pod pachą.

W domu Bill Blackwell stanął obok Catherine i odprowadził spojrzeniem oddalającą się szybkim krokiem Angelę. Mówił cicho, żeby Leonard Williams, którego Thomas zatrudnił właśnie jako brygadiera, nie usłyszał jego słów. Nie chciał, żeby trafiły one do jego współnika.

- Nigdy nie pytałem o to Thomasa, ale co się z nią, do cholery, dzieje? Jest jakaś taka. .. dziwna. Jakby trochę cofnięta w rozwoju.

Catherine odwróciła głowę i spojrzała mężowi w oczy.

- Głupia to ona na pewno nie jest, idioto.

- To dlaczego zachowuje się w taki sposób?
- Bo ma genialny umysł, Bill, a ludzie traktują ją jak trędowatą.

Rozdział 10

Chicago, 21 października 2019 r.

Rory weszła do niewielkiej kancelarii i pstryknęła włącznikiem światel. Minęła biurko Celi i znalazła się w gabinecie ojca, gdzie sterta dokumentów zdążyła się już skurczyć od czasu jej poprzedniej wizyty. Wciąż pamiętała dzień, w którym łzy Celi popłynęły po jej szyi. Tydzień później na samą myśl o tym dostawała gęsiej skórki i pod prysznicem szorowała się dłużej niż zwykle.

Pomimo hysterii Celia okazała się całkiem wydajna w pracy. Wraz z praktykantem powiadomili wszystkich bieżących klientów o śmierci Franka Moore'a i konieczności znalezienia dla nich nowej kancelarii. Dzięki starannej pracy Celi każdy klient albo znalazł się pod skrzydłami nowych opiekunów, albo otrzymał cenne wskazówki, do kogo powinien się zwrócić. Do wszystkich byłych klientów wysłane zostało powiadomienie informujące o tragicznym wydarzeniu. W ciągu zaledwie tygodnia Celia ukończyła pracę, opróżniła swoje biurko, a cała reszta związana z rozwiązaniem firmy Franka Moore'a spoczęła na barkach Rory.

Ona sama również nie próżnowała. Zadzwoniła do wszystkich klientów, u których zbliżały się terminy rozpraw, i wyjaśniła sytuację - do chwili wyznaczenia nowych adwokatów wypełniono wnioski o przeniesienie terminów. Niemal każda sprawa została już załatwiona

i kiedy weszła tego ranka do gabinetu ojca, na blacie znajdowała się ostatnia teczka. Sprawa była zagadkowa i kłopotliwa i do tej pory Rory nie zdołała jej nikomu przydzielić. Wynikało to w dużej części z faktu, że sędzia, z którym rozmawiała na temat tej sprawy, zażądał spotkania z Rory przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, ale również z tego, że im bardziej Rory wnikała w szczegóły, tym bardziej czuła się zaciekawiona przypadkiem, który jej ojciec wziął pod swoją pieczę.

Przesiedziała godzinę za biurkiem ojca, szukając w internecie informacji na temat klienta. Kiedy pomagała w kancelarii, nigdy nie usłyszała o tej sprawie, jednak jej zaangażowanie w Grupę Prawniczą Moore było bardzo ograniczone, więc się tym nie zaniepokoiła. Tak naprawdę nie wiedziała o większości klientów swojego ojca, jednak ten konkretny przypadek niósł ze sobą coś na tyle osobliwego, że postanowiła zbadać, w jaki sposób w ogóle doszło do nawiązania takiej współpracy. Historia relacji ojca z tym klientem była obszerna, a wyplątanie z niej kancelarii z pewnością nie mogło się sprowadzić do kilku rozmów telefonicznych.

O dziesiątej Rory wyłączyła komputer, zabrała teczkę leżącą na biurku ojca, wyszła i zamknęła za sobą drzwi do pustej kancelarii. Wsiadła do samochodu i pojechała do miasta, do Daley Center. Na miejscu przeszła przez ochronę i po kilku minutach wjechała windą na dwudzieste szóste piętro, gdzie mieściło się biuro sądu okręgowego hrabstwa Cook. Strażnik poprowadził ją korytarzem do pokoju sędziego i zastukał w zamknięte drzwi. Po chwili otworzył im dystyngowany siwowłosy mężczyzna w okularach o drucianych oprawkach. Ubrany był w garnitur i krawat.

- Rory Moore? - zapytał.

- Tak, panie sędzio - odparła Rory, kiedy strażnik musnął czapkę palcami i odszedł.

- Russell Boyle. Proszę wejść.

Rory weszła do pokoju sędziego i zajęła krzesło stojące przed jego biurkiem. Sędzia usiadł na swoim głębokim, skórzanym tronie i obrócił się twarzą do Rory.

- Próbowałem skontaktować się z pani ojcem od kilku tygodni. Przykro mi z powodu jego śmierci. Dopiero się o tym dowiedziałem.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję za to, że zjawiała się tu pani w tak krótkim czasie. Nie chciałbym, żeby to źle zabrzmiało, ale z wielu przyczyn poza tą oczywistą, do śmierci pani ojca doszło w niefortunnym momencie. Pracowaliśmy z Frankiem nad delikatną sprawą i sytuacja wymaga uwagi. - Sędzia Boyle wyjął jakiś dokument z szuflady biurka.

- Tak, sir - rzuciła Rory. - Próbuję się zająć właśnie tą ostatnią sprawą, którą prowadził mój ojciec.

- Zna pani jej szczegóły?

- Nie. Nie znałam szczegółów żadnej ze spraw prowadzonych przez mojego ojca.

- Nie była pani przypadkiem partnerem w kancelarii?

- Partnerem? Ależ nie, sir. Mój ojciec prowadził kancelarię samodzielnie. Nie miał żadnych partnerów, a już z pewnością nie mnie. Pomagałam mu czasami, kiedy potrzebował pomocy, ale nie działałam aktywnie w firmie.

- Do czego się zatem sprowadzała pani rola, pani Moore?

Rory próbowała znaleźć odpowiednie słowa, żeby opisać, co tak naprawdę robiła dla swojego ojca. Działający błyskawicznie umysł i fotograficzna pamięć pozwalały jej czytać streszczenia spraw oraz zrozumieć prawo i jego luki w dużo lepszym stopniu niż na przykład

ojcu. Kiedy Frank Moore blokował się na jakiejś sprawie, prosił córkę o pomoc. Choć Rory nigdy nie postawiła stopy na sali sądowej, zawsze potrafiła zasugerować ojcu zwycięską strategię w danej sprawie, przy której potrzebował jej wsparcia.

- W większości do prowadzenia badań - odparła w końcu Rory.

- Ale jest pani prawniczką, pani Moore, zgadza się?

Formalnie rzecz biorąc, była nią, ale bardzo chciała móc w tym momencie skłamać i zaprzeczyć.

- Już w ogóle nie praktykuję.

- Ma pani licencję w Illinois?

- Tak, sir, ale tylko jako uzupełnienie mojego zatrudnienia w departamencie policji Chicago. ..

- Dobrze - wtrącił szybko sędzia Boyle. - Doskonale się pani zatem kwalifikuje do tego, by zająć się tą sprawą. - Rory zabrała plik kartek.

- Przedstawię pani pokrótce, o co chodzi. Pani ojciec przygotowywał się do nadzorowania zwolnienia warunkowego i sytuacja jest bardzo delikatna.

Rory zaczęła czytać dokumenty.

- Wasz klient ma po raz ostatni stanąć przed komisją zwolnień warunkowych, gdzie zostaną przedstawione moje rekomendacje dotyczące warunków zwolnienia, które planowane jest na trzeciego listopada. Posiedzenie zaplanowano na dzień wcześniej. Omawialiśmy z pani ojcem szczegóły, obawiam się zatem, że na posiedzenie będzie pani zmuszona założyć swoje prawnicze obuwie. To w dużej mierze formalność, ponieważ komisja przyjmie wszystkie moje rekomendacje, a ja zaakceptowałem już ich sugestie. Tak czy inaczej, będziemy musieli zwrócić uwagę na najmniejsze detale. Będzie pani musiała mu towarzyszyć.

- Sir, nie jestem pewna, czy to jest dobry pomysł.

- Staralem się to przeciągać najdłużej, jak tylko się dało, ale komisja zwolnień podjęła decyzję i rozmawiałem na ten temat z gubernatorem. Nie da się już tego powstrzymać, muszę więc dopilnować, by wszystko przebiegło sprawnie. Z pani ojcem siedzieliśmy nad naprawdę gównianymi szczegółami, proszę wybaczyć mój język. Moje warunki zwolnienia były negocjowane. Mieliśmy już prawie wszystko ustalone.

Sędzia Boyle wskazał dokumenty, które trzymała Rory.

- Proszę się z tym zapoznać, żebyśmy na następnym spotkaniu mogli omówić końcowe warunki.

- Panie sędzio, próbuję przenieść do innych kancelarii wszystkie prowadzone przez ojca sprawy. Nie biorę ich na siebie.

- Obawiam się, że w tym przypadku tak się nie stanie, chyba że zdoła pani znaleźć zastępstwo do przyszłego tygodnia.

- Czy mogę wnioskować o przełożenie terminu?

- Pani ojciec zrobił to już kilkakrotnie. Nie mogę dłużej podążać tą drogą. Ta sprawa przyciąga zbyt wiele uwagi. O waszym kliencie mówiono ostatnio w wiadomościach, a za dwa tygodnie ma on stanąć przed komisją. Do momentu aż zapozna się pani ze sprawą, porozmawiamy jeszcze na temat specyfiki tego zwolnienia. Załatwmy sprawę tego człowieka, chcę się wreszcie pozbyć jego papierów z mojej szuflady.

- Sir, ja się nie nadaję na salę sądową. Ani do komisji zwolnień, skoro o tym mowa. W ogóle nie nadaję się na prawnika.

Sędzia Boyle podniósł się ze swojego majestatycznego, skórzanego fotela i ruszył w stronę drzwi.

- Sugeruję, żeby znalazła pani rozwiązanie tego problemu, zanim w przyszłym tygodniu skończy się pani urlop prawniczy.

Otworzył drzwi i stanął obok. Rory zrozumiała, że powinna już wyjść. Kiedy wstała, poczuła, że ma miękkie kolana. Kiedy w końcu odzyskała panowanie nad kończynami, odchrząknęła.

- Co zrobił ten facet, że proste zwolnienie warunkowe stało się takie skomplikowane?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym pozbawił życia sporo osób, a teraz kilku idiotów z komisji uważa, że dobrym rozwiązaniem jest wypuszczenie go z więzienia.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Angela pokonała truchtem dwie dzielnice dzielące ją od domu, wbiegła po stopniach i pospiesznie otworzyła drzwi wejściowe. Zatrzasnęła je z hukiem za sobą i drżącymi dłońmi przesunęła rygiel. Wciąż oddychała ciężko po przebieżce, w trakcie której raz za razem oglądała się przez ramię, żeby się upewnić, że nikt za nią nie podąża. Po zamknięciu drzwi oparła się o nie czołem, łapiąc powietrze nie tylko z wysiłku, ale również na myśl o spotkaniu z obcym z alejki. Przez ostatni tydzień starała się wyrzucić z głowy obraz tych głęboko osadzonych oczu. Dziś poradziła sobie dobrze, zastępując twarz obcego wizerunkami zaginionych kobiet i pracując nad teorią mówiącą o tym, że Złodziej działa znacznie dłużej niż od tego lata. Jednak teraz, kiedy zobaczyła tego człowieka w domu Catherine i dowiedziała się, że Thomas i Bill go zatrudnili, ledwie ujarzmiona paranoja Angeli znów zerwała się z łańcucha.

Przez następną godzinę kontrolowała wszystkie zamki i okna, w międzyczasie dziesiątki razy podnosząc słuchawkę telefonu. Zadzwoiła do biura Thomasa, ale nikt nie odebrał. Rozbolał ją nawet palec wskazujący od wciskania przycisków na obudowie aparatu. Szybko wpadła w niekontrolowaną pętlę wybierania numeru do biura męża, podbiegania do okna w kuchni, odchylania zasłon i

zerkania w stronę alejki. Krążyła tak po domu przez kilka godzin, aż w końcu usłyszała niski pomruk forda należącego do Thomasa i zobaczyła, że brama garażowa zaczyna się otwierać. Warkot silnika pickupa jej męża, który dotąd zawsze ją drażnił, jak każdy głośniejszy dźwięk, tego dnia przyniósł ukojenie.

Angela poczuła pieczenie skóry, czekając na Thomasa w kuchni. Kiedy drzwi się otworzyły, natychmiast dostrzegła na jego twarzy wyraz niepokoju.

- Co się stało? - zapytał, podchodząc do niej szybkim krokiem.

- Znów go widziałam - odparła Angela, ale Thomas nie skupił uwagi na jej słowach.

Ujął delikatnie jej nadgarstki i sprawdził ręce, unosząc je do twarzy, żeby lepiej widzieć. Po raz pierwszy Angela zobaczyła swoje zakrwawione paznokcie. Thomas przesunął dłonie wyżej, na jej ramiona, i podciągnął jej rękawy. Angela nieświadomie zdjęła bluzkę z długimi rękawami, którą założyła do biblioteki i którą skomentowała Catherine. Teraz miała na sobie białą bluzeczkę, której rękawy nosiły ślady krwi w miejscach, gdzie wbiła paznokcie w ciało i rozdrapała stare strupy.

- Co się dzieje? - zapytał Thomas. - Jesteś cała we krwi.

Poczuła, że dotyka jej czoła i brwi, gdzie zakrwawione palce pozostawiły karmazynowe ślady po wrywanych włoskach.

- Był u Catherine w domu. Bill go zatrudnił.

- Spokojnie - powiedział Thomas i popatrzył jej w oczy. - Oddychaj powoli.

Angela przełknęła ślinę i spróbowała odzyskać kontrolę nad oddechem. Przypominała teraz dziecko, które skończyło rozpaczliwie płakać i próbowało coś powiedzieć. Wzięła kilka oddechów i pozwoliła, by dotyk dłoni Thomasa uspokoił jej umysł.

- Byłam dziś u Catherine w domu.

- No i?

- I przyszedł Bill.

- I?

- Przyprowadził ze sobą tego człowieka z alejki. Tego, który chciał mi pomóc z kanapą.

- Kto to był?

- Bill powiedział, że dla was pracuje. Prowadzi warsztat na północy. Thomas ściągnął brwi i przekrzywił lekko głowę.

- Warsztat w Kenoshy? Mówisz o Leonardzie.

- On był w domu u Catherine. Patrzył na mnie.

- Leonard Williams? Naprawdę mówisz o Leonardzie?

- Tak! - krzyknęła Angela. - To ten człowiek z alejki.

- Angelo, wszystko jest w porządku.

Thomas spróbował ją przytulić, ale zaparła się jak dziecko, które nie chce zostać podniesione przez rodzica.

- Ale. .. widziałam go wtedy na ulicy.

- Leonard mieszka w pobliżu. Tamtego ranka wybrał się zapewne na spacer. To dobra wiadomość, Angelo. Rozumiesz? Leonard jest niegroźny. Prowadzi jeden z naszych warsztatów, to wszystko.

Angela znów poczuła, że Thomas próbuje ją przytulić, tym razem jednak na to pozwoliła. Wciąż oddychając z trudem, oparła głowę na ramieniu męża, ale w jego objęciach nie znalazła spodziewanego ukojenia. Teraz była w stanie tylko się zamartwiać. Jej umysł pozwalał jedynie na tyle. Niepokój wypełniał jej pierś, głowę, duszę.

- Myślę, że znów powinnaś zacząć spotykać się z lekarzem - wyszeptał jej do ucha Thomas.

Rozdział 11

Chicago, 22 października 2019 r.

Przed południem, następnego dnia po spotkaniu z sędzią Boyle'em, rozpoczęło się posiedzenie sądu. Korytarze świeciły pustkami, kiedy Rory weszła do budynku Dirksen Federal Courthouse w dzielnicy Loop. Z każdym krokiem dzwoniły i stukały jej wojskowe buty, a dźwięk ten odbijał się echem od ścian. Rory odnalazła salę sądową, poprawiła szary płaszcz, otworzyła ciężkie drzwi i usiadła bezgłośnie w tylnym rzędzie. Ławki były w większości wolne, nie licząc trzech pierwszych, które zajęła grupa mężczyzn i kobiet. Rory uznała, że to studenci Lane'a Phillipsa. Fani, uśmiechnęła się w myślach, którzy podążali wszędzie za starym, dobrym doktorem. Każda wizyta Lane'a w sądzie wzbudzała ogromne emocje wśród młodych ludzi, którzy mieli nadzieję zobaczyć swojego mentora w roli zeznającego w sądzie, co nie zdarzało się często. Rory musiała przyznać, że obecność Lane'a Phillipsa w sądzie mogła rywalizować z każdą inną formą rozrywki.

Lane zeznawał jako ekspert powołany przez oskarżycieli w sprawie podwójnego morderstwa, do którego doszło przed rokiem. Pewien mężczyzna został oskarżony o zabicie żony i matki w przypiływie wściekłości. Rory nie miała większego kontaktu z Lane'em w

minionym tygodniu, bo ten poświęcił niemal cały czas na przygotowanie się do rozprawy.

- Doktorze Phillips - powiedział adwokat ze swojego miejsca. - Wspomniał pan wcześniej, że pańską specjalizacją jest psychologia sądowa. Zgadza się?

- Zgadza się - przyznał doktor Phillips z fotela dla świadka.

Lane dobiegał pięćdziesiątki, ale prezentował się jak trzydziestolatek, ze swoimi potarganymi włosami i pozostałością po wyraźnym niegdyś dołku na prawym policzku, który wciąż się ujawniał przy uśmiechu. Swobodnym zachowaniem w obliczu wszystkiego, co stawało mu na drodze, zaskarbił sobie popularność wśród studentów traktujących go niczym bóstwo. Jego luzacki styl - specyficzna fryzura, czarne dżinsy, znoszony sportowy płaszcz i brak krawata - z całą pewnością przemawiał do młodych odbiorców zgromadzonych w pierwszych rzędach. Dzięki temu wszystkiemu Rory Moore, której daleko było do dziewczęcości, wyglądała przy nim jak królowa piękna.

Wygląd Lane'a kontrastował ostro z aparycją maglującego go adwokata o starannie uczesanych włosach i spinkach do mankietów, które lśniły jasno, kiedy wysuwały się spod rękawów szytego na miarę garnituru. Jeszcze zanim Rory zdążyła wysłuchać obu mężczyzn, uświadomiła sobie, że są oni rywalami.

- Czy to również prawda, doktorze, że pełni pan często funkcję świadka-eksperta w sprawach o wysokiej randze?

- Ranga sprawy nie wpływa na moją decyzję o udziale w roli świadka.

- Rozumiem - odparł adwokat, wychodząc zza mównicy. - Ale czy to prawda, że często zeznaje pan jako świadek-ekspert w sprawach o morderstwa?

- Owszem, to prawda.

- Pańskie doświadczenie często pomaga również ławie przysięgłych w zrozumieniu sposobu myślenia osoby, która została oskarżona o morderstwo. Zgadza się?

- Niewykluczone, że tak jest - odparł doktor Phillips. Siedział wyprostowany z dłońmi na udach, emanując spokojem i pewnością siebie w przeciwieństwie do agresywnego adwokata.

- W dzisiejszej sprawie zaoferował pan ławie przysięgłych dość szczegółowy wgląd, że tak się wyrażę, w umysł mojego klienta. Czy to prawda?

- Zaoferowałem swoją opinię na temat sposobu myślenia pańskiego klienta, który zamordował żonę i matkę, zgadza się.

Adwokat roześmiał się krótko.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

- Doktorze Phillips - powiedział sędzia. - Proszę ograniczyć swoje komentarze do zadawanych pytań i nie sugerować winy lub niewinności oskarżonego.

- Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie - odparł doktor Phillips, przenosząc spojrzenie z powrotem na adwokata. - Zaoferowałem swoją opinię na temat tego, co można by pomyśleć, gdyby ktoś zamordował swoją żonę i matkę.

Słowa te wywołały subtelną reakcję wśród studentów.

Adwokat skinął głową i uśmiechnął się zdawkowo, przesuając językiem po wewnętrznej stronie policzka.

- Opierając się zatem na dzisiejszym zeznaniu i na wielu innych sprawach, w których pełnił pan funkcję eksperta w dziedzinie umysłu przestępcy, można by założyć, że został pan zatrudniony przez agencję rządową. Na przykład przez FBI?

Lane pokręcił głową.

- Nie.

- Nie? Czy tak wyjątkowy specjalista jak pan nie przydałby się w wydziale dochodzeniowym lub departamencie nauk behawioralnych Federalnego Biura Śledczego? Doktor Phillips wyprostował palce obu dłoni.

- Możliwe.

Adwokat zbliżył się o kilka kroków.

- Musi pan zatem prowadzić prywatną praktykę? Regularnie świadczyć usługi doradcze w takich sprawach? Z pewnością dzięki czemuś takiemu został pan ekspertem w dziedzinie umysłów przestępców.

- Nie - odparł cicho Lane. - Nie prowadzę prywatnej praktyki.

- Nie? - Adwokat pokręcił głową. - Proszę nam w takim razie powiedzieć, doktorze Phillips, gdzie pan pracuje z całą tą swoją zaawansowaną wiedzą i wieloma publikacjami w zakresie psychologii sądowej?

- Nadzoruję Murder Accountability Project.

- Tak - odparł adwokat, po czym zgarnął z blatu dokumenty i je przekartkował. - To ten pański hobbistyczny projekt, w którym działa ponoć algorytm wykrywający seryjnych morderców. Dobrze to rozumiem?

- Nie do końca - odpowiedział Lane.

- W takim razie proszę nas oświecić.

- Po pierwsze nie jest to hobbistyczny projekt, ale pełnoprawna spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, dająca mnie i moim pracownikom wynagrodzenie. I nie opracowałem czegoś, co „ponoć” działa. Jest to rzeczywiście algorytm, który śledzi podobieństwa między zabójstwami w całym kraju w celu wykrycia trendów. Trendy te mogą prowadzić do wzorców, a te z kolei pomagają w śledztwach.

- A biorąc pod uwagę wszystkie te sprawy o morderstwo, które pomaga pan rozwiązać, z iloma oskarżonymi ma pan osobisty kontakt jako psycholog?

- Mój program identyfikuje trendy pomagające w śledzeniu potencjalnych zabójców. Kiedy znajdujemy wzorzec, sprawę przejmują odpowiednie organy ścigania.

- Zatem odpowiedź na pytanie, z iloma oskarżonymi rozmawia pan osobiście jako psycholog, brzmi: zero. Zgadza się?

- Nie jestem bezpośrednio zaangażowany w sprawę żadnego z oskarżonych, których pomógł zidentyfikować mój program.

- Czyli określanie siebie mianem eksperta w dziedzinie psychologii w sytuacji, kiedy nie prowadzi pan praktyki zawodowej, może być nieco mylące, prawda?

- Nie, proszę pana. Mylące może być ubranie się w lśniący garnitur i nazwanie siebie adwokatem, kiedy tak naprawdę rzuca się jedynie obelgi, żeby zamącić w głowach ławie przysięgłych.

Studenci Lane'a bez powodzenia zamaskowali śmiech.

- Doktorze Phillips - odezwał się sędzia.

Lane skinął głową.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie.

Niewzruszony adwokat wrócił do swoich papierów.

- Jest pan również wykładowcą na uniwersytecie Chicago. Zgadza się?

Lane popatrzył na swojego rywala.

- Tak.

- W jakiej dziedzinie?

- Psychologii kryminalnej i sądowej.

- Rozumiem. - Prawnik wrócił za mównicę z wyrazem udawanego zamyślenia na twarzy i podrapał się w policzek. - Prowadzi pan

zatem firmę, która zajmuje się identyfikowaniem morderców, ale w żadnym stopniu nie pracuje pan z tymi osobami w ujęciu psychologicznym. Ponadto uczy pan psychologii umysłów przestępców młodych studentów. Przez cały czas próbuję zrozumieć, skąd bierze się pańskie praktyczne doświadczenie, doktorze Phillips. Mam na myśli to, że zaoferował pan tak rozległą analizę sposobu myślenia mojego klienta i tego, co musiał on myśleć w ciągu kilku dni przed śmiercią jego żony i matki. Tego typu wnioski muszą pochodzić z praktycznego, klinicznego doświadczenia przy pracy z mężczyznami i kobietami oskarżonymi o popełnienie poważnego przestępstwa. Z mojego punktu widzenia oskarżyciele powołali jednak tak zwanego świadka-eksperta, który prowadzi firmę sprzedającą policji algorytmy i dane i który uczy psychologii dzieciaki w college'u. Doktorze, czy słyszał pan kiedykolwiek powiedzenie „ci, co nic nie potrafią, uczą”?

- Sprzeciw! - zawołał prokurator, wstając z miejsca.

- Cofam to, Wysoki Sądzie. Nie mam więcej pytań do doktora Phillipsa.

Na stanowisku świadka pojawił się prokurator.

- Doktorze Phillips, zanim rozpoczął pan pracę jako wykładowca na uniwersytecie i zaczął tworzyć Murder Accountability Project, gdzie był pan zatrudniony?

- W Federalnym Biurze Śledczym.

- Jak długo?

- Przez dziesięć lat.

- Jaką funkcję pan tam pełnił?

- Zostałem zatrudniony na stanowisku psychologa sądowego.

- I pańskim zadaniem było analizowanie przestępstw w celu określenia typu osoby, która mogła je popełnić. Zgadza się?

- Tak, byłem profilerem.

- W trakcie swojej pracy zajmował się pan ponad stu pięćdziesięcioma sprawami. Jaki był pana wskaźnik powodzenia w sprawach, w których pańskie doświadczenie jako profilera doprowadziło do aresztowania?

- Wskaźnik wynosił niecałe dziewięćdziesiąt dwa procent.

- Krajowa średnia dla tego typu wskaźników wynosi sześćdziesiąt cztery procent. Pański wynik był o trzydzieści punktów procentowych wyższy. Przed pańską karierą w FBI napisał pan pracę na temat umysłów przestępców, zatytułowaną Niektórzy wybierają ciemność. Opracowanie to nadal uważa się za jedną z najlepszych analiz dotyczących umysłów morderców i przyczyn popełniania przez nich zbrodni. Proszę nam powiedzieć, doktorze Phillips, gdzie zdobył pan taką wiedzę?

- Podczas studiów doktoranckich poświęciłem dwa lata na urlop naukowy, w trakcie którego podróżowałem po świecie, rozmawiając ze skazanymi mordercami, poznając motywy, sposoby myślenia, empatię i wzorce, na bazie których człowiek decyduje się odebrać życie innemu człowiekowi. Moja praca została świetnie przyjęta i skrupulatnie sprawdzona przez kolegów.

- Prawda jest taka - powiedział prokurator - że po ponad dziesięciu latach od publikacji pańskiej pracy jest ona nadal niezwykle popularna w środowisku sądowym. Zgadza się?

- Owszem.

- Prawda jest również taka, że pańska praca naukowa służy jako główne narzędzie edukacyjne, z wykorzystaniem którego FBI uczy swoich nowych profilerów. Zgadza się?

- Tak.

- Oprócz pracy doktorskiej spisał pan swoje wnioski dotyczące seryjnych morderców z ostatnich stu lat w książce. Zgadza się?

- Tak.

- Ile wyniósł cały sprzedany nakład do czasu ostatniego dodruku?

- Około sześć milionów egzemplarzy.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Rozdział 12

Chicago, 22 października 2019 r.

Po południu tego samego dnia, w którym Lane zjawiał się w sądzie w roli świadka, Rory weszła do knajpy. Zajęli stolik w kącie baru i zamówili drinki. Rory zdjęła swoją wełnianą czapkę i okulary. Niewiele było na świecie osób, przy których mogła czuć się aż tak swobodnie, a Lane Phillips do nich należał. Barman postawił przed nią portera Surly Darkness, a Lane'owi podał kufel jasnego piwa. Rory się skrzywiła, spojrzawszy na ten trunek.

- No co? - spytał.
- Twoje piwo ma kolor sików.
- To ciemne cholerstwo źle działa mi na żołądek.
- Ty źle działasz mnie na żołądek - odparła. - Dlaczego angażujesz się w to gówno?

- W sądzie? Tam się kwestionuje kwalifikacje każdego świadka-eksperta. To część tej całej imprezy. Trzeba mieć do tego twarde tyłek i samemu to przeżyć. Obrońca mnie atakuje po to, by odwrócić uwagę ławników od faktu, że jego klient zamordował żonę. Jeśli ta praca wymagałaby podania w wątpliwość moich kwalifikacji, to nie mam z tym najmniejszego problemu, o ile ten sukinsyn zostanie uznany za winnego.

- Nienawidzę takich tyranów.

- On tylko wykonuje swoją pracę.
- Prawnicy są zakałą tej ziemi - mruknęła Rory, łykając portera.
- I mówi to siedząca obok mnie prawniczka. A tak przy okazji, to facet ma rację. Nie praktykuję psychologii już od wielu lat, a z obłąkanymi przestępcami nie miałem bezpośredniego kontaktu od ponad dekady.
- To może się niebawem zmienić. Będę potrzebowała twojej pomocy.
- Przy rekonstrukcji sprawy Camille Byrd?

Rory pomyślała przelotnie o Camille, której zdjęcie przypięła przed kilkoma dniami do tablicy korkowej. Ojciec Rory zmarł na zawał tuż po tym, jak zgodziła się przyjąć to zlecenie, a pozamykanie jego spraw okazało się kłopotliwym zadaniem. Kiedy zobaczyła w myślach twarz Camille, poczuła ukłucie bólu. Rory praktycznie już porzuciła tę sprawę, a poczucie winy wynikające ze zlekceważenia nierozwiązanego przypadku mocno ją przytłoczyło. Obiecała sobie w głębi duszy, że poświęci kilka godzin na tę rekonstrukcję zaraz po tym, jak zamknie ostatnią ze spraw prowadzonych przez ojca w kancelarii.

- Nie, przy czymś innym - odparła w końcu. Sięgnęła do torebki i wyjęła dokument, który dał jej sędzia Boyle. - Sprawy ojca mam już praktycznie pozałatwiane, nie licząc tej.

Przesunęła teczkę po blacie i zobaczyła, jak Lane się prostuje. Przeglądanie stron akt sprawy wywołało u niego dreszcz i choć sztywniacki adwokat próbował przekonać wszystkich, że jest inaczej, Lane Phillips był jednym z najlepszych specjalistów od analizy umysłu mordercy. Z FBI odszedł nie dlatego, że jego umiejętności profilerskie budziły wątpliwości, lecz dlatego, że radził sobie z tym aż tak dobrze. Zanurzanie się w umysłach przestępców czyniło go

rozchwianym i udręczonym z powodu tego, co tam znajdował. Rozumiał ich tak dokładnie, że pozostawiali w nim niepokojące emocje, których trudno było mu się pozbyć. Kiedy więc jego książka z opisami najgroźniejszych seryjnych morderców z ostatnich stu lat - z których wielu osobiście przesłuchał - sprzedała się w ponad dwóch milionach egzemplarzy w ciągu pierwszego roku, odszedł z Biura i wraz z Rory uruchomił Murder Accountability Project. MAP miał na celu analizowanie nierozwiązanych zbrodni i identyfikowanie wzorców, które mogłyby wskazywać na podobieństwa między przestępstwami, często wskazując konkretnych seryjnych morderców. Umiejętności Rory i Lane'a wzajemnie się uzupełniały. Ona była najlepsza w skali kraju w rekonstrukcji zbrodni, a Lane Phillips należał do najznamienitszych specjalistów w zakresie seryjnych zabójstw.

- Słyszałeś kiedyś o tym facecie? - zapytała przerzucającego kartki Lane'a.

- Tak. Nazwali go Złodziejem. Ale na miłość boską, to było czterdzieści lat temu. Twój ojciec reprezentował tego gościa?

- Na to wygląda. Wciąż badam szczegóły. Pierwotnie sprawę przejęło Garrison Ford, duża kancelaria adwokacka. Mój ojciec dla nich pracował, kiedy przestał działać jako obrońca z urzędu, ale nie trwało to długo. Najwyżej kilka lat. Kiedy odszedł, żeby założyć własną kancelarię, zabrał tę sprawę ze sobą.

Lane wciąż przeglądał dokumenty.

- W którym roku twój ojciec skończył pracować dla Garrison Ford?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim - odparła Rory. - Od tamtej pory ten facet był jego klientem.

- I co dla niego robił?

- Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Kiedy prawnicy z Garrison Ford przegrali proces, ojciec złożył apelację i reprezentował go na przesłuchaniach w sprawie zwolnienia warunkowego. Facet zgromadził chyba niewielką fortunę, zanim go zapuszkowali, a tata wyniuchał te pieniądze. Założył fundusz powierniczy i chronił go przez trzydzieści lat. Spłacił parę długów, nadzorował kilka nieruchomości i wypłacał sobie z funduszu wynagrodzenie za świadczone usługi prawne.

Lane odwrócił kartkę.

- I często tego gościa odwiedzał. Spójrz tylko na te wszystkie wpisy w dzienniku odwiedzających.

- Tak, ojciec nawiązał z nim dobrą relację.

- W czym w takim razie tkwi problem? Przekaż gdzieś tę sprawę, tak jak wszystkie pozostałe.

- Nie mogę. Facetowi przyznano zwolnienie warunkowe. Mój ojciec pracował z sędzią nad szczegółami, zanim zmarł, a nasz Wysoki Sąd padł ofiarą nacisków, żeby w końcu zamknąć tę sprawę, więc nie pozwala na odroczenie.

Lane upił łyk piwa, nie spuszczać wzroku z papierów.

Rory podniosła szklankę ze swoim porterelem.

- Opowiedz mi o tym człowieku. Sprawdziłam go. Skazano go za zamordowanie dwóch osób. Zwolnienie warunkowe po czterdziestu latach odsiadki nie powinno wzbudzać wielkich emocji. Kiedy jednak rozmawiałam z sędzią, powiedział mi, że facet ma na sumieniu wiele ofiar.

- Jasna cholera - mruknął Lane, unosząc wzrok znad dokumentu, i spojrzał na Rory.

- Co?

- Coś powiązanego z tą sprawą wzbudziło twoją ciekawość, prawda?

- Przestań, Lane.

- Wiem, jak funkcjonujesz, Rory. Coś związanego z zaangażowaniem ojca w tę sprawę zagnieździło się w twoim mózgu i teraz nie potrafisz się tego pozbyć.

Po śmierci jej ojca Lane Phillips był jedynym człowiekiem, który w pełni rozumiał obsesję Rory na temat nieznanego. Jego doświadczenie psychologiczne uniemożliwiało Rory udawanie, że jest inaczej. Doktor Phillips wiedział, jak funkcjonuje umysł człowieka, a w szczególności Rory. To właśnie jej skomplikowana osobowość sprawiła, że stała się tak rozrywaną w branży rekonstruktorką sądową. Dopóki nie znalazła w danej sprawie wszystkich odpowiedzi, jej mózg nie ustępował ani na chwilę, w szczególności wówczas, gdy po pierwszym zerknięciu w dokumenty natrafiała na coś, co na początku nie miało sensu.

Zaangażowanie ojca w sprawę Złodzieja wydawało się nie mieć żadnego sensu.

- Opowiedz mi o tym człowieku - powtórzyła.

Lane chwycił oburącz kufel i zaczął go obracać, zastanawiając się nad sprawą sprzed wielu lat.

- Prokurator naciskał na morderstwo numer jeden, ława przysięgłych wróciła na miejsca z oświadczeniem o winie drugiego stopnia dla samotnej ofiary. Ale ten facet był podejrzany w wielu innych przypadkach zaginięć kobiet - odparł Lane. - Pięciu czy sześciu. .. Musiałbym to sprawdzić.

- Pięć lub sześć morderstw? W tych papierach nie ma ani słowa o innych ofiarach. Gdyby zabił tyle osób, nie byłoby nawet mowy o zwolnieniu warunkowym.

- Podejrzewano go o więcej morderstw, a nie oskarżono. Nie znajdziesz żadnego formalnego nawiązania łączącego go z innymi zbrodniami. Tylko plotki i domniemania.

- Dlaczego więc przyskrzyniono go za tylko jedno morderstwo, skoro uważano, że było ich więcej? Lane złożył dokumenty.

- Z kilku powodów. Pod koniec lat siedemdziesiątych w mieście wybuchła panika. Ludzie wciąż mieli przed oczami Syna Sama[^]. Ten świr też załatwił kilka osób w siedemdziesiątym szóstym. Później tutaj w Chicago mieliśmy horror związany z Johnem Wayneem Gacy'm, który zamordował trzydziestu kilku chłopców i zakopał ich pod swoim domem. Potem mamy lato siedemdziesiątego dziewiątego, zniknięcia kobiet i wynikająca z nich spirala strachu i niepokoju. Wreszcie pod koniec lata policja znalazła winnego. Na jego ślad wpadli jednak w dość nieortodoksyjny sposób, zawdzięczając pomoc autystycznej kobiecie, która złożyła do kupy wszystkie elementy układanki.

Rory pochyliła się nad blatem, żeby niczego nie przegapić. Teraz wydawała się jeszcze bardziej zainteresowana niż wcześniej.

- Metoda, którą zastosowała ta kobieta w celu zgromadzenia i dostarczenia dowodów, była bardzo dziwna, a prokurator zdawał sobie sprawę, że żaden z nich nie może zostać wykorzystany w sądzie. Większość była po prostu nie do przyjęcia. Żadnej ze stron nie zależało na procesie. Gdyby prokuratura nie zdołała przekonać ławy przysięgłych o jego winie, facet wyszedłby na wolność. Gdyby się to udało, kwalifikowałyby się do kary śmierci, która w siedemdziesiątym dziewiątym nadal obowiązywała. Proces był więc ryzykowny dla obu stron. Ostatecznie prokurator nie miał większego wyboru i zdecydował się oskarżyć go o jedno morderstwo. Dowody

nie były twarde, było tam wiele zbiegów okoliczności, no i żadnych zwłok.

- Nie odnaleziono ofiar?

- Nie. Dlatego proces był tak ryzykowny i dlatego zdecydowali się oskarżyć go o tylko jedno morderstwo. Nie znaleziono wtedy żadnych ciał poza jednym, które i tak nie wiązało się z nim w sensowny sposób. A skoro zabrakło zwłok, ława przysięgłych uznała go za winnego morderstwa numer dwa. Skazano go na sześćdziesiąt lat z możliwością warunkowego zwolnienia po trzydziestu. Ten wyrok pozwolił uspokoić niepokoje panujące w mieście.

- A teraz, po dziesięciu latach przesłuchań w sprawie zwolnienia warunkowego i czterdziestu spędzonych za kratami facet ma wyjść na wolność.

Lane pokręcił głową.

- Badałem ten przypadek, pisząc książkę. Ta kobieta, która wszystko rozpracowała. .. wciąż pamiętam te nagłówki: „Schizofreniczka doprowadza do ujęcia Złodzieja”.

- Schizofreniczka?

- W tamtych czasach nikt nic nie wiedział na temat autyzmu. Poza tym słowo „schizofreniczka” było chwytliwe i sprzedaż rosła.

Rory popatrzyła na ciemny płyn w swojej szklance. Uniosła ją i dopiła resztę piwa. Miała ochotę na następne. Marzyła o lekkim rauszu, który pozwoliłby jej uspokoić myśli związane z tą autystyczną kobietą. Nic nie wiedziała na jej temat i zdawała sobie sprawę, że ta ciekawość zakorzeniła się już w jej mózgu i że nie będzie w stanie jej zignorować. Spojrzała na Lane'a.

- Co się z nią stało? Z tą kobietą?

Lane postukał w dokumenty palcem.

- Nazywała się Angela Mitchell. Zabił ją, zanim zdążyła cokolwiek zeznać.

[~21 Pseudonim amerykańskiego seryjnego mordercy pochodzenia żydowskiego, który przyznał się do zabicia sześciu osób i ranienia kilku w Nowym Jorku pod koniec lat 70. XX wieku (przyp. tłum.).

Chicago

Sierpień 1979 r.

Dwa dni po załamaniu Angela znalazła się w gabinecie lekarskim. Siedziała na stole w cienkim stroju i ciągnęła się za rzęsy.

- Spokojnie, kochana - powiedziała pielęgniarka, przygotowując strzykawkę. - Potrzebujemy dwóch fiolek. Niczego nie poczujesz.

Angela odwróciła głowę, kiedy pielęgniarka przycisnęła igłę do zagięcia jej łokcia, ale to nie strach przed ukłuciem sprawił, że ledwie nad sobą panowała. Jej atak paniki wywołał alarm u Thomasa, który zmusił ją do wizyty, zanim wszystko wymknęłoby się spod kontroli. Nie wiedział przy tym, że sytuacja była dużo poważniejsza. Ukrywanie paranoi przed Thomasem sprawiło, że w klinice pozwoliła sobie na odczucie jeszcze większego strachu. Już przez to przechodziła. Przez większą część swojego dorosłego życia spotykała się z lekarzami i psychologami w ich gabinetach. Gdy była jeszcze pod opieką rodziców, to stanowiło nieodzowną część jej życia. Kiedy żaden z terapeutów nie był w stanie zrobić dla ich córki tego, czego oczekiwali, rodzice Angeli skierowali ją do zakładu psychiatrycznego dla młodzieży.

Kiedy ją tam zawieźli, Angela miała siedemnaście lat. Spędziła w nim siedem miesięcy, aż w końcu zwolniła się na własne życzenie

tuż po swoich osiemnastych urodzinach. Uciekła przed tym życiem wyłącznie dzięki pomocy swojej drogiej przyjaciółki.

Przez kilka ostatnich lat wychodziła na prostą, co jej się zasadniczo udało. Od momentu poznania Thomasa starała się kontrolować swój niepokój i w pewnym momencie zaczęła nawet wierzyć, że powoli poznaje, czym jest normalność. Jej autyzm był czymś, czego nikt nie rozumiał, włącznie z wieloma lekarzami, którzy twierdzili, że coś jest z nią inaczej. Angela już dawno zaprzestała prób wyjaśniania innym, w jaki sposób działa jej umysł. W ciągu wielu lat pełnych krytyki i porażek nauczyła się, że nikt nigdy nie zrozumie do końca, w jaki sposób zorganizowane są jej myśli. A jednak znów się tu znalazła, w oczekiwaniu na lekarza, który wyjaśni, co tak naprawdę jej dolega.

Wiedziała oczywiście, że Thomas chciał dla niej dobrze. Prośby o poszukanie wsparcia u psychiatry były po prostu jego sposobem na zapewnienie jej bezpieczeństwa. On też nie znał do końca historii Angeli, ponieważ ona robiła wszystko, by ukryć mroczne lata swojej młodości w tajemnicy. Do niedawna dawała sobie z tym radę. Thomas pokazał jej, że można żyć inaczej, sprawił, że poczuła się bezpieczna. Jednak pomimo postępów przez wydarzenia z lata uświadomiła sobie, że cały jej świat tak naprawdę trzęsie się w posadach. Zaginione kobiety, które nieustannie krążyły jej po głowie i świadomość, że mogły one stanowić część dłuższego łańcucha przemocy, spowodowały, że Angela ruszyła drogą, z której nie można było zbroczyć. Choć sama wiedziała, że jej obsesja dotycząca tych kobiet jest niezdrowa, czuła z nimi związek, którego nie potrafiła zignorować.

Obcy z alejki, który zjawił się ponownie w domu Catherine, uwolnił jej niepokój w takim stopniu, że przeniosła się o wiele lat wstecz do

początków swojej dorosłości. Wierzyła, że jej zaburzenia obsesyjno-kompulsywne skrępowano i wrzucono do szczelnego pojemnika gdzieś w jej mózgu, a tymczasem zostały one uwolnione z ogromną siłą jak wtedy, gdy była młodsza. Przede wszystkim bała się jednak, że przez to wszystko straci Thomasa. Obawiała się, że teraz dostrzegł on pełny obraz jej paranoi i wiedział, że kotwica, dzięki której trzymała się na uwięzi przez kilka lat, zerwała się i pozwoli jej odpłynąć. Miała teraz w głowie tyle trosk, że trudno było jej wszystkie objąć umysłem.

- Gotowe, kochana - powiedziała pielęgniarka, wrywając ją z zamyślenia. W odzianej w rękawiczkę dłoni trzymała dwie fiołki pełne jej krwi. - Lekarz zaraz przyjdzie.

Po kilku minutach w gabinecie zjawił się mężczyzna i przeprowadził pobieżne badanie.

- Czy miewała pani w przeszłości ataki paniki? - zapytał, zaznaczając coś na wykresie.

- Nie - odparła. - To znaczy... kiedy byłam młodsza, ale tak bym tego nie nazwała.

Lekarz pisał jeszcze przez chwilę, po czym popatrzył na Angelę.

- Jako nastolatka przyjmowała pani lit. Czy to przynosiło efekty?

Angela, kiedy ktoś na nią patrzył, zwykle reagowała zawstydzeniem, a tym razem odwróciła wzrok z intensywnością, która zaskoczyła nawet ją samą. Horror z lat młodzieńczych nappełnił ją gniewem.

- Nie! On mnie zmuszał, żebym to brała, tak samo jak moi rodzice.

- Kto?

- Psychiatra, do którego mnie wysłali. Ten sam, który zamknął mnie w szpitalu psychiatrycznym. Uważał, że mam zaburzenia behawioralne i maniakalno-depresyjne. Litu używali po to, żeby mnie

uspokoić. To mnie nie tylko usypiało, ale wywoływało też halucynacje.

Lekarz milczał przez chwilę i w końcu skinął głową.

- Tak, nie każdy dobrze na to reaguje. - Wyjął z kieszeni na piersi bloczek z receptami i coś na nim naskrobał. Oderwał kartkę i podał ja Angeli. - To recepta na valium, dzięki niemu uspokoje się pani bez takich skutków ubocznych, jak w przypadku litu.

Znow coś napisał i po chwili oderwał drugą karteczkę.

- A to nazwisko psychiatry. Myślę, że powinna pani z kimś porozmawiać. Przekazałem do niego ostatnio sporo moich pacjentek. Przez te zaginione kobiety z miasta wiele osób mocno się wystraszyło. Rozmowa z nim z pewnością pani pomoże. Tymczasem proszę przyjmować płyny, aż miną wymioty. Valium powinno pomóc. Ach, pani Mitchell -dodał lekarz, wstając - policja jest dobra w tym, co robi. Oni złapią tego faceta. To będzie najlepszym lekarstwem na wszystko, przez co pani przechodzi.

Wychodząc z kliniki, Angela zmięła kartkę z nazwiskiem psychiatry i wrzuciła ją do kosza na śmieci. Wsiadła do samochodu i kilka minut później weszła do apteki, by zrealizować receptę na valium.

Rozdział 13

Chicago, 23 października 2019 r.

Rory zadzwoniła do detektywa Davidsona. Miał u niej dług po tym, jak skontaktował ją z ojcem Camille Byrd, a teraz zamierzała odebrać przysługę. Potrzebowała wszystkiego, co tylko możliwe w związku ze starą sprawą z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Aby zdobyć potrzebne Rory dokumenty, Ron przeszukał mroczne zakątki budynku federalnego hrabstwa Cook, a po południu przytargał do jej domu trzy kartony wypełnione papierami.

Opróżniła pierwszy z nich i rozłożyła dokumenty na blacie biurka. Fakty dotyczące sprawy z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego mocno ją zafascynowały, a już w szczególności jej uwagę przykuła zagadkowa osoba, Angela Mitchell, która zdołała zidentyfikować seryjnego mordercę. Rory poczuła dziwną więź z tą kobietą. Angela Mitchell zrobiła coś, czym zasadniczo zajmowała się teraz Rory - połączyła nazwiska oraz fakty i zrekonstruowała przestępstwa.

Obrona, która reprezentowała Złodzieja, a której członkiem był ojciec Rory, opracowała biogram Angeli. Opisano ją jako „nieprzystosowaną społecznie dwudziestodziewięciolatkę, która cierpiała na autyzm i dysponowała ograniczonymi możliwościami w

zakresie pojmowania otoczenia". Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, jak podawał raport, zmniejszyły jej szanse na zajmowanie się sprawami życia codziennego, a w okresie, w którym gromadziła „dowody” przedstawione przez prokuratora na rozprawie, była ona pod silnym wpływem valium. Raport opisywał też problematyczne dorosłe życie Angeli, czas spędzony w szpitalu psychiatrycznym dla młodzieży i oziębienie stosunków z rodzicami. Nakreślił się więc dość niepocholebny obraz Angeli Mitchell.

Rory, im dłużej czytała, tym bardziej czuła się związana z tą kobietą sprzed lat. Ich historie były do siebie podobne w wielu aspektach. Choć Rory nigdy nie odsunęła się od rodziców i nigdy nie wylądowała na oddziale psychiatrycznym, to w dzieciństwie borykała się z podobnymi trudnościami jak Angela. Zamiast wysyłać Rory do lekarzy i szpitali, rodzice przekazywali ją pod opiekę ciotce Grecie na okres letni i większość weekendów. Nie wmuszano jej żadnych leków, a ciotka Greta znalazła inne rozwiązanie dla fobii społecznej Rory. Gdyby nie babka cioteczna, jej dzieciństwo można by zapewne opisać w podobny sposób, jak uczyniono to z życiem Angeli Mitchell.

Wyrzuciła z głowy myśl o możliwym uzależnieniu Angeli od valium, które przyszło jej na myśl, gdy spojrzała na swoją szklankę portera Dark Lord, która stała przed nią na blacie. Dochodziła piętnasta i Rory piła drugie piwo, czując w głowie lekki szum wywołany działaniem alkoholu. W wyrazie buntu przeciwko swoim myślom uniosła piwo, wypła długi łyk, po czym poświęciła następne dwie godziny na analizę dokumentów z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, poznając coraz lepiej Angelę Mitchell i to, czego dokonała. Rory zdołała przejrzeć zawartość dwóch kartonów, a trzeci zostawiła na później. Usiadła przed komputerem i wpisała w wyszukiwarce internetowej hasło „Angela

Mitchell". Po przewinięciu kilku stron z wynikami niemającymi nic wspólnego ze sprawą Złodzieja sprzed lat w końcu natrafiła na kilka ogólnych artykułów z nią związanych. Żaden z tekstów nie zawierał jednak informacji, których nie dałoby się znaleźć w stojących obok kartonach.

Już była gotowa wyłączyć komputer, kiedy zauważyła łącze do strony na Facebooku „Sprawiedliwość dla Angeli”. Miała ona tysiąc dwustu obserwujących, a ostatni wpis zamieszczono dwa lata wcześniej, trzydziestego pierwszego sierpnia dwa tysiące siedemnastego roku:

Dziś przypada 38. rocznica zaginięcia mojej drogiej przyjaciółki Angeli Mitchell. Minęło tyle lat, a wciąż nie ma żadnych nowych śladów w tej sprawie. Niewielu funkcjonariuszy z departamentu policji Chicago w ogóle pamięta Angelę, a ci, którzy ją zapamięta/i, są już od dawna na emeryturze i dawno porzucili nadzieję, że uda się odkryć, co przydarzy/o się jej latem 1979 roku. Członkowie naszej społeczności, którzy poszukują odpowiedzi na to pytanie, wiedzą, że podczas będącego farsą procesu w 1980 roku niczego nie dowiedziono. Z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej prawdopodobne jest, że jedyna osoba zdolna rzucić światło naprawdę siedzi w więzieniu. On oczywiście odmawia choćby najmniejszego komentarza na temat Angeli.

Jak zwykle wszyscy dysponujący jakimikolwiek wskazówkami czy informacjami na temat Angeli Mitchell mogą zostawiać komentarze pod tym postem, a ja odniosę się do nich osobiście. Najdrobniejszy szczegół, nawet po tylu latach, może mieć ogromne znaczenie.

Wpis na Facebooku zawierał dodatkowo ziarniste zdjęcie przedstawiające Angelę Mitchell. Było to tak naprawdę zdjęcie zdjęcia. Osoba, która opublikowała post, użyła telefonu

komórkowego do przeniesienia starej fotografii z Polaroidu, która pożółkła już ze starości. Błysk lampy aparatu odbił się od górnego narożnika. Rory popatrzyła na Angelę Mitchell. Była drobną osobą, która na zdjęciu stała obok drugiej kobiety, nieco wyższej, prawdopodobnie autorki wpisu. Angela uśmiechała się nieśmiało do obiektywu. Zerknęła nieco w bok i w dół i Rory zrozumiała, że kobieta nie była w stanie spojrzeć wprost w aparat. Ona miała dokładnie taki sam problem.

Lane słusznie zauważył wcześniej w barze, że ziarenko ciekawości zakiełkowało w głowie Rory, a powstrzymanie jego rozwoju było tak samo niemożliwe jak zatrzymanie wschodu słońca. Z początku zainteresowała się sprawą ze względu na zaangażowanie ojca, teraz jednak, kiedy dowiedziała się nieco więcej na temat tajemniczej kobiety, Rory poczuła znajome ukłucie ciekawości, którego nie potrafiła zignorować. To samo czuła, gdy podejmowała się rekonstrukcji nowego przestępstwa. Wiedziała, że jakaś część jej umysłu nie będzie w stanie spocząć, dopóki nie wyjdą na jaw wszystkie informacje dotyczące Angeli Mitchell.

W końcu odwróciła wzrok od ziarnistego zdjęcia na Facebooku i zrobiła coś, czego w normalnych okolicznościach nawet nie wzięłaby pod uwagę. Kliknęła myszką w sekcję komentarzy i wpisała pospiesznie:

Nazywam się Rory Moore. Potrzebuję paru informacji na temat Angeli Mitchell. Proszę o kontakt.

Nie zastanawiając się zbyt długo, nacisnęła klawisz Enter, przewinęła stronę do góry i kliknęła ikonę informacji, po czym sprawdziła, co wiadomo na temat osoby, która stworzyła stronę. Kobieta twierdziła, że od lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego

dziewiątego roku była najbliższą przyjaciółką Angeli Mitchell.
Nazywała się Catherine Blackwell.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Valium pomogło.

Nie wymiotowała już od trzech dni, bóle głowy również przychodziły znacznie rzadziej. Lek zdusił nieco pragnienie drapania pokrytych strupami ramion, a ogólne jego działanie zmniejszyło poziom paranoi i złagodziło troski Thomasa. Angela brała podwójną dawkę w stosunku do zalecanej i niepokoiła się nie tylko przedawkowaniem, ale również tym, że tabletki niebawem się skończą. Thomas przyglądał się jej uważnie od czasu załamania, a Angela ze wszystkich sił starała się trzymać nerwy na wodzy i tym samym przekonać męża, że dzięki wizycie u lekarza czuje się znacznie lepiej i że panuje nad swoimi krótkimi nawrotami. Chciała mu pokazać, że tożsamość człowieka z alejki, początkowo niepokojąca, teraz przyniosła jej ulgę. Najważniejsze było jednak udowodnienie, że nie potrzebuje już psychiatry.

Granie przed mężem i kamuflowanie objawów było wyczerpujące, a Angela nie miała pewności, jak długo jeszcze zdoła to robić. Na szczęście Thomas zaplanował na weekend inspekcję budowy w Indianapolis i spotkanie z inwestorem, który planował wzniesienie budynku ze stu pięćdziesięcioma mieszkaniami. Thomas i Bill uczestniczyli w przetargu i planowali wyjechać na całą sobotę i

część niedzieli. Rozmowy na temat odwołania wyjazdu rozpoczęły się kilka dni wcześniej, kiedy Thomas wrócił do domu, gdzie zastał Angelę całą we krwi i wijącą się przed nim w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widział.

Angela potrzebowała jednak rozpaczliwie zarówno chwili odpoczynku od dławiącej troski Thomasa, jak i okazji do zbadania swoich podejrzeń dotyczących Leonarda Williamsa. Wykorzystała więc całą swoją siłę woli i podwójną dawkę valium do wzniesienia fasady normalności i dobrego samopoczucia. Teraz, w sobotni rano, spróbowała jeszcze raz, kiedy siedzieli z Thomasem przy kuchennym stole i popijali poranną kawę.

- Jedź tam - powiedziała. - Czuję się już dużo lepiej.

Thomas popatrzył na nią uważnie.

- Bierzesz lek, tak?

- Biorę. I to pomaga.

- Boję się przede wszystkim tego, że nie będzie mnie tutaj w nocy. Bill powinien dać sobie radę beze mnie.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, usiłując zamaskować irytację. - Poza tym potrzebujemy tego kontraktu. Zapewniłby nam środki do życia na cały rok.

- Radzimy sobie dobrze - odparł Thomas. - Byłoby fajnie, ale nic na siłę.

- Jedź - powtórzyła, patrząc mu w oczy, czego nie była w stanie zrobić w kontaktach z innymi osobami. - Wszystko będzie dobrze.

Godzinę później obserwowała, jak Thomas wyprowadza swojego pickupa z garażu i odjeżdża do Indiany. Po chwili sama wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę autostrady. Thomas i Bill mieli cztery magazyny między Kenoszą w stanie Wisconsin, na północny zachód od miasta, i Hammond w stanie Indiana. Leonard Williams

nadzorował placówkę w Kenoshy, więc po wyjeździe Thomasa Angela od razu wyruszyła w drogę do Wisconsin.

Kenosha oddalona było o półtorej godziny jazdy od miasta i Angela przestudiowała mapę po zjeździe z autostrady. W końcu skręciła w długą drogę prowadzącą do biura męża w Wisconsin i jego magazynu z materiałami budowlanymi. Za jej samochodem ciągnęła się chmura kurzu. Usytuowane na końcu długiego parku przemysłowego biuro było jednym z wielu parterowych budynków ciągnących się wzdłuż żwirowej drogi. Kiedy Angela zaparkowała przed biurem w sobotni rano, w pobliżu nie dostrzegła żadnych innych aut. Zatrzymała się na parkingu, ale nie zgasiła silnika. Słyszała dudnienie sprężarki klimatyzacji, które próbowała zagłuszyć radiem. W stacji WGN podawano akurat najnowsze wiadomości dotyczące zaginionych kobiet.

- Możemy potwierdzić - powiedział dziennikarz w radiu - że ciało znalezione dziś rano należy prawdopodobnie do zaginionej przed trzema tygodniami Samantha Rodgers. Jeśli informacje się potwierdzą, będzie to już piąta ofiara Złodzieja.

Siedząc w samochodzie, Angela wróciła myślami do wieczoru, kiedy wraz z Catherine oglądały w jej salonie wiadomości na temat zaginionej Samantha Rodgers. Od tamtej pory zdążyła już opracować biogram kobiety i doskonale znała wszystkie szczegóły dotyczące jej zniknięcia: datę, miejsce, w którym widziano ją po raz ostatni, czas ostatniej rozmowy przeprowadzonej z rodzicami i przyjaciółmi oraz dokładną lokalizację miejsca, w którym wysiadła z taksówki - narożnik Western i Kedzie, w odległości zaledwie przecznicy od jej mieszkania. Angela znała szczegóły dotyczące Samantha Rodgers, jeszcze zanim niektóre z nich przedstawił dziennikarz. Tak naprawdę wiedziała dużo więcej, niż przekazywano

w mediach. Znała tę dziewczynę tak dobrze, że aż cierpiała na samą myśl, że nie było już nadziei na odnalezienie jej żywej.

- Wciąż czekamy na potwierdzenie tożsamości ofiary przez departament policji Chicago, uważa się jednak powszechnie, że ciało Samantha Rodgers znaleziono w zalesionym obszarze Forest Glen, w odległości wielu mil od jej mieszkania w Wicker Park. Kiedy tylko otrzymamy najnowsze informacje w sprawie, powiadomimy o tym państwa bezzwłocznie, przerywając nadawany program.

Kiedy Angela zgasła silnik samochodu, uświadomiła sobie, że serce wali jej jak młot. Wyjęła ze stacyjki kluczyk, który zadzwonił o brelok w jej drżącej dłoni. Odczekała chwilę, żeby się uspokoić, po czym wysiadła z auta i rozejrzała się dookoła. Wiedziała, że o tej porze w sobotę w magazynie będzie panowała cisza - ekipy budowlane już wyruszyły na budowy.

Przeszła przez pokryty żwirem parking. Nacisnęła klamkę, ale drzwi do biura były zamknięte. Przed wyjściem z domu Angela zabrała pęk kluczy przymocowanych do breloka Chicago Bears, który był schowany w tylnej części kuchennej szuflady. Wyciągnęła je teraz z torebki i otworzyła drzwi. Weszła do biura i zamknęła je za sobą, zerkając jeszcze na parking przez okienko. Stał tam tylko jej samochód, a obłoki pyłu, które wznieciła, przejeżdżając gruntową drogą, unosiły się, tworząc białe kłęby chmur. Spojrzała jeszcze na samochód stojący na drugim końcu drogi, pusty i cichy. W końcu odwróciła się od okienka w drzwiach.

Minęła biurko w recepcji i otworzyła szuflady w szafkach stojących przy tylnej ścianie. Dopiero po dziesięciu minutach grzebania w dokumentach udało się jej znaleźć papiery dotyczące pracowników. Firma Mitchell-Blackwell Construction zatrudniała siedemdziesiąt siedem osób. Odszukanie wśród nich Leonarda Williamsa zabrało jej

tylko chwilę. Wyciągnęła dokument i usiadła na podłodze, by go przeczytać.

Na pierwszej stronie widniało skserowane prawo jazdy należące do Leonarda. Angela poczuła gwałtowny dreszcz, kiedy zobaczyła głęboko osadzone oczy i pozbawioną wyrazu twarz mężczyzny, który podszedł do niej kilka tygodni wcześniej w alejce za domem. Jak się okazało, miał pięćdziesiąt dwa lata i wcześniej pracował w innej firmie budowlanej na zachodnich przedmieściach Wood Dale. Do Mitchell-Blackwell przyszedł z dobrymi referencjami, które wystawił mu poprzedni pracodawca. Williams był żonaty i miał dwoje dzieci. Kiedy Angela przeglądała mało obszerne akta, nagle coś przyciągnęło jej uwagę. W taki właśnie sposób funkcjonował jej mózg: było w tych papierach coś, co zobaczyła, ale czego nie rozpoznała, detal ukryty gdzieś w jej podświadomości, który jeszcze nie zdążył wynurzyć się na powierzchnię. Angela zawsze potrafiła wyczuć znaczenie czegoś bardzo ważnego, nawet jeśli nie potrafiła jeszcze tego zidentyfikować.

Zamrugła, starając się pozbyć tego dziwnego uczucia, zignorowała cichy szept gdzieś w odległych częściach jej mózgu i dalej przeglądała dokumenty - formularze podatkowe, umowy o pracę, wynagrodzenia robotnicze i papiery ze związków zawodowych - aż w końcu coś ją oświeciło. Szept w głowie zmienił się w krzyk. Wróciła do pierwszej strony w teczce i ponownie spojrzała na prawo jazdy Leonarda Williamsa. Zmrużyła oczy i wbiła wzrok w jego adres. Mieszkał w Forest Glen, w tej samej okolicy, w której znaleziono ciało Samantha Rodgers.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Angela zapisała adres Leonarda Williamsa na kawałku papieru, odłożyła teczkę na miejsce i zamknęła szafkę. Obeszła biurko sekretarki i znalazła się przy bocznych drzwiach prowadzących do magazynu. Otworzyła je i wkroczyła do wielkiego pomieszczenia. Sufit ze stalowymi krokwiemi ciągnął się na wysokości trzech kondygnacji, a przez brudne okna ledwie sączyło się światło dzienne, przez co Angela pozostawała niemal w całkowitych ciemnościach. Znalazła włącznik światła, pstryknęła nim i zalała magazyn blaskiem jarzeniowych żarówek.

Zauważyła zaparkowane tam ciężarówki, a pod ścianami ciągnęły się palety obciążone zielonymi workami z cementem. Na środku magazynu i na regałach dostrzegła sporo sprzętu, którego przeznaczenia nie знаła i nie rozumiała. Angela przespacerowała się po magazynie. To tym miejscem zarządzał Leonard Williams.

W tylnej części natrafiła na pokryte folią okno wychodzące na parking. Zobaczyła swój pozostawiony samotnie samochód i ponownie spojrzała w stronę końca drogi, która łączyła główny trakt z magazynem. Znajdowała się w zupełnie opuszczonym miejscu. Poczowała ból w piersiach, a jej oddech stał się płytki. Zbliżał się atak i zaczęła walczyć z własnym umysłem, który namawiał ją, by wróciła

myślami do Leonarda Williamsa z tamtego poranka w alejce, kiedy stał podświetlony od tyłu przez słońce i patrzył na nią swoimi głęboko osadzonymi oczami. Poczwała jednak coś jeszcze - coś, dzięki czemu z większą niż zwykle łatwością ominęła blokady w mózgu. Te same zakłócenia myśli, które odczuła kilka chwil wcześniej - kiedy przeglądała akta Leonarda Williamsa i podświadomie natrafiła na jego adres - wróciły ponownie teraz, gdy patrzyła przez okno. Coś wołało o jej uwagę.

Stała w kącie magazynu, mając po lewej stronie tylną ścianę i zabrudzone okno przed sobą. Coś było nie tak. Kiedy ponownie spojrzała na parking, przypomniała sobie obraz, który utrwalił się w jej głowie, gdy wysiadła z samochodu. Zaparkowała przy skraju magazynu, ale mimo to jej auto stało w odległości kilku metrów na lewo od okna, przez które wyglądała na zewnątrz. Spojrzała na tylną ścianę i uświadomiła sobie, że magazyn nie kończył się tam, gdzie stała, ale ciągnął się dalej.

Odsunęła się od okna i przeszła wzdłuż tylnej ściany. Stały przy niej drewniane regały, które ciągnęły się na wysokość pierwszego piętra. Na półkach spoczywał ciężki sprzęt i palety. W pobliżu stał zaparkowany wózek widłowy do obsługi regałów. W połowie ściany następowała przerwa między półkami, w której spoczywała paleta z cementem. Za nią na ścianie zwiisał brezent, który częściowo zasłaniał drzwi. Angela poczuła dreszcz, kiedy spojrzała przez całą długość magazynu w stronę biura. Krokwie w górze pojękiwały pod wpływem wiatru. Poczwała, że wywraca się jej żołądek. Po drodze połknęła dwie pigułki valium i teraz walczyła z pokusą przyjęcia następnej. Odwróciła się z powrotem do częściowo zasłoniętych drzwi, przecisnęła między workami z cementem i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Otworzyła torebkę i wyjęła pęk kluczy

dołączony do breloka Chicago Bears. Zaczęła wkładać do zamka kolejne klucze, aż w końcu za piątym razem natrafiła na właściwy.

Pchnęła drzwi, które uchyliły się płynnie i pokonały pełny półokrąg, aż w końcu stuknęły o ścianę. Wyciągnęła rękę i zaczęła macać w poszukiwaniu włącznika światła. Po chwili go znalazła, włączyła kolejną grupę jarzeniówek i zobaczyła duże pomieszczenie magazynowe. Pod ścianami ciągnęły się kolejne regały, a pod jedną z nich ujrzała duże beczki z olejem. Tutaj na podłodze odznaczały się ślady błota, w przeciwieństwie do zakurzonych betonowych płyt w głównym magazynie.

Obok beczek zauważyła brudny brezent, łopatę, sznur i stos pustaków. Uniosła wieko jednej z beczek i zajrzała do środka. Pusto. Kiedy powoli się obracała i przyglądała pomieszczeniu, odczuła na skórze dziwne swędzenie. Wzięła kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, ale w jej gardle nadal coś rosło. W ciemnym kącie zobaczyła dziwną konstrukcję zwisającą z wysoko położonego sufitu. Podeszła bliżej, żeby się temu lepiej przyjrzeć. Do sufitu przymocowano drewnianą belkę w kształcie litery „M”. Zobaczyła pięć krążków, każdy przy jednym z narożników belki, przez które przeprowadzony został gruby sznur. Zwisiał on z obu końców niczym luźne gałęzie wierzby. Oba końce sznura dzieliła odległość niecałych dwóch metrów. Angela podeszła jeszcze bliżej. Do każdego końca sznura przymocowany został pasek czerwonego nylonu zawiązany w pętlę. Skojarzyło się jej to z jakąś konstrukcją rodem ze średniowiecza.

Angela ujęła nylonową pętlę między kciuk a palec wskazujący i ścisnęła miękki, czerwony materiał, kiedy usłyszała jakiś łoskot na zewnątrz. Puściła pętlę, pobiegła do drzwi składu i wysunęła głowę, żeby zajrzeć do magazynu. Wciąż było tam brudno i szaro, a duża

brama pozostawała zamknięta. Znowu usłyszała ten sam hałas. Przepchnęła się między półkami i paletą z cementem zasłaniającą drzwi i podbiegła do okna, by wyrzeć na parking. Wróciła jedna z betoniarek, a źródłem łoskotu okazał się zrzut resztek do zbiornika położonego przy parkingu. Pojazd stał tyłem do magazynu, jego beczka uniesiona była pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a robotnicy wykrzykiwali polecenia do kierowcy.

Angela przeszła pospiesznie do biura. Zamknęła za sobą drzwi i wróciła szybko do samochodu, zerkając w stronę pracujących pięćdziesiąt metrów dalej ludzi. Oparła się o maskę, by odzyskać oddech, i zaczęła łapczywie wciągać wilgotne, letnie powietrze. Kiedy mdłości ustąpiły, usiadła za kierownicą i sięgnęła do torebki. Wyjęła buteleczkę z valium, połknęła następną pigułkę, wyjechała z parkingu i ruszyła z powrotem gruntową drogą, znowu wzniecając obłoki pyłu. Kształt konstrukcji i dwie pętle utrwaliły się jej przed oczami jak powidok po wpatrywaniu się w żarówkę. To samo czuła tamtego wieczoru, kiedy oglądała wiadomości dotyczące Samantha Rodgers. A potem coś jeszcze... kolejny szept gdzieś w zakątkach umysłu, cichy pomruk proszący o uwagę. Wiedziała, że powinna się zatrzymać i go posłuchać, spróbować odszyfrować, co ten głos ma jej do powiedzenia, ale była na wpół świadoma, pędząc wysypaną żużlem drogą i walcząc o kontrolę nad drżącymi dłońmi. Nie najlepsza pora na wsłuchiwanie się we własne myśli.

Rozdział 14

Chicago, 24 października 2019 r.

Rory nie przepadała za czułością po zbliżeniu i po każdej chwili intymności preferowała zachowanie wokół siebie wolnej przestrzeni. Po dziesięciu latach spędzonych w jednym łóżku Lane nie kwestionował już tych jej potajemnych ucieczek z sypialni. Na wczesnym etapie ich związku czekała, aż Lane zaśnie, po czym wymykała się z łóżka, teraz jednak nie miała już tyle cierpliwości. Również tym razem powoli i po cichu wysunęła się spod kołdry, założyła koszulkę przez głowę i zeszła na palcach na parter.

W kuchni otworzyła lodówkę, rzucając prostokąt światła na podłogę, po czym wyjęła z niej butelkę portera. Przeszła do biura, usiadła i otworzyła czekającą na nią teczkę. W domu panowały ciemności, a jej przestrzeń roboczą oświetlał jedynie łagodny blask biurkowej lampki. Upiła odrobinę piwa i zaczęła czytać.

Złodziej zaangażował kancelarię Garrison Ford zaraz po swoim aresztowaniu. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku zapłacił za to dwadzieścia pięć tysięcy dolarów czekiem gotówkowym. Łączna opłata za reprezentację, która obejmowała niepowodzenie obrony i postępowanie sporne, dobiła do stu dwudziestu tysięcy. Ją również uiszczono czekiem gotówkowym, w czterech ratach między latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego

dziewiątego roku a zimą tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Wszystkie te informacje Rory znalazła w trzecim, ostatnim kartonie dostarczonym jej przez Rona Davidsona wraz z dokumentem z kancelarii ojca i informacjami przekazanymi przez sędziego Boyle'a.

Rory wypłała łyk piwa i przerzuciła stronę. Z tego, co zdołała wywnioskować, ojciec zaangażował się w sprawę Złodzieja w trakcie apelacji, kiedy wydano wyrok sześćdziesięciu lat pozbawienia wolności. Garrison Ford pobierała opłaty za usługi do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, kiedy ojciec odszedł z kancelarii i otworzył własną praktykę. Porównując papiery, które znalazła w szafkach w biurze ojca, Rory znalazła dokument przenoszący fakturowanie z datą przypadającą w drugiej połowie osiemdziesiątego drugiego. Pierwszy czek na rzecz Moore Law Group wystawiono piątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, a jego przeznaczeniem było sfinansowanie drugiego etapu apelacji.

Rory odkryła, że wszystkie wynagrodzenia - stare kserokopie ręcznie wypisanych czeków - były pełnymi kwotami, nic nie rozbijano na raty. Przy kolejnym piwie dowiedziała się, że klient ojca to nie tylko zabijający z zimną krwią morderca, ale również milioner. W chwili aresztowania dysponował na kontach sumą miliona dwustu tysięcy dolarów. Finanse tego mężczyzny zostały szczegółowo przedstawione w dokumentach, ponieważ oprócz obsługi apelacji i reprezentacji na posiedzeniach komisji zwolnień warunkowych jej ojciec został również zaangażowany do opieki nad tą fortuną na czas odbywania kary. Zobowiązał się spłacać długi, dbać o nieruchomości i upłytniać aktywa. Wgryzając się w detale, Rory przekonała się, że ojciec ulokował fortunę swojego klienta w

spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością i na funduszach powierniczych, czego celem było ukrycie aktywów i obrona przed zagrożeniem ze strony pozwów cywilnych. Dzięki temu, gdyby rodziny innych domniemanych ofiar postanowiły mężczyznę zaatakować, duża część jego majątku i tak pozostałaby bezpieczna.

Nigdy jednak nie złożono żadnych pozwów. Nie odnaleziono ciał, a to oznaczało, że sprawa z powodztwa cywilnego nie miałaby żadnych podstaw. Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku odnaleziono zwłoki tylko jednej kobiety. Nazywała się Samantha Rodgers i choć nastąpiły próby - jak wyczytała Rory - powiązania Złodzieja z tą kobietą, prawnicy z Garrison Ford zdołali przekonać sędziego, że wszelkie dowody łączące ich klienta z Samanthą Rodgers mają charakter wyłącznie poszlakowy. Sędzia się zgodził i prokuratura się wycofała, koncentrując siły na Angeli Mitchell.

Pieniądze klienta ojca Rory pozostawały chronione i kiedy morderca osiadł w celi na początku lat osiemdziesiątych, dysponował na koncie bankowym kwotą dziewięćset tysięcy dolarów. W latach osiemdziesiątych ojciec Rory korzystał z tych funduszy do wypłacania sobie wynagrodzenia za usługi prawne w trakcie ciągnących się przez dekadę procesów apelacyjnych.

Oprócz czeków za świadczone usługi Rory natrafiła również na dodatkowe płatności określane mianem „honorariów”. W latach osiemdziesiątych Moore Law Group wypłacono w ten sposób ponad dwieście tysięcy dolarów. Była to zbyt duża kwota, by dotyczyła wyłącznie składania apelacji. Ciekawość Rory rozbudziła się jeszcze bardziej, kiedy dostrzegła, że relacje ojca i tego człowieka wykraczały poza typowy układ adwokat-klient.

Co ty robiłeś dla tego faceta, tato?, pomyślała.

Przeczytała szczegółowe informacje dotyczące opracowanych przez ojca apelacji, w których podkreślał on słabość oskarżenia. Napisał, że prokurator nie miał żadnych fizycznych dowodów przeciwko jego klientowi, włącznie z ciałem domniemanej ofiary. Dodając do tego brak zwłok Angeli Mitchell, ojciec Rory podkreślił, że kobieta była opóźniona w rozwoju umysłowym, co podano w adnotacji z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Termin „zaburzenia poznawcze” wciąż jeszcze nie istniał, a określenie jej „autystyczną” byłoby mniej dramatyczne, zbyt medyczne i nie pasowałoby do ogólnej narracji. Opóźniona w rozwoju umysłowym schizofreniczka brzmiała dużo lepiej. Niezależnie jednak od tego, jakich przymiotników użyto do opisu osoby Angeli Mitchell, tak naprawdę żadne nie były do końca odpowiednie. Kiedy Rory przeczytała o tym, czego dokonała ta kobieta i jak uratowała życie kolejnych potencjalnych ofiar, zorientowała się, że w żadnym z dokumentów nie określono jej mianem bohaterki.

Zgodnie z oświadczeniem prokuratora Angela poświęciła kilka ostatnich dni swojego życia na zgromadzenie dowodów, które doprowadziły do skazania mordercy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku.

Kilka dni później została zamordowana.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Nadszedł niedzielny poranek i choć od niepokojącego odkrycia w magazynie upłynęła niemal cała doba, Angela nie zdołała zmrużyć oka nawet na chwilę. Przez całą noc aktualizowała biogramy zaginionych kobiet i dołączała do notatek wszystko, czego w ciągu minionych trzech dni dowiedziała się na temat Leonarda Williamsa. Po opuszczeniu magazynu spędziła kilka godzin w bibliotece, przewijając mikrofilmy i szukając informacji na temat przypadków śmierci przez powieszenie i uduszenie związanych z kobietami w Chicago i okolicach. Pod wykresem przedstawiającym trendy związane z zabójstwami w ciągu ostatniej dekady Angela dodała istotne informacje odszukane w bibliotece. Próbowała zrozumieć znaczenie konstrukcji znalezionej w ukrytym składzie i zaczęła wierzyć, że na coś natrafiła. Spośród kobiet na wykresie, które pasowały do opisu i do profilu zamordowanych w Chicago i na przedmieściach, większość została uduszona. Na ostatniej stronie swoich notatek Angela narysowała dziwną, drewnianą belkę w kształcie litery „M” z dwiema pętlami na końcu sznura.

Od kiedy odjechała z magazynu, by zacząć przeglądać mikrofilmy w bibliotece, przez cały czas pracowała nad swoimi dokumentami i wykresami, tworząc teorię na temat Leonarda Williamsa. Przez cały

ten czas głos odzywający się w jej głowie nie dawał jej ani chwili spokoju. Angela nie przerywała jednak pracy, by go posłuchać. Obawiała się, że to skutki uboczne zażywania valium, które zaczęła łykać w niepokojącym tempie. A może to logiczna i rozsądna część jej umysłu błagała o uwagę, próbując jej powiedzieć, że przedawkowywała lek i że jej pomysły dotyczące zaginionych kobiet są zupełnie absurdalne?

Siedziała teraz przy kuchennym stole u Catherine, odpychając ten natrętny głos, i przedstawiała przyjaciółce efekty swojej pracy. Catherine słuchała cierpliwie, gdy Angela opowiadała jej o wyjeździe do magazynu w Kenoshy, o odkryciu adresu zamieszkania Leonarda Williamsa w pobliżu miejsca, w którym znaleziono ciało Samantha Rodgers i o tym, że wszystkie zaginione tego lata kobiety, które pasowały do opisu, zostały uduszone. W końcu pokazała Catherine narysowaną przez siebie dziwaczną konstrukcję z dwiema pętlami.

Kiedy w końcu spojrzała na przyjaciółkę, ta spokojnie upiła łyk kawy.

- Wiesz, że zawsze cię wspierałam - powiedziała Catherine - ale. ..

- Ale co?

- Myślę, że za bardzo przejęłaś się tym wszystkim, co nastąpiło tego lata.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Uważam, że jesteś zbyt nerwowa. Ja oczywiście również, ale odnoszę wrażenie, że czujesz się odpowiedzialna za rozwiązanie tej zagadki. Poza tym, Angelo, to wszystko, co mi pokazujesz, jest...

- Jakie?

- Po prostu trudno to przyjąć do wiadomości. Całe te badania dotyczące zaginionych kobiet i ich powiązania z trwającym dziesięć lat pasmem morderstw.

- Myślę, że to się ze sobą wiąże.

- Ale teraz twierdzisz, że wiesz już, kto to zrobił i że to człowiek zatrudniony przez Billa i Thomasa.

Angela oderwała wzrok od Catherine i spojrzała w notatki, czując, jak niespodziewanie zaczynają ją palić policzki. Zebrała papiery i schowała je do teczki. Jej badania i teorie zapisane na tych kartkach rozłożyła chwilę wcześniej na kuchennym stole niczym obcy i niechciany artefakt znaleziony w dziczy. Żadna z nich nie wiedziała, co z tym wszystkim zrobić i czy w ogóle jest to cokolwiek warte. Niewykluczone, że był to jedynie bezużyteczny zbiór bazgrołów.

- Myślę, że Leonard Williams przestraszył cię na ulicy - rzekła w końcu Catherine, kładąc dłoń na rękę Angeli. - I przez to spojrzałaś na niego w sposób, który większości ludzi nie przyszedłby do głowy. Z tego, co mi wiadomo, to bardzo rodzinny człowiek. Ma żonę i dzieci. Nie jest jakimś wykolejonym seryjnym mordercą. Żeby była jasność, nie uważam wcale, że zrobiłaś coś głupiego. Ale jeśli spojrzeć na to z rozsądkiem, to nie jestem przekonana, czy zgadzam się z tobą we wszystkim, co sugerujesz. Angelo, ja nie jestem pewna. .. nie jestem pewna, czy w to wszystko wierzę.

Angela przełknęła głośno ślinę, gdy usłyszała te słowa. W jej głowie natychmiast pojawiły się wspomnienia z dzieciństwa. Uwłaczające komentarze nauczycieli, które słyszała za każdym razem, kiedy coś powiedziała w szkole, stała niechęć rodziców do wysłuchania czegokolwiek, co chciała im przekazać, odrzucenie jej próśb o pomoc przez psychiatrę, kiedy przyjmowany lit wywoływał u niej halucynacje. Wszystkie te obrazy zaatakowały ją z każdej strony i wróciła do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy usłyszała czyjś głos. Kiedy się ocknęła, zobaczyła stojącego obok Catherine Billa Blackwella.

Zdawało się jej, że słyszy jakieś odległe echo. Próbowwała się skoncentrować, ale głos był pusty i zdławiony. Dostrzegła ruch warg Billa i uświadomiła sobie, że mężczyzna do niej mówi. Zamrugowała kilkakrotnie.

- To drugi raz w tym tygodniu, kiedy robisz mi tutaj niespodziankę - powiedział Bill. - Thomas wrócił już z Indiany?

Angela skupiła wzrok na bandanie zawiązanej na szyi męża Catherine. Wtedy zrozumiała, że odległy głos, który odbijał się echem gdzieś na skraju jej świadomości, nie należał do Billa Blackwella, lecz był tym samym głosem, który słyszała od zakończenia swojej wizyty w magazynie w Kenoshy. W końcu okazał się on na tyle głośny, że zdołała go rozszyfrować. Tak naprawdę był to już krzyk, który się nasilał za każdym razem, gdy spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Angela wróciła myślami do wieczoru, kiedy wszyscy zasiedli przy stole w jej domu. Przypomniała sobie zaczerwienioną szyję Billa, który tłumaczył to alergią na środek przeciwko komarom i śladami po ich ukąszeniach. Zapamiętała jego bandanę z ostatniego razu, kiedy wpadła w odwiedziny do Catherine. A teraz, tego dnia, patrzyła na zakrytą materiałem szyję i dostrzegła na skórze czerwone, głębokie ślady. Ślady, które mogła pozostawić pętla.

Angela zerwała się na równe nogi, a kuchenne krzesło upadło na podłogę. Wycofała się pospiesznie, odwróciła bez słowa i wybiegła przez frontowe drzwi. Jej gruba teczka pozostała na stole.

Rozdział 15

Chicago, 25 października 2019 r.

Rory ponownie przeszła procedurę kontrolną i weszła do gabinetu sędziego po tym, jak funkcjonariusz ochrony zaprowadził ją na miejsce długimi korytarzami. Usiadła na tym samym miejscu, co na poprzednim spotkaniu, przed biurkiem, za którym na swoim tronie zasiadł sędzia. Oparcie wysokiego fotela wystawało ponad czubek jego głowy.

- Mamy sporo do omówienia - powiedział sędzia Boyle. - Zapoznała się już pani ze swoim klientem?

„Ze swoim klientem” - brzmienie tych słów nie dawało Rory spokoju. Ona nie miewała „klientów”. Jej życie obracało się wokół spraw do rozwikłania, wokół ofiar, którym pragnęła pomóc, a nie ludzi oskarżonych o ich mordowanie. Poczowała w przełyku kwaśny smak, który rozszedł się po całym gardle. Przełknęła ślinę. Jej zainteresowanie Angelą Mitchell było dużo silniejsze niż choroba refluksowa przełyku, a tajemnicza rola ojca w sprawie Złodzieja znalazła sobie stałe miejsce w jej głowie. Wiedziała, że nie zdoła tego porzucić, dopóki się nie dowie, co ojciec robił z tym człowiekiem przez te wszystkie lata.

- Tak, sir - odparła w końcu.

- Doskonale. Pani ojciec opracował ze mną wiele warunków dotyczących zwolnienia tego mężczyzny. Oto kilka z nich. - Sędzia Boyle podał jej przez blat pojedynczy arkusz papieru. Znajdowała się na nim długa lista spraw wypisanych od myślników. Zaczął czytać z własnego egzemplarza. - Przekazano prośbę o rezygnację z ośrodka przejściowego. Biorąc pod uwagę złą sławę pani klienta, jego wiek i zasoby pieniężne, zgodziłem się na ten wniosek. Przez dwadzieścia cztery miesiące będzie jednak musiał pozostać w Illinois. Pani klient jest właścicielem domu położonego w pobliżu parku stanowego Starved Rock. To mniej więcej godzina jazdy z miasta. Frank prosił, żeby pani klient mógł zamieszkać w tym domu i wyraziłem na to zgodę. Mam jednak kilka zastrzeżeń, które muszą zostać spełnione. Pani, pracownik socjalny oraz przydzielony pani klientowi kurator będą musieli sprawdzić tę nieruchomość, zanim do tego dojdzie, i upewnić się, że spełnia ona wymagania.

- Jakie wymagania, sir?

Sędzia Boyle podał jej nad blatem kolejną kartkę.

- Wymagana jest telefoniczna linia stacjonarna, ponieważ pani klient będzie zobowiązany do codziennego meldowania się kuratorowi przez pierwsze trzy miesiące. Dostęp do internetu nie jest obowiązkowy, ale mile widziany. Dom musi mieć adres zarejestrowany w urzędzie pocztowym. Skrytka pocztowa nie wchodzi w rachubę. Należy również zrobić zdjęcia domu i dołączyć je do oficjalnego dokumentu. Kontrolę nieruchomości powinna pani zrealizować w tym tygodniu. Umówi się pani w tym celu z Naomi Brown, która jest pracownikiem socjalnym, dobrze?

Sędzia wypowiedział ostatnie zdanie w formie pytania, ale Rory zrozumiała, że nie jest to prośba, a polecenie, więc jedynie skinęła głową.

- Po zwolnieniu pani klient będzie miał dostęp do znacznej sumy pieniędzy. Przez ostatnie czterdzieści lat jego finansowym pełnomocnikiem był pani ojciec. Po odejściu Franka pieniądze zostaną przekazane bezpośrednio pani klientowi. To ponad osiemset tysięcy dolarów, pani mecenas. Ten człowiek nie ma pojęcia, jak funkcjonuje współczesna bankowość cyfrowa, i będzie potrzebował pomocy. Może zatem pani przekazać mu środki, ale oczekiwałbym, że zostanie pani ich zarządcą. Przez pierwsze osiemnaście miesięcy po zwolnieniu będę oczekiwał od pani raportów finansowych, żeby mieć pewność, że nie roztrwonił swojego majątku i że nie padł... - sędzia przerwał na moment - ofiarą finansowych wyjadaczy, którzy chcieliby go wykorzystać. Stan Illinois wydał już dość pieniędzy na tego człowieka. Chcę mieć pewność, że nie stracimy więcej po jego zwolnieniu.

Rory sporządziła kilka notatek.

- Na koniec - dodał sędzia - chciałbym przypomnieć, że on ma sześćdziesiąt osiem lat. Z pewnością podjęcie pracy w jego przypadku nie należałoby do najłatwiejszych, a zła sława w zasadzie uniemożliwi mu zajęcie sensownego stanowiska. Najlepiej by było, gdyby pani klient znikł na pewien czas. Może na zawsze. Nieruchomość w Starved Rock jest na funduszu powierniczym, więc jego nazwisko nie jest z nią powiązane. Po zwolnieniu trudno będzie go wyśledzić. Oczywiście wszyscy przedstawiciele organów władzy, którzy będą chcieli mieć z nim kontakt, powinni mieć do niego łatwy dostęp. Będą go jednak szukać mniej życzliwi ludzie i to w pani gestii będzie leżało, żeby pomóc mu pozostać anonimowym. Pani ojciec do tej pory radził sobie z tym znakomicie.

Sędzia zamknął teczkę i wstał, jakby zamierzał przejść do znacznie ważniejszych obowiązków.

- Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

- Tak - odparła Rory i znów przełknęła kwaśną ślinę. - Przed formalnym zebraniem komisji zwolnień będę musiała się z nim spotkać, żeby kilka rzeczy omówić. Z tego, co mi wiadomo, on nawet nie wie, że jego prawnik zmarł.

Spotkanie z obcym człowiekiem w małym pomieszczeniu dla odwiedzających czy konieczność spojrzenia mu w oczy w celu wyjaśnienia, że to ona jest teraz jego nową adwokat, było czymś, czego Rory w normalnych okolicznościach unikałaby jak ognia. Gdyby nie powaga sytuacji, zrobiłaby wszystko, by tego uniknąć i wydostać się z tego uścisku jak dziecko umykające przed ramionami matki. Ale Rory miała swoją misję. Nie obchodziło jej, że ten mężczyzna nosił przydomek Złodziej. Chciała się dowiedzieć, co dla niego robił jej ojciec, bo nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie były to wyłącznie sprawy dotyczące opieki prawnej.

- To się da załatwić - odparł sędzia Boyle. - Złożę wniosek, żeby stało się to jak najszybciej.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Urodziny Angeli przypadły w niedzielę, dwa dni po tym, jak zawiodła ją Catherine, choć Angela przywykła już do tego rodzaju zachowań przez całe swoje dorosłe życie. Dwa dni po tym, jak zobaczyła szyję Billa Blackwella i paskudne, czerwone ślady, które chował pod bandaną. Dwa dni po tym, jak złożyła wszystkie niepokojące elementy układanki w jedną całość. Dwa pełne dni, a ona nie zrobiła w tej sprawie zupełnie nic. Niewiele przez ten czas spała, a jej umysł dostrojony był wyłącznie do zaginionych kobiet i rosnącego przekonania, że za wszystko odpowiada Bill Blackwell. Założyła, że stosował on nietypową praktykę podwójnego wieszania, by zabijać kobiety. Miała za sobą dwa dni kwestionowania teorii, że zniknięcia stanowiły część dużo większego szeregu morderstw datowanych na całą dekadę. Dwa dni paniki i zwątpienia. A skoro Angela wątpiła w samą siebie, nie mogła winić Catherine za to, że ta ją zbesztła.

- Wino w porządku? - zapytał Thomas, wrywając Angelę z zamyślenia.

Wiedząc, że żona nie przepada za tłumami, Thomas wcześniej zarezerwował miejsca na obiad. Teraz, w jej urodziny, zasiadali przy stole ze świecami, sącząc czerwone wino. W restauracji było tylko

kilka osób. Angela starała się, jak tylko potrafiła, choć kwaśny cabernet podrażniał jej wrażliwy żołądek.

Uśmiechnęła się.

- Jest bardzo dobre.

Kiedy Thomas wrócił do domu w niedzielny wieczór, była niemal gotowa, żeby o wszystkim mu opowiedzieć. Nabrała jednak wody w usta i pozwalała szaleć myślom. Wiedziała, że utraciła już nad nimi kontrolę. Nawet valium przestało pomagać w panować nad jej własnym mózgiem. Do tego wszystkiego doszedł jeszcze brak snu.

Przez cały obiad walczyła z protestującym żołądkiem, po czym odmówiła deseru.

- Nie chcesz deseru w swoje urodziny? - zdziwił się Thomas.

- Nie mam ochoty na słodkie. Ale ty się nie krępuj.

- Nie, w takim razie sobie odpuścimy. Mam coś dla ciebie - powiedział, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki prezent.

Wszystko, co wydarzyło się od tamtego dnia, kiedy Angela próbowała wynieść starą kanapę na chodnik, aby zabrano ją na wysypisko - jej spotkanie z Leonardem Williamsem, przytłaczające napady obsesyjno-kompulsywne, przez które straciła cały tydzień, ukucie teorii na temat zaginionych kobiet z ostatniej dekady, raport o odnalezieniu ciała Samantha Rodgers, a ostatnio niepokojące odkrycie w magazynie, badania dotyczące strasznych praktyk podwójnego duszenia i założenie, że we wszystko wplątany jest Bill Blackwell - sprawiło, że całkiem zapomniała o naszyjniku, który znalazła w starym koszu piknikowym.

Wydarzenia z minionego tygodnia sprawiły, że niemal zapomniała o swoich własnych urodzinach. Teraz, kiedy siedziała przy stole z

prezenterem w dłoni, cieszyła się, że zapomniała o tamtym naszyjniku. Gdyby o nim pamiętała, nie zdołałaby zagrać roli zaskoczonej żony.

- Mogę otworzyć? - zapytała.

- Oczywiście - odparł Thomas.

Angela obejrzała zawiniątko, ostrożnie zdjęła papier i otworzyła wieczko małego pudełka. Zmrużyła oczy, kiedy zobaczyła diamentowe kolczyki spoczywające na filcowej podkładce. Nawet nie próbowała ukryć zmieszania.

- Nie podobają ci się? - spytał Thomas.

Spojrzała na męża, który patrzył na nią z nie mniejszym zaskoczeniem.

- Nie, nie - powiedziała szybko. - Są piękne. Po prostu. .. - Pokręciła głową. - Prześliczne.

- Możemy je wymienić, jeśli nie są w twoim stylu. Oglądałaś je przed kilkoma miesiącami, kiedy robiliśmy zakupy. Pomyślałem, że będą idealną niespodzianką. Angela skinęła głową.

- I tak jest. Naprawdę są wspaniałe.

Kiedy zakładała kolczyki, manipulując przy uszach, myślała wyłącznie o naszyjniku, który znalazła ukryty w koszu piknikowym w garażu.

Angela leżała w łóżku, udając, że cieszy się atencją męża. Choć ich życie intymne nigdy nie było wypełnione nadmierną namiętnością, lubili spędzać ze sobą czas w sypialni, a ich seks zawsze przynosił satysfakcję. Tego wieczoru jej myśli uciekały jednak poza ściany pokoju. Kiedy się z niej zsunął, położyła głowę na jego ramieniu, aż zyskała pewność, że zasnął. Słyszając jego rytmiczny oddech, wysunęła się spod pościeli. Założyła sukienkę i rajstopy. Minęła dwudziesta trzecia, godzina, po której nigdy nie przyszłoby jej nawet do głowy, żeby wyjść na zewnątrz. Na samą

myśl o udaniu się do garażu o tak późnej porze poczuła mrowienie opuszków i swędzenie strupów na ramionach. Pojawił się jednak inny bodziec, silniejszy od jej strachu i pragnień wykrzykiwanych przez autodestrukcyjne części jego mózgu - ciekawość.

Wiedziała, że i tak nie zaśnie, nawet po łagodnej dawce valium, dopóki nie zrozumie tajemnicy naszyjnika. Angela unikała włączania światła, aż dotarła do kuchni, gdzie zaświeciła jedynie słabą lampkę nad piecem. Kiedy wyjrzała przez okno w stronę garażu, poczuła znajome pieczenie na policzkach i nudności w żołądku. Dudniący puls i słyszalny szum krwi w naczyniach krwionośnych w jej głowie stanowiły sposób, w jaki jej ciało błagało o zaczekanie do rana. Musiała jednak odmówić.

Otworzyła drzwi i wyszła na nocne powietrze. Przytłaczający letni upał nie odpuścił nawet o tej godzinie i Angela poczuła, jak wilgotne powietrze dotyka jej twarzy. W okolicy panował spokój. Pozostawiła zgaszone światło na patio i zamiast tego zabrała ze sobą małą latarkę. Nadchodzący atak paniki odebrał jej oddech. Podbiegła do bocznych drzwi garażu i wskoczyła do środka, oświetlając wnętrze stożkiem światła z latarki.

Stara kanapa wciąż stała przy ścianie. Angela popatrzyła na bałagan na półkach i przeniosła wzrok na kosz piknikowy. Podniosła go, otworzyła wieko i zajrzała do środka. Niewielkie pudełko z naszyjnikiem wciąż spoczywało tam, gdzie je zostawiła. Angela sięgnęła do kosza i je wyjęła. Po otwarciu pudełka naszyjnik zamigotał w świetle latarki.

Stojąc w ciemnym garażu, uniosła rękę, by dotknąć zwisających z jej uszu kolczyków. Przełknęła sporą ilość śliny, która zebrała się w tylnej części jej gardła, i zaczęła się zastanawiać, co to wszystko oznacza. Thomas pracował tego lata do późna, przynajmniej dwa

lub trzy dni w tygodniu. Przypomniła sobie kilka telefonów z ubiegłego miesiąca, kiedy po odebraniu słuchawki nikt się nie odezwał. Kilkakrotnie dzwoniąca osoba odłożyła słuchawkę tuż po tym, jak Angela wypowiedziała słowo „halo”. Wiedziała, że Thomas zatrudnił tego lata nową sekretarkę. Teraz, kiedy stała w ciemnym garażu, znów walczyła z głosami w głowie, które powtarzały jej nieustannie, że jej mąż ma romans. Powróciły mdłości i żołądek wywrócił się jej na drugą stronę. Pojawił się nawet pierwszy odruch wymiotny. Schowała pospiesznie pudełko z naszyjnikami do kosza i postawiła go na swoim miejscu. Wybiegła z garażu i zwymiotowała na trawnik za domem.

Dyszząc ciężko, zaczęła chwytać kleiste, letnie powietrze, aż minęła druga fala mdłości. Dopiero wtedy wróciła do domu. Kiedy zamykała na klucz drzwi wyjściowe z kuchni, zaświeciło się światło. Odwróciła głowę i zobaczyła stojącego w kuchni Thomasa. Miał na sobie jedynie bokserki.

- Co się dzieje? - zapytał.

Angela wygładziła sukienkę, co było jej nerwową reakcją, kiedy starała się zamaskować zmieszanie. Wyszło zupełnie na odwrót.

- Wydawało mi się, że słyszę hałas przy śmietnikach. Znów spadła pokrywa - odparła, natychmiast szeregując swoje kłamstwo w kategorii gdzieś między idiotycznym i całkowicie nierealnym.

- Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Po prostu. .. nie chciałam, żeby słyszeli to sąsiedzi. Pan Peterson łatwo się irytuje, od kiedy zablokowałam wjazd kanapą.

Thomas podszedł do okna i odsunął zasłonkę.

- Boczne drzwi garażu są otwarte.

- Tak? Nie zauważyłam. - Angela znów poczuła sensacje w żołądku.

Thomas otworzył drzwi wyjściowe i poszedł do garażu. Lepkie powietrze wpłynęło do domu, kiedy Angela obserwowała, jak jej mąż wchodzi do środka i włącza światło. Przez pełną minutę przebywał w środku, a w tym czasie jej żołądek ścisnął się w twardy węzeł. Pobiegła do łazienki. Zwymiotowała, po czym oparła się o ścianę i przyłożyła grzbiet dłoni do czoła. Usłyszała jęk desek na podłodze i przez załzawione oczy zobaczyła stojącego w drzwiach do łazienki Thomasa.

- Wszystko dobrze? - spytał.

- Znów nie czuję się najlepiej.

- Dlatego właśnie powinnaś była mnie obudzić - odparł. Chwycił ją pod rękę i zaprowadził na piętro. Pozwoliła mu ułożyć się w łóżku.

- Widziałem, jak wymiotowałaś na dworze - powiedział, okrywając ją. - Rano zadzwonię do lekarza. Wiem, że się opierałaś, ale tym razem musisz się spotkać z psychiatrą. Ktoś musi ci pomóc, a ja już nie wiem, co mogę dla ciebie zrobić.

Angela pochłonęła już prawie całe valium. Potrzebowała więcej, więc nie zaprotestowała. Kiedy Thomas położył się obok, zamknęła oczy, ale sen nie nadszedł.

Rozdział 16

Chicago, 25 października 2019 r.

Pęknięcie dało się estetycznie usunąć, wymagało to jednak zastosowania większej ilości masy epoksydowej niż zwykle. Potrzebowała też więcej kleju, żeby zabezpieczyć oczodół lalki z dzieciństwa Camille Byrd. Rory nie potrafiła jeszcze wejść na odpowiednie tory, żeby zająć się rekonstrukcją morderstwa kobiety, postanowiła więc skoncentrować się na jej lalce. Kiedy zajęła się naprawą, okazało się, że oko jest najtrudniejszym elementem całej procedury. Odbudowała oczodół za pomocą mieszaniny masy papierowej i gipsu, stosując technikę, którą opisała Sabine Esche. Teraz, kiedy masa i gips stwardniały, a oko znalazło się na swoim miejscu, Rory w końcu była zadowolona z rezultatów. Po położeniu lalki odnotowała jedynie krótkie opóźnienie zamknięcia powieki, które tak naprawdę dostrzegłby jedynie najbardziej wymagający znawca.

Oszlifowała klej, żeby wygładzić miejsce pierwotnego pęknięcia. Kiedy zamknęła oczy i przesunęła opuszkami palców po policzku lalki, nie wyczuła żadnej nierówności. Wrażenie doskonałości w dotyku zostało przywrócone. Wygląd lalki należącej do Camille Byrd wciąż jednak odbiegał od ideału. Dodatkowa masa epoksydowa i intensywne szlifowanie pozostawiły silnie odbarwione miejsce, które

biegło niczym strumień na mapie od nasady włosów po krawędź szczęki. Zakrzywiona linia zmatowiałej porcelany wyglądała jak kiepsko zagojona blizna. Rory zdawała sobie sprawę, że dzięki umiejętnościom naprawy pęknięcia i rekonstrukcji oczodołu nie miała sobie równych. Wiedziała też., w czym szukać swojej siły, a było tym przywrócenie porcelanie oryginalnego wyglądu. Aby zrealizować to zadanie, musiała skorzystać z pomocy mistrzyni.

Dochodziła północ, kiedy Rory weszła do domu opieki. Dysponowała pozwoleniem od personelu i podano jej kod do wejścia, dzięki czemu mogła przychodzić w odwiedziny o tak późnej porze. Pielęgniarki wiedziały, że Greta rzadko sypia w nocy i że Rory największe szanse na w miarę sensowną rozmowę miała właśnie po północy. Ostatnie dwie wizyty u ciotki Greta zakończyły się zupełną porażką. Od śmierci ojca Rory nie mogła nawiązać z nią kontaktu. Ciotka Greta nie miała swoich dzieci, a jej rodzina obejmowała jedynie siostrzeńca Franka Moore'a i jego córkę. Ojciec Rory był dla niej jak wnuk, a ją traktowała jak prawnuczkę. Rory wiele się od Greta nauczyła, przejęła również pasję związaną z naprawą porcelanowych lalek. Niegdyś było to ich ulubione wspólne zajęcie, którego owoce znajdowały się teraz na półkach w domu Greta. Ich wspólna miłość do rekonstruowania starych lalek stała się fundamentem ich relacji i właśnie dzięki temu były sobie takie bliskie. Teraz, kiedy demencja skradła Grecie umysł, stare lalki, które przynosiła Rory, stanowiły dla niej pewien rodzaj łączności z przeszłością. Zapewniały dostęp do części historii Greta, która wypełniona była radością, a nie pełnymi cierpienia chwilami, które dodatkowo podsyciała demencja.

Dzisiejsza wizyta również miała osobisty wydźwięk. Od kiedy Rory zażądała spotkania ze Złodziejem, jej dłonie zaczęły drżeć jak wtedy,

kiedy była dzieckiem. Niepokoje dręczyły ją od wczesnych lat, a Rory potrafiła panować nad swoim dziecięcym życiem właśnie dzięki charakterowi ciotki Greta i lalkom, nad którymi wspólnie pracowały. Rodzice Rory zdawali sobie sprawę, jaki wpływ miała ona na ich dziecko i natychmiast je do niej wysyłali, kiedy pojawiały się pierwsze oznaki problemów. Po długim weekendzie czy dłuższym pobycie, trwającym czasami tydzień i więcej, Rory wracała do rodzinnego domu odnowiona, niemal jak lalki, nad którymi się z ciotką pochylały. Teraz Rory potrzebowała tej samej uzdrowicielskiej mocy, którą otrzymywała jako zagubione dziecko.

Wniosła do ciemnego pokoju należącą do Camille Byrd lalkę Kestner. Ciotka Greta siedziała na łóżku z otwartymi oczami i wpatrywała się w dal. Rory odwiedzała ją nocami nie tylko dlatego, że była to najlepsza pora na zastanie Greta w nieco lepszym stanie, ale również dlatego, że staruszka często cierpiała na bezsenność. Wizja obudzonej ciotki wpatrującej się gdzieś w dal, nigdy nie była komfortowa. Ta kobieta dała Rory tak wiele, że Rory nie chciała, by ostatnie chwile życia spędzała sama.

- Hej, starowinko - powiedziała, podchodząc do łóżka.

Greta zerknęła na nią przelotnie, jedynie na krótką chwilę rejestrując jej obecność.

- Próbowałam cię ratować, ale było za dużo krwi.

- Wiem - odparła Rory. - Zrobiłaś, co mogłaś. W swoim życiu pomogłaś naprawdę wielu pacjentom.

- Za dużo krwi. Musimy pojechać do szpitala.

- Ciociu Greto, wszystko jest już w porządku. Wszyscy są bezpieczni.

- Musimy jechać. Potrzebuję pomocy. Za dużo krwi.

Rory przerwała na moment i popatrzyła na nią. W końcu chwyciła jej dłoń i lekko ścisnęła.

- Obiecałaś, że pomożesz mi przy rekonstrukcji. Pamiętasz? - Rory położyła na łóżku karton z lalką Kestner. Natychmiast dostrzegła zmianę w zachowaniu ciotki. Popatrzyła na lalkę, której uszkodzona twarzączka była widoczna przez okienko w pudełku. - Musiałam użyć dużej ilości masy epoksydowej, żeby naprawić pęknięcie, a wygładzanie wymagało sporo szlifowania. Naprawiłam ją naprawdę dobrze, ale potrzebuję pomocy, żeby przywrócić porcelanie naturalny kolor.

Greta wyprostowała się na łóżku, kiedy Rory otworzyła karton, wyjęła lalkę i ułożyła ją na jej udach. Rory udało się znaleźć przyciski sterujące i uniosła oparcie łóżka, żeby ciotka mogła usiąść.

- Przyniosłam twoje pastele - powiedziała, wyjmując z plecaka zestaw malutkich buteleczek wielkości lakieru do paznokci, wypełnionych różnymi kolorami. Przysunęła bliżej stolik i położyła przybory na blacie.

- Potrzebuję lepszego światła - oznajmiła Greta. Mówiła szorstkim, nieco chrapliwym głosem, innym niż jej wysokie zaśpiewy, kiedy pozostawała uwięziona w okowach demencji.

Rory przyciągnęła lampę, włączyła światła sufitowe i zaczęła obserwować, jak ciotka przystępuje do pracy. Natychmiast przeniosła się do czasów dzieciństwa, do domu Greta, do pokoju pełnego lalek i biurka, przy którym kobieta spędzała długie godziny.

- Hej - powiedziała Rory, kiedy Greta zaczęła nakładać podkład na naprawione pęknięcie. Nie spuszczała wzroku z lalki, kiedy dodała: - Muszę zrobić coś, czego się. .. boję.

Nigdy nie stosowała określeń typu „denerwować się” czy „niepokoić”. W ten sposób powiedziałyby zbyt wiele. Greta

pracowała i nawet nie spojrzała w stronę Rory. Całkiem zatraciła się w malowaniu.

- Muszę się spotkać z kimś, z kim pracował tata. Z klientem. - Rory zaczekała chwilę, czekając na jakiegokolwiek potwierdzenie, że Greta ją usłyszała. - Z tego, co mi wiadomo, to zły człowiek. Nie mam jednak wyboru i muszę to zrobić.

Greta przestała na chwilę poruszać końcówką pędzla po twarzy lalki i spojrzała na Rory.

- Zawsze masz wybór.

Rory milczała przez chwilę.

- Pewnie masz rację.

Greta wróciła do pracy i skoncentrowała całą uwagę na barwieniu naprawionego pęknięcia.

Ciotka miała oczywiście rację. Rory mogłaby przecież powiedzieć sędziemu, że nie przyjmuje tej sprawy. Czy miała taki prawny obowiązek? Trudno powiedzieć. Jako partner w kancelarii ojca była następna w kolejce do przejęcia jego spraw, ale gdyby najzwyczajniej na świecie odmówiła, sędzia Boyle nie miałby dużo do gadania. Prawda była taka, że Rory podjęła już decyzję. Spotykała się z tym człowiekiem z konkretnego powodu. Postanowiła zobaczyć się z nim twarzą w twarz, bo jej ojciec coś ukrywał. Rory zapragnęła się dowiedzieć, co to takiego, a jedyną osobą, która mogła jej udzielić odpowiedzi na to pytanie, był mężczyzna siedzący w więzieniu i czekający na zwolnienie warunkowe.

Greta odezwała się ponownie, wykonując równe pociągnięcia pędzlem i sprawiając, że pęknięcie zaczynało powoli znikać.

- Nic nie zdoła cię wystraszyć, jeśli nie pozwolisz na to, żeby cię wystraszyło.

Rory się uśmiechnęła i wyprostowała na krześle. Uwielbiała te rzadkie chwile, kiedy nawiązywała łączność z Gretą, której umysł był już mocno wyniszczony.

Dwie godziny później wysychała pierwsza powłoka. Przeciętny obserwator już na tym etapie uznałby lalkę Camille Byrd za wyglądającą idealnie. Rory wiedziała jednak, że konieczne są jeszcze dwie warstwy i polerowanie. Była za to wdzięczna, bo to oznaczało, że niebawem znów będzie miała okazję spotkać się ze swoją babką cioteczną.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Kolejny dzień po swoich urodzinach Angela spędziła pod czujnym okiem Thomasa. Przez ten czas starała się kontrolować swoje zachowanie, ponieważ zaczęła się już godzić z perspektywą spotkania z psychiatrą. Nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby tego uniknąć, a Thomas bardzo na to naciskał. Doświadczała też wściekłych napadów wspomnień z młodości, kiedy znajdowała się pod despotycznymi rządami lekarza, któremu jej rodzice bezgranicznie ufali. Wierzyli, że zdoła opanować jej napady, samookaleczanie się i że zmieni ich introwertyczne dziecko w „normalną” nastolatkę.

Po ostatniej nocnej wyprawie do garażu Angela połknęła ostatnie tabletki valium, a kiedy tego ranka słońce oświetliło ramy okien w sypialni, nie mogła się doczekać, kiedy zakończy się ta pełna udręki noc. O dziewiątej leżała jeszcze samotnie w łóżku. Słyszała Thomasa, który wykonywał połączenia telefoniczne. Zadzwoił między innymi do doktora Solomona, prosząc o polecenie psychiatry. Angela nigdy nie powiedziała mężowi, że wcześniejsza rekomendacja lekarza trafiła do kosza i że nie odebrała od niego kilku ostatnich połączeń.

Słyszając niski głos Thomasa rozmawiającego przez telefon, Angela w końcu wstała z łóżka. Wzięła prysznic i się ubrała. Kiedy zeszła na parter, jej mąż pił kawę przy kuchennym stole i analizował arkusz kalkulacyjny do pracy.

- Zaparzyłem kawę - powiedział. - Czujesz się już lepiej?

- Odrobinę, tak - skłamała Angela, napełniając sobie filiżankę, po czym usiadła naprzeciw niego.

- Zadzwoń do lekarza - oznajmił Thomas. - Do jutra nie będzie go jednak w gabinecie. Zostawiłem wiadomość. Myślę, że powinienem pojechać z tobą na tę wizytę. Angela nie zaprotestowała, skinęła jedynie głową.

- Mam też problem z pracą w Indianie. Chcą, żebym tam pojechał i coś sprawdził. Jeśli wyjadę o tej porze, uniknę korków i dojadę na miejsce wczesnym popołudniem. Wieczorem powinienem być już w domu. Nie później niż o dwudziestej.

Angela po raz pierwszy poczuła, że mogła przesadzić z valium. Kiedy po wyjściu do garażu w nocy połknęła ostatnie pigułki, ogarnęła ją fala obojętności. Myślała o naszyjniku ukrytym w koszu piknikowym i możliwej niewierności Thomasa. Przypomniała sobie jego późne powroty z pracy i ciągłe wyjazdy za miasto, przez które wiele nocy spędzał poza domem. Kiedy dołożyła do tego reakcję Catherine na jej odkrycie, poczuła się samotna i odizolowana. Nie miała się do kogo zwrócić. To nieprawda, pomyślała. Przez mgłę krążących w głowie myśli uświadomiła sobie, że zawsze ma jedną osobę, której może zaufać, a oferta pomocy „o każdej porze, niezależnie od przyczyny” była bezwarunkowa. Angela nigdy nie sądziła, że będzie potrzebowała tej pomocy. Nie musiała prosić o wsparcie od dnia, kiedy została uratowana w wieku osiemnastu lat. Od tamtej pory liczyła tylko na siebie, była wolna od dyktatury

rodziców, psychiatrów i zakładu, w którym przetrzymywano ją niczym więźnia. Ale tego ranka, po raz pierwszy od wielu lat, Angela potrzebowała pomocy. Zastanawiała się, czy po tych wszystkich latach oferta nadal jest aktualna.

- Poradzisz sobie sama? - zapytał Thomas. - Mogę zadzwonić do Catherine, żeby z tobą posiedziała.

- Nie - odparła Angela. Wróciła myślami do dzieciństwa, kiedy rodzice obserwowali ją niczym jastrzębie, zawsze obawiając się najgorszego, kiedy Angela musiała zostać sama. A Catherine nie była już osobą, w której pokładała wiarę. - Nic mi nie będzie.

Thomas skinął głową i popatrzył na nią przez dłużącą się chwilę.

- Dziewczyna z gabinetu doktora Solomona powiedziała, że doktor czasami oddzwania z domu, pamiętaj więc o odebraniu telefonu, jeśli zadzwoni. Twierdziła, że próbował już kilkakrotnie, niestety bezskutecznie.

Angela wbiła wzrok w filiżankę z kawą. Poczuła, że ściany jej świata zaczynają się zaciskać wokół niej. Skasowała wiadomości doktora Solomona z automatycznej sekretarki, mając w głowie irracjonalne przekonanie, że jeśli to zrobi, już nigdy nie będzie musiała z nim rozmawiać. Przekonywała samą siebie, że jeśli usunie te nagrania i jego prośby o kontakt, nie wróci już więcej do świata gabinetów psychiatrycznych. W końcu uniosła wzrok i wzruszyła ramionami.

- Nie dzwonił, z tego, co mi wiadomo. Ale jeśli usłyszę telefon, to na pewno odbiorę.

Po trzydziestu minutach obserwowała wyjeżdżającego z garażu Thomasa. Wycofał ostrożnie samochód i wyjechał do Indiany na cały dzień. Kiedy zabierała się do roboty, słyszała jeszcze cichnący w oddali odgłos silnika jego pickupa. W trakcie minionych dni nie

oglądała wiadomości w telewizji, świadoma tego, że Thomas będzie niezadowolony, że Angela podsycy swoją paranoję informacjami na temat dziewczyny, której ciało znaleziono przed tygodniem.

Teraz, po jego wyjeździe, Angela poczuła pragnienie, żeby uzupełnić wiedzę na temat tej sprawy. Chciała zrobić cokolwiek, co pozwoli jej zapomnieć o podejrzeniach, że Thomas ma romans. Nie widziała ani nie słyszała żadnych wieści na temat Samantha Rodgers, od kiedy wysłuchała radiowego raportu rankiem przy magazynie. Włączyła telewizor, ale w związku z tym, że Thomas wyjechał dość późno, zobaczyła jedynie rozpoczęcie dziennego programu. Poranne wiadomości skończyły się ponad godzinę wcześniej. Pstryknęła włącznikiem radia i dostroiła je do stacji z najnowszymi informacjami. Po dziesięciu minutach słuchania reklam i rozmów o giełdzie zdecydowała się poszukać gazety.

Przedni taras i podjazd były puste i nie znalazła na nich egzemplarza „Tribune”. Uznała, że Thomas zabrał już gazetę, więc zajrzała do łazienki, świadoma jego paskudnego nawyku, którego nadal go nie oduczyła. Kiedy nie znalazła gazety również tam, postanowiła zajrzeć do śmietnika. Poszła do alejki z tyłu domu i uniosła wieko kontenera. W środku, na czarnym worku ze śmieciami spoczywał nieprzeczytany egzemplarz „Tribune”, wciąż owinięty w folię, w której go dostarczono. Angela zabrała gazetę i wróciła pośpiesznie do domu.

W „Tribune” aż roiło się od historii o Złodzieju i szczegółów o jedynej ofierze, której ciało odnaleziono. Angela czytała uważnie artykuły, skubiąc przy tym rzęsy, po czym wycięła je starannie, żeby dołączyć do swojej wciąż rosnącej kolekcji. Odwróciła stronę i zaczęła czytać nowy artykuł na temat Samantha Rodgers i płytkiego

grobu, w którym znaleziono jej ciało. Czytając zdanie za zdaniem, czuła, jak mrowi ją skóra:

Ciało Samantha Rodgers odnaleziono w zalesionej okolicy Forest Glen, niecałe dwa kilometry od głównej drogi. Odkryte w trakcie autopsji głębokie ślady na szyi wskazują na to, że została uduszona. Policja w Chicago prosi o wszelkie informacje na temat ofiary z nocy, w której zniknęła, przypominając jednocześnie o wskazówce jej rodziców, że w dniu zaginięcia miała na sobie naszyjnik z perydotem i diamentem, który zaledwie miesiąc wcześniej otrzymała w prezencie z okazji absolutorium. Policja kontroluje wszystkie miejskie i podmiejskie lombardy w poszukiwaniu biżuterii odpowiadającej opisowi, mając nadzieję na znalezienie pierwszego śladu w tegorocznych przypadkach zaginięć kobiet.

Wspomniany naszyjnik z tyłu ma wygrawerowane inicjały ofiary i datę jej urodzenia: SR 29-07-57.

Wszelkie informacje na ten temat można zgłaszać pod podanym niżej numerem telefonu.

Angela uniosła wzrok znad gazety. Jej świat skurczył się do przyprawiającego o migrenę widzenia tunelowego, które obejmowało jedynie boczne drzwi garażowe widoczne przez kuchenne okno. Zerwała się na równe nogi i wybiegła z domu.

Rozdział 17

Chicago, 26 października 2019 r.

Rory przywdziała swój pełny strój bojowy - okulary, wełnianą czapkę, szarą kurtkę i wiązane, wysokie buty wojskowe. Kiedy siedziała w samochodzie na parkingu, jej twarz wręcz płonęła. Wzięła kilka głębokich wdechów i zadrżała na myśl o zajęciu miejsca naprzeciw najstarszego klienta jej ojca - zimnego, wyrachowanego zabójcy - w celu omówienia szczegółów związanych z jego zwolnieniem. Ogarnęło ją dziwne poczucie winy, kiedy rozważyła możliwość, że jej nieżyjący tata utrzymywał jakieś niegodziwe relacje biznesowe z mordercą z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

Nic nie zdoła cię wystraszyć, jeśli nie pozwolisz na to, żeby cię wystraszy/o.

Odetchnęła jeszcze kilka razy, pozwalając, by panika opuściła ją wraz z powietrzem wypuszczanym z płuc. Kiedy uspokoiła dłonie, a płuca zaczęły pracować w miarę normalnie, otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i przymknęła oczy, czując na twarzy chłodny powiew jesiennego wiatru. Stała przed ścianą frontową zakładu karnego Stateville w Crest Hill w stanie Illinois. To tutaj od czterdziestu lat swój wyrok odsiadywał Złodziej.

Przygotowała dokumenty tożsamości, wypełnione wcześniej formularze oraz kopię zezwolenia od sędziego Boyle'a na wizytę bez

wcześniejszego umówienia. Mimo tych zabiegów procedura wpuszczania jej na teren zakładu mocno się przeciągała. W końcu wezwano ją do okienka w celu wypełnienia kolejnych formularzy dotyczących odwiedzin. Kobieta odsunęła w bok szybę i uniosła wzrok znad komputera.

- Imię i nazwisko poproszę.
- Rory Moore.
- Kim pani jest dla osadzonego?
- Adwokatem.

Kobieta przez chwilę stukała w klawisze komputera.

- Nazwisko osadzonego?

Rory spojrzała na trzymany w dłoniach dokument i odczytała nazwisko umieszczone w dolnej części.

- Thomas Mitchell.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Boczne drzwi garażowe były szeroko otwarte, kiedy Angela ściągnęła z półki kosz piknikowy. Wiklinowe wieko potoczyło się po podłodze, kiedy je upuściła. Zawirowało na krawędzi niczym moneta, zakręciło kilkakrotnie i znieruchomiło. Angela wzięła do ręki naszyjnik, po czym przyjrzała się mu uważnie. Zielony perydot i otaczające go małe diamenty nie lśniły tego ranka w słabo oświetlonym garażu, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy znalazła go po raz pierwszy. Zapamiętała, jak jasne poranne słońce ożywiło klejnoty. Teraz wszystko było inaczej, a blask jej życia został jej odebrany, tak samo jak tym cennym kamieniom.

Powróciło drżenie rąk, kiedy zaczęła powoli obracać naszyjnik. Wysiliła wzrok w poszukiwaniu grawerunku. Przysunęła naszyjnik do światła sączącego się przez okno, aż dojrzała wyraźnie wyżłobione z tyłu znaki: SR 29-07-57.

Tego dnia w garażu dla Angeli Mitchell skończył się świat. W jej głowie powstało jakieś niemożliwe do odszyfrowania powiązanie między tamtym porankiem, kiedy próbowała usunąć kanapę, a teraźniejszością. Od tamtej pory jej życie znajdowało się na równi pochyłej, a tego ranka ostatecznie dobiegło końca w gigantycznej eksplozji.

Popatrzyła powoli na półki przed sobą i nie zastanawiając się nad wykonywanymi czynnościami, zaczęła grzebać w pozostałych pojemnikach. Przetrzęsała jeden karton za drugim, aż natrafiła na plastikowe pudło ze świątecznymi dekoracjami. Zsunęła je z góry, położyła na podłodze i otworzyła. W środku znalazła ciasno związany łańcuch choinkowych lampek, ułożony na przedmiocie, którego nie zdołała w pierwszej chwili zidentyfikować. Wyjęła z pudła lampki i zobaczyła damską torebkę. Nigdy takiej nie posiadała. Otworzyła ją, czując zaciskający się w żołądku węzeł. Od razu ujrzała przybory do makijażu i szminkę. Po chwili znalazła wymiętą paczkę papierosów i zapalniczkę, a także małą portmonetkę. Wyjęła ją z torebki i obróciła w dłoniach. Zakręciło się jej w głowie, a na skraju pola widzenia zatańczyły gwiazdy. Wyjęła z portmonetki prawo jazdy i spojrzała na znajdujące się na nim zdjęcie kobiety o blond włosach. Rozpoznała ją natychmiast - była to Clarissa Manning, pierwsza ofiara, zaginiona w maju. Angela opracowała jej rozległy biogram, podobnie jak w przypadku innych kobiet.

Nie potrafiła w pełni pojąć koszmarów, na które natknęła się w składzie przylegającym do magazynu w Kenoshy, jednak wszystko w jej głowie w końcu zaczęło się łączyć w całość, kiedy przypomniała sobie dwie pętle i wiadomości telewizyjne, w których informowano o zasinieniach na szyi Samantha Rodgers. Angela nie była sobie nawet w stanie wyobrazić, do czego mogło tam dojść.

Kiedy tak stała z dowodem tożsamości Clarissy Manning w jednej dłoni i naszyjnikiem Samantha Rodgers w drugiej i w końcu wszystko zaczęło się jej układać w głowie, zwróciła uwagę na jakiś hałas. Jej pole widzenia wciąż ograniczone było do dwóch artefaktów należących do zaginionych kobiet. W końcu znalazła odpowiedź, dlaczego przez całe lato balansowała na skraju paniki. W końcu

poznała przyczynę, dla której dawne obsesje i dolegliwości z przeszłości wstały z grobów, w których je zakopała. Choć było jej trudno przyjąć to do wiadomości, nie miało to nic wspólnego z obcym z alejki ani Billem Blackwellem. Jej strach tego lata był tak dotkliwy dlatego, że przebywała w pobliżu człowieka odpowiedzialnego za porwania kobiet.

Hałas nie ustawał, aż w końcu Angela powróciła do rzeczywistości. Spojrzała szeroko otwartymi oczami za siebie i w końcu jej mózg przetworzył ten odgłos. Wydawał go mechanizm podnoszący bramę garażową - teraz słyszała już wyraźnie dudnienie łańcuchów i piski sprężyn. Chwilę później do jej uszu dobiegł niski pomruk należącego do Thomasa Forda, który wjechał do alejki.

Jej mąż powinien być teraz w Indianie i nadzorować kontrolę placu przyszłej budowy. Angela popatrzyła pod nogi, czując szum krwi w uszach. Na garażowej podłodze leżało plastikowe pudło z odsuniętą pokrywką. Obok spoczywały trzy łańcuchy świątecznych lampek i odwrócona do góry nogami torebka Clarissy Manning, z której wypadła cała zawartość - kosmetyki, szminka, zapalniczka, drobne. W pobliżu leżał również kosz piknikowy i jego wieko, które potoczyło się na środek garażu.

Odgłos silnika narastał, a brama podnosiła się coraz wyżej.

Rozdział 18

Chicago, 26 października 2019 r.

Rory usiadła w boksie naprzeciw Thomasa Mitchella. Z akt prowadzonych przez ojca wiedziała, że mężczyzna ma sześćdziesiąt osiem lat, choć wyglądał na dużo młodszego. Od nozdrzy biegły u niego głębokie bruzdy, które okrężały usta i nikły gdzieś w okolicach podbródka. Poza tym jego twarz była jak wyrzeźbiona i prezentowała się młodo. Gdyby Rory nie znała szczegółów, uznałaby, że ten człowiek dopiero co przekroczył pięćdziesiątkę.

Kiedy zajęła miejsce po przeciwnej stronie szyby, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Siedział ze skutymi kajdankami nadgarstkami opartymi na blacie, z palcami złożonymi jak do modlitwy, emanując spokojem i opanowaniem. Podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Rory uczyniła to samo.

- Panie Mitchell, nazywam się Rory Moore.
- Powiedziano mi, że spotkam się tutaj z adwokatem.
- Niestety muszę pana poinformować, że Frank Moore zmarł w ubiegłym miesiącu. Jestem jego córką.

Rory dostrzegła jakąś subtelną zmianę w oczach mężczyzny, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy były to emocje, czy zwyczajnie rozmyślał.

- Czy to spowoduje opóźnienie mojego zwolnienia?

- Nie. Przejęłam tę sprawę i zajmuję się szczegółami.

- Jest pani prawniczką?

Rory się zawahała, tak samo jak wtedy, gdy podobne pytanie zadał jej sędzia Boyle.

- Tak - odparła w końcu. - Pracowałam okazjonalnie z ojcem i spotkałam się już z sędzią, który nadzoruje pańskie zwolnienie.

Thomas Mitchell milczał, więc Rory postanowiła mówić dalej.

- Sędzia i mój ojciec negocjowali warunki zwolnienia. Zapoznałam się już ze wszystkimi szczegółami. - Rory otworzyła leżącą przed nią teczkę. - Dysponuje pan pewnymi aktywami. - Wyjęła jedną z kartek ze stosu. - Na pańskim koncie figuruje nieco ponad osiemset tysięcy dolarów. Jeśli podejdzie pan do tego z rozsądkiem, to kwota ta powinna wystarczyć panu do końca życia.

Skinął głową.

- Mój ojciec miał prawo do zarządzania pana finansami. Te prawa zostały na mnie przeniesione, a sędzia poprosił, żebym po zwolnieniu pomogła panu w kwestiach związanych z pieniędzmi. Świat bankowości bardzo się przez te lata zmienił. Zgodnie z prośbą sędziego mam pomagać panu z finansami przez półtora roku.

- A co z moim zakwaterowaniem? - zapytał. - Nie chcę mieszkać w ośrodku przejściowym. Frank obiecał się tym dla mnie zająć.

- Sędzia przystał na pana wniosek o zamieszkanie w domu położonym w pobliżu Starved Rock. Z tego, co widziałam, odziedziczył go pan po wuju w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Mój ojciec umieścił tę nieruchomość na funduszu powierniczym i od tamtej pory była wynajmowana. Sędzia nakazał, abym przed pańskim zwolnieniem skontrolowała nieruchomość wraz z pracownicą socjalną Naomi Brown i kuratorem Ezrą Parkerem.

- W porządku - powiedział Złodziej. - Proszę włączyć ogrzewanie.
Rory urwała na moment w reakcji na jego poczucie humoru.

- Był pan już wcześniej w tym domu?

- W dzieciństwie. Naprawdę się zdziwiłem, kiedy mi powiedziano, że wuj przepisał go na mnie. Cieszę się jednak, że go mam i że Frank utrzymał to w tajemnicy.

Rory zapoznała się już pobieżnie z działaniami ojca dotyczącymi odziedziczonej nieruchomości. Teraz zrozumiała, dlaczego umieścił ją na funduszu powierniczym - właściciel miał pozostać anonimowy.

- Przez dwanaście miesięcy po zwolnieniu będzie pan zmuszony zastosować się do dość obszernej listy wymagań. - Rory wyjęła kolejną kartkę. - Przykładowo, będzie pan musiał regularnie spotykać się i rozmawiać z kuratorem. Zostanie panu również przydzielony pracownik socjalny, który sprawdzi, czy zdołał się pan zadomowić. Mam też spis lekarzy, u których złoży pan wizyty. Z internistą, który będzie prowadził regularne kontrole pod kątem obecności narkotyków, i psychologiem będzie pan musiał się widywać co drugi tydzień. Wszystko to ma na celu pomóc panu w reintegracji ze społeczeństwem.

- Nie będzie żadnej reintegracji. Są ludzie, którzy rozpoczną polowanie na mnie, a jeśli ktokolwiek się dowie, gdzie mieszkam, to skończę marnie. Frank to przewidział i podjął działania zmierzające do zagwarantowania mi prywatności. Z tego samego powodu wątpię, żebym zdołał znaleźć jakąś pracę. Nie zechce mnie żadna firma i tylko wpadnę w kolejne kłopoty związane z tymi, którzy mnie szukają. Mam dość pieniędzy, żeby wieść spokojne życie, i to właśnie zamierzam robić.

- Biorąc pod uwagę pański wiek, wyrok i środki finansowe, sędzia rzekł się wymogu podjęcia pracy. Dokumenty potwierdzające

wszystkie te uzgodnienia zostaną do pana wysłane celem podpisania. Po podpisaniu papierów sprawa zwolnienia ruszy naprzód. Zaplanowano je na trzeciego listopada. Jakież pytania?

- Tak. Co się stało Frankowi?

Rory popatrzyła na mężczyznę po drugiej stronie szyby. Sposób, w jaki wypowiedział imię jej ojca, sugerował, że ich relacja była dość osobista.

- Zawał.

- Wielka szkoda.

Rory zmrużyła oczy za grubymi okularami.

- Wydaje mi się, że łączyły pana z moim ojcem bliskie relacje.

- Owszem. Był moim adwokatem i nie licząc innych więźniów, jedyną osobą, z którą miałem regularny kontakt.

Rory chciała zapytać, co jej ojciec robił dla Thomasa Mitchella przez czterdzieści lat. To musiało być coś więcej niż tylko apelacja i przesłuchania w sprawie zwolnienia. Pragnęła się dowiedzieć, dlaczego ten człowiek wypłacił jej ojcu niemal dwieście tysięcy dolarów.

Złodziej zdawał się czytać w jej myślach, bo powiedział:

- Proszę posłuchać, przykro mi z powodu Franka. Był kimś, kogo mogłem nazwać swoim przyjacielem. Muszę się jednak skupić na wyjściu stąd i zachowaniu anonimowości. Pomoże mi w tym pani?

Jego przyjaciel.

W tylnej kieszeni zawibrował jej telefon. Potem ponownie i jeszcze raz. Trzy powiadomienia z rzędu. Uśmiechnęła się niepewnie do Thomasa Mitchella, wyjęła telefon z kieszeni i spojrzała na ekran: Rory. Jestem bardzo zainteresowana rozmową na temat Angeli Mitchell. Mieszkam w Chicago i chętnie się spotkam, Catherine Blackwell.

Rory niemal zapomniała o wiadomości, którą zostawiła w komentarzach na fanpage'u autorstwa Catherine Blackwell. Spojrzała ponownie na Thomasa Mitchella. Pewna kobieta nadal szukała sprawiedliwości czterdzieści lat po tym, jak ten mężczyzna zamordował swoją żonę. Rory poczuła ogromną chęć, żeby natychmiast odpisać Catherine Blackwell.

- Pańskie zwolnienie nadal jest zaplanowane na następny tydzień - oznajmiła. - Nic się nie zmieniło.

Thomas Mitchell skinął głową, odłożył słuchawkę i nacisnął przycisk znajdujący się obok. Po krótkiej chwili pojawił się strażnik, który wyprowadził go z pomieszczenia.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Thomas skręcił swoim pickupem w alejkę i nacisnął przycisk automatycznego otwierania bramy garażowej. Kiedy podjechał pod dom, zobaczył, że pokrywa kontenera na śmieci leży na środku jezdni. Nacisnął hamulec, przestawił skrzynię biegów fordą na parkowanie, wysiadł z samochodu i podniósł pokrywę. Kiedy kładł ją na swoim miejscu, zauważył, że zniknęła gazeta, którą wcześniej tutaj wyrzucił. Położył kamień na pokrywie i spojrzał w stronę podwórza i kuchennego okna, gdzie niecałą godzinę wcześniej zostawił Angelę. Wszystkie jego zmysły działały na pełnych obrotach od tamtej urodzinowej nocy, kiedy zastał ją w garażu. Po dwudziestu minutach spędzonych na autostradzie tego ranka poczuł, że coś jest nie tak. Postanowił, że jego wyjazd do Indiany może poczekać. W domu mogło dojść do katastrofy i musiał się tym zająć w pierwszej kolejności.

Wsiadł z powrotem do samochodu, wjechał do garażu i natychmiast zauważył, że pudła i kartony na półce nie znajdowały się na swoich miejscach. Doskonale znał tę część pomieszczenia - to tam ukrywał swoje skarby. Teraz, kiedy patrzył na półki, uświadomił sobie, że popełnił poważny błąd, pozostawiając je bez

nadzoru. Skoro przestawiała kartony, to kto wie, na co mogła się natknąć?

Wyłączył silnik pickupa, wysiadł i zatrzasnął drzwi. Po chwili stanął przed półkami i zaczął się im dokładniej przyglądać. Nie miał wątpliwości, że Angela grzebała w kartonach, ale nie potrafił stwierdzić, co w nich znalazła. Kiedy odwrócił głowę w stronę bocznych drzwi prowadzących na podwórze, zauważył drobne monety rozrzucone na podłodze. Spojrzał ponownie na półki i zdjął z górnej przezroczyste, plastikowe pudło, w którym znajdowały się trzy łańcuchy lampek choinkowych i torebka jednej z dziewczyn. Umieścił ją tam zaraz po powrocie, ale wciąż się tego nie pozbył. Trudno było mu rozstać się z tymi przedmiotami. Lubił ich czasami dotykać w oczekiwaniu na ustąpienie Uderzenia. Powinien trzymać to wszystko w magazynie, jednak przechowywanie ich osobistych przedmiotów tak blisko domu sprawiało mu perwersyjną przyjemność.

Zdjął pudło z półki, otworzył wieko i dotknął trzech łańcuchów świątecznych lampek, zwiniętych w ciasne kręgi. Spoczywały na torebce, tak jak je zostawił. Przycisnął pojemnik brzuchem do półek, żeby oswobodzić ręce, po czym odsunął lampki i wyjął torebkę. Odpiął ją i przejrzał zawartość. Papierosy i zapalniczka. Kosmetyki. Wymacał portfel i go otworzył. Był cienki i wyposażony w zameczek chroniący niewielki przedział na drobne i żetony. Spojrzał ponownie na rozrzucone po podłodze monety.

Odwrócił cienki portfel i zauważył puste miejsce, w którym powinno się znajdować prawo jazdy. Zaczął wsuwać kciuk w kolejne kieszonki, próbując wymacać dokument tożsamości dziewczyny. Bezskutecznie. Przechylił się nieco na prawo, nie przestając dociskać pudła, po czym zerknął przez okienko w bocznych

drzwiach w stronę tylnej części domu. Udało mu się zobaczyć pustą kuchnię.

Zmarszczył czoło, kiedy uświadomił sobie możliwość, że żona odkryła jego tajemnicę. Konsekwencje mogły być katastrofalne. Wrzucił torebkę z powrotem do pudła, nawet jej nie zamykając. Położył na niej luzem portfel i zakrył wszystko lampkami. Postawił pudło z powrotem na półce, po czym sięgnął po kosz piknikowy i zrzucił pokrywę na podłogę. Wyszarpnął ze środka obrus i zaraz się przekonał, że kosz jest pusty.

Rzucił go na ziemię, wyszedł bocznymi drzwiami z garażu, przeciął podwórze i nacisnął klamkę na kuchennych drzwiach. Nie były zamknięte na klucz.

- Angela! - ryknął, znalazłszy się w środku. Brak odpowiedzi. - Angela?

Usłyszał metaliczne stuknięcie w piwnicy, podszedł do schodów i szybko zszedł na dół. Kiedy dotarł na platformę u ich stóp, zauważył zapalone światło w pralni. Hałas wydawała z siebie suszarka. Pokrywa pralki pozostawała otwarta. Urządzenie napełniało się wodą, a Angela wrzucała do bębna pranie.

Wystraszył ją, kiedy podszedł bliżej, wydała więc z siebie przenikliwy krzyk. Zadygotała na całym ciele i upadła na podłogę pralni.

- Wybacz - powiedział Thomas. - Nie odebrałaś mojego telefonu.

Angela uniosła głowę i przesunęła dłonią po włosach.

- Pralka i suszarka hałasowały. Nic nie słyszałam.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział, pomagając jej wstać. Rozejrzał się po pomieszczeniu i ocenił sytuację. - Tylne drzwi nie były zamknięte na klucz. Myślałem, że zależy ci na tym, żeby wszystko było pozamykane.

- Och - powiedziała Angela. - Musiałam zapomnieć zamknąć.

- Wychodziłaś na zewnątrz?

- Tak. Wyniosłam śmieci.

Thomas przypomniał sobie kontener, brak gazety i pokrywę leżącą na środku ulicy.

- Co ty robisz w domu? - zapytała go.

Pralka zadudniła i zaczęła wirować. Bęben kręcił się i pluskał wodą. Angela to zauważyła i zamknęła pokrywę, żeby stłumić hałas. Suszarka zamruczała i wyrzuciła z siebie ciepłe powietrze.

- Postanowiłem, że pojedę tam jutro.

Angela skinęła głową. Wyczuł jej niepokój, inny niż do tej pory.

- Chodź na górę - powiedziała i podniosła pusty kosz na bieliznę. - Przygotuję jakiś lunch.

Thomas patrzył, jak jego żona idzie szybkim krokiem i wspina się po schodach. Kiedy został w pralni sam, rozejrzał się dookoła. Czuł w kościach, że coś jest nie tak. Uniósł pokrywę pralki i zobaczył bęben wypełniony wodą oraz mieszadło, które obracało w lewo i prawo zanurzone w pianie ubrania. Stał tak przez chwilę i nasłuchiwał otaczających go odgłosów. W końcu spojrzał na suszarkę. Posłuchał jej brzęczenia i po chwili zidentyfikował przyczynę swojego niepokoju. To nie odgłos zwrócił jego uwagę, lecz jego brak. Suszarka mruczała cicho, nie słyszał jednak, żeby w środku cokolwiek się przewalało. Żadnego stukania guzików i sprzączek o metalowe wnętrze. Żadnego dudnienia mokrych ciuchów, które spadały z górnej części obracającego się bębna.

Wyciągnął rękę i otworzył pokrywę suszarki. Ze środka wydostało się suche, gorące powietrze. Kiedy opar się rozwiął, Thomas zajrzał do wnętrza. Było zupełnie puste.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Nadszedł czwartkowy ranek, dzień po niespodziewanym i zaskakującym powrocie Thomasa do domu. Upłynęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy Angela zobaczyła twarz Clarissy Manning na prawie jazdy znalezionym w torebce ukrytej w garażu. Mniej niż jeden pełny dzień od momentu, kiedy zidentyfikowała tajemniczy, odkryty kilka tygodni wcześniej naszyjnik, który okazał się własnością Samantha Rodgers. Czy była gdzieś jeszcze inna biżuteria, również należąca do kobiet, których biogramy sporządziła? Angela spędziła większą część środowej nocy na udawaniu, że śpi, podczas gdy jej umysł wyobrażał sobie przedmioty należące do kobiet, ukryte gdzieś w garażu.

Jej paranoja zaczynała rosnać z każdą mijającą godziną niczym para gromadząca się w szybkowarze. Była przekonana, że Thomas wiedział o jej odkryciu. Poukładała pojemniki na garażowych półkach tak niestarannie, że aż dziwne by było, gdyby się nie zorientował, że w nich grzebała. Thomas anulował na dziś swój wyjazd do Indiany i nie pojechał w ogóle do pracy. Jego troska o spotkanie Angeli z lekarzem ustąpiła miejsca czemuś zupełnie innemu - garażowi. Obserwowała go przez cały ranek poprzez kuchenne okno, skubiąc rzęsy i brwi. Co pewien czas Thomas pokazywał się w bocznych

drzwiach - wychodził z tylnej części garażu do pickupa stojącego w alejce, dźwigając pudła i kartony.

Angela przypomniała sobie moment, gdy była w garażu i zaczęła się podnosić brama. Kiedy jako tako poustawiała wszystko z powrotem na półkach, pobiegła do kuchni i zaczęła się zastanawiać, czy nie zamknąć się w łazience i nie zasymulować choroby. W ciągu minionych tygodni czuła się wystarczająco źle, żeby było to wiarygodnym kłamstwem. Wybrała jednak piwnicę i pomieszczenie pralni. Dzięki włączonym pralce i suszarce mogła udawać, że nie usłyszała jego powrotu do domu, a potem odpowiednio „się wystraszyć”, kiedy ją w końcu odnalazł. W ten sposób zyskała kilka minut na ukrycie prawa jazdy Clarissy Manning, które ostatecznie wcisnęła do kieszeni dżinsów. Naszyjnik Samantha Rodgers wylądował w pralce wraz z ubraniami, które leżały wcześniej na podłodze. Kiedy zostawiła Thomasa samego w pralni, swędział ją i piekł każdy fragment skóry. Został tam jeszcze przez minutę czy dwie, a ona zaczęła się poważnie niepokoić, że sięgnął do spienionej wody i w jakiś sposób znalazł naszyjnik.

Teraz, w czwartkowy rano, kiedy siedziała w kuchni, gorączkowo analizowała w głowie możliwe opcje. Musiała znaleźć sposób na to, żeby wyjść z domu i oddalić się od męża. Wymyślała różne scenariusze, zerkając przez okno, jak Thomas opróżnia garaż. Powstrzymała się przed pierwotnym instynktem, który nakazywał jej ucieczkę, wybiegnięcie przez drzwi frontowe z dala od domu, dopóki starczy jej sił. Dokąd jednak miałyby uciec? Do Catherine? Z pewnością nie. Na policję? Może. Zaraz jednak wyobraziła sobie ich lekceważące spojrzenia, kiedy zaczęłyby przedstawiać swoją fantastyczną historię. Z całą pewnością zapakowaliby ją do policyjnego wozu i odstawili do domu, do Thomasa.

Zadzwoił telefon. Thomas ładował kartony na pakę pickupa, podeszła więc do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Pani Mitchell, mówi doktor Solomon. Próbowałem się z panią skontaktować. - Angela milczała, zła na siebie, że odebrała połączenie. - Pani Mitchell? Jest tam pani?

- Tak - odparła cicho. - Przepraszam, że nie oddzwoniłam.

- Pani Mitchell, muszę panią poprosić o odstawienie valium, które przepisałem. - Buteleczka była już pusta, więc nie stanowiło to problemu. - Pani Mitchell?

- Jestem.

- Proszę odstawić valium i przyjść do mojego gabinetu.

Doktor Solomon mówił dalej, ale jego głos wydawał się brzmieć niczym radiowe zakłócenia i echo, kiedy wyjaśniał jej, co odkrył w czasie badania. Angela zwolniła uchwyt i poczuła, że słuchawka spada jej na ramię. W końcu zsunęła się po jej piersiach i zawisała, kręcąc kółka na przewodzie. Angeli wydawało się, że wciąż dociera do niej głos doktora Solomona upewniającego się, czy go słyszc. Osunęła się na podłogę z plecami przyciśniętymi do ściany. Gdyby buteleczka valium nie była pusta, w tej chwili pochłonęłaby całą resztę.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Nie zmrużyła oka przez całą czwartkową noc, rozmyślając o opróżnionym garażu. Pozostały jej jedynie dwa ważne przedmioty - naszyjnik Samantha Rodgers i prawo jazdy Clarissy Manning - które dobrze ukryła. Thomas prawie z nią nie rozmawiał od ich spotkania w pralni, nie wiedziała więc, czy faktycznie odkrył, że znalazła jego zbiory.

Nie dość, że nieustannie miała przed oczami opustoszałe półki w garażu, to w uszach bez przerwy słyszała głos doktora Solomona, przypominający nagranie na zaciętej płycie. Nie spała już od kilku nocy, ale dzięki temu, że łóżko obok było puste, a Thomas kontynuował swoje sprzątanie na dole, w końcu ogarnęło ją zmęczenie i odpłynęła w błogi trans.

Jej wycieńczony brakiem snu umysł zabrał ją z powrotem do ukrytego składu w magazynie w Kenoshy. Krążyła po obskurnej, nieoświetlonej przestrzeni, a szare światło sączące się z okienek pod sufitem ledwie ją rozjaśniało. Kiedy przeszła do tylnej części magazynu, nacisnęła klamkę na drzwiach i weszła do środka. Gdy ucichły piszczące zawiasy, Angela usłyszała coś jeszcze. Cichy jęk. Weszła do ciemnego składu i zobaczyła Clarissę Manning zawieszoną na jednej z dwóch pętli. Pomóż mi, poprosiła zaginiona

dziewczyna, która ścisnęła coś w ramionach. Angela podeszła bliżej, żeby się temu przyjrzeć. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się już do słabego oświetlenia, zobaczyła niemowlę owinięte w zielony brezent, zawieszony przed drzwiami. Kiedy sięgnęła po zawiniątko, dziecko zaczęło głośno płakać.

Angela wyprostowała się gwałtownie w łóżku. Oddychała ciężko, jakby właśnie się wynurzyła po kilku minutach spędzonych pod wodą. Jęki i prośby o pomoc Clarissy Manning z jej koszmaru ustąpiły teraz miejsca pomrukowi silnika pickupa Thomasa. Odsunęła szybko kołdrę i podbiegła do okna. Zobaczyła, że Thomas odjeżdża w dół alejki, wioząc na pace pudła i kartony z garażu i piwnicy.

Angela szybko się ubrała. Wiedziała, że nie ma dużo czasu. Kiedy zbiegła na parter, przekonała się, że jej mąż przeszukał wszystkie zakątki domu. Angela zapomniała zabrać swoją teczkę z dokumentami w niedzielę rano, kiedy wybiegła z domu Catherine po powrocie Billa. Teraz była zadowolona, że tak się stało. Gdyby schowała ją w skrzyni przy łóżku, gdzie zawsze ją przechowywała, Thomas z całą pewnością szybko by ją znalazł. Angela pragnęła mieć ją przy sobie, ale nie była w stanie jej odzyskać. Nie miała na to czasu.

Prawo jazdy Clarissy Manning nie zmieniło swojego położenia, od kiedy schowała je w kieszeni spodni. Zabrała je teraz i zbiegła po schodach do piwnicy. Tutaj również szybko się zorientowała, że Thomas przejrzał każdy fragment dostępnej przestrzeni. Szuflady były pootwierane, a ich zawartość leżała na podłodze. Półki zostały opróżnione i Angela już nawet nie pamiętała, co się na nich wcześniej znajdowało. Poczowała zimny dreszcz, kiedy uświadomiła sobie, z jakimi dowodami przestępstwa mogła obcować przez

minione dwa lata. Zastanawiała się, ile przedmiotów Thomas tutaj schował i czy byłaby w stanie zrobić cokolwiek, żeby zakończyć jego rządy terroru, trwające z całą pewnością od dziesięciu lat. Na pustych teraz półkach mogły znajdować się wcześniej rzeczy, których potrzebowała, żeby udowodnić swoją teorię. Mimo to wierzyła jednak, że te, którymi dysponuje, są wystarczające.

Podbiegła do pralki i otworzyła pokrywę. Pranie, które do niej wrzuciła ubiegłego ranka, leżało tam spłaszczone i wilgotne, a obroty bębna przykleiły je do jego ścianek. Zaczęła je zbierać, jedno po drugim, aż usłyszała brzęk w maszynie. Angela sięgnęła do środka i wyjęła naszyjnik Samantha Rodgers. Uspokoila się nieco, wiedząc, że Thomas go nie znalazł.

Wróciwszy na górę, poświęciła trzydzieści pełnych desperacji minut na sporządzenie notatek dotyczących odkryć z ubiegłego tygodnia. Przez całą noc słuchała krzątającego się po domu Thomasa, który krążył między piwnicą i zaparkowanym pickuperem, ogoławając dom z cennych dowodów. Nasłuchiwała i się modliła. Balansowała między paniką a snem, w którym widziała Clarissę Manning zwisającą z pętli. Walczyła z pragnieniem, które nakazywało jej uciekać, krzyczeć i płakać.

Wstrzymała oddech i opracowała plan działania.

Rozdział 19

Chicago, 27 października 2019 r.

Spotkanie się z nowymi ludźmi było dla Rory mniej więcej tym samym, co leczenie kanałowe zębów. Radziła sobie znacznie lepiej, gdy obcy pochodził z zaświatów, kiedy był ofiarą, która wymagała od Rory rekonstrukcji zdarzeń prowadzących do jej śmierci i znalezienia odpowiedzi na pytania. Dużo trudniej znosiła obecność żywych. Ci wymagali interakcji, zadawali pytania i osądzali. Spotkanie z Catherine Blackwell było jednak czymś, z czego Rory nie mogła zrezygnować. Pokusa przeprowadzenia rozmowy z kimś, kto znał Angelę Mitchell, była zbyt silna. Rory nawet nie próbowała sobie tłumaczyć, dlaczego tak bardzo pragnie dowiedzieć się wszystkiego na jej temat.

Dochodziło południe, kiedy weszła po stopniach prowadzących do domu i nacisnęła przycisk dzwonka. Choć nigdy nie stworzyła sobie mentalnego wizerunku Catherine Blackwell i widziała ją jedynie na ziarnistym zdjęciu z Facebooka, ze zdumieniem spojrzała na siwowłosą kobietę, która otworzyła jej drzwi. Catherine wyglądała na siedemdziesiąt lat, może trochę więcej. Te wyliczenia miały sens, skoro była przyjaciółką Angeli Mitchell w siedemdziesiątym dziewiątym.

- Rory? - spytała Catherine.

- Tak. Pani Blackwell?

- Mów mi Catherine. Chodźmy do środka.

Rory weszła do domu i podążyła za kobietą do kuchni.

- Mogę odebrać twój płaszcz?

Rory podświadomie zacisnęła dłoń na górnym guziku, który był zapięty i chronił dolną część jej szyi.

- Nie, dziękuję.

Rory zdecydowała się zdjąć wełnianą czapkę, ale dalej nie zamierzała się posunąć.

- Czy mogę zaproponować ci kawę?

- Nie, bardzo dziękuję.

Catherine napełniła sobie filiżankę i po chwili obie usiadły przy stole. Rory zauważyła leżące na blacie segregatory.

- Bardzo się ucieszyłam, kiedy otrzymałam twoją wiadomość - powiedziała Catherine. - Na moim Facebooku nie było ostatnio większego ruchu.

- Ja też się cieszę, że cię znalazłam - odparła Rory, poprawiając okulary na nosie.

- Na stare lata zrobił się ze mnie detektyw - przyznała kobieta. - Mam szczęście, że udało mi się zaprzyjaźnić z internetem, a nie zostać jego wrogiem, jak w przypadku większości osób w moim wieku. Kiedy przeczytałam twój komentarz na moim profilu, zaczęłam trochę węszyć. Masz niezłą reputację w świecie kryminalistyki.

Rory skinęła głową, odwróciła wzrok i ponownie sięgnęła do kołnierza płaszcza, upewniając się, że górny guzik wciąż jest zapięty. Dzięki temu poczuła się bezpieczna i chroniona, w pewnym stopniu anonimowa, choć to akurat dalekie było od prawdy.

- Tak. Pracuję w departamencie policji Chicago jako specjalny doradca.

- Oraz przy Murder Accountability Project - zauważyła Catherine z uśmiechem na twarzy. - To dlatego się ze mną skontaktowałaś? Chicagowska policja znów zajmuje się Angelą?

Rory się zamyśliła. Zajmuje się?

- Nie, obawiam się, że nie. Angela Mitchell zainteresowała mnie zupełnie prywatnie. - Rory poprawiła się na krześle i pochyliła nieco bliżej. - Skąd znałaś Angelę? Jeśli oczywiście wolno mi spytać.

Catherine znów się uśmiechnęła i spojrzała na filiżankę z parującą kawą.

- Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami. Ale to było tak dawno temu. .. - Uniosła wzrok. - Może upiększam tę naszą przyjaźń teraz, kiedy o tym myślę. Może wspominał ją lepiej, niż była tego warta. Ale Angela wiele dla mnie znaczyła. Była naprawdę wyjątkową kobietą.

- W jakim sensie wyjątkową? - zapytała Rory, choć zdawało się jej, że już zna odpowiedź.

- Angela była moją ukochaną przyjaciółką, ale borykała się również z różnymi dolegliwościami. Miała ich. .. sporo. Może właśnie dlatego byłyśmy tak ze sobą związane.

Ona niestety nie miała zbyt wielkiego wsparcia. Oddzielono ją od rodziców, z tego, co zdecydowała się mi opowiedzieć, a poza nimi nie miała żadnej innej rodziny. Angela była osobą, którą dziś określono by mianem autystycznej, ale w tamtych czasach cierpiała na brak zrozumienia ze strony kogokolwiek. Miała również zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Nieustannie dochodziło u niej do ataków paranoi. Mimo wszystko udało się nam jednak zbudować zupełnie normalną relację, którą bardzo sobie ceniłam. Zanim

zniknęła latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, przechodziła kolejną falę dolegliwości i obawiam się. ..

Rory milczała przez chwilę.

- Że co?

- Obawiam się, że nie potraktowałam jej lepiej niż ci wszyscy, których próbowałam unikać.

- Co się stało?

Catherine upiła łyk kawy, żeby się uspokoić.

- Z pewnością zna pani temat zaginionych kobiet z siedemdziesiątego dziewiątego.

Rory pokiwała głową. Z relacji Lane'a знаła podstawowe informacje na temat zaginięć kobiet tamtego roku. Żadnej z nich oficjalnie nie powiązano z Thomasem Mitchellem pomimo głośnych spekulacji, że to on odpowiada za ich śmierć.

- Angela miała obsesję na punkcie zaginionych tamtego lata kobiet. Wysnuła teorię na temat sprawcy i sposobu, w jaki tego dokonał. Ale to były szalone pomysły, może traktowane przez niektórych jak teoria spiskowa, związane z trwającym dziesięć lat procederem porwania kobiet, które padły ofiarą tego samego mężczyzny. Sporo nad tym pracowała, gromadziła materiały. Dysponowała całymi teczками wykresów i szczegółowym modelem, który przedstawiał kolejność zdarzeń. Podobne kobiety mordowane w podobny sposób w określonym mieście i jego okolicach.

Rory poczuła, że zaciska się jej gardło. Pomyślała o swojej pracy przy programie MAC oraz wysiłkach jej i Lane'a, zmierzających do znalezienia podobieństw między morderstwami, które mogły wskazywać trendy i seryjne zabójstwa. Przed jej oczami przewinęła się lista wszystkich spraw, które zostały rozwiązane dzięki ich algorytmowi. Angela Mitchell robiła coś podobnego w czasach, w

których nie było jeszcze powszechnie dostępnych komputerów, nie opracowywano algorytmów, w czasach sprzed nastania internetu, który umożliwił gromadzenie informacji z za biurka. Ciekawość Rory dotycząca Angeli Mitchell pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Proszę - powiedziała Catherine. - Sama spójrz na te jej badania. - Popchnęła w stronę rozmówczynie segregator z trzema kólkami. - Tu jest wszystko, co Angela opracowała tamtego lata na temat zaginionych kobiet, wszystkie jej teorie związane z ich losem.

Rory powoli przysunęła sobie segregator i go otworzyła. Dziwnie było przeglądać tak wiele stron zapisanych ręcznie. Było tam sporo kserokopii z książek, z wyraźnymi cieniami rzucanymi przez starą kopiarkę na każdym z arkuszy. Większość zapisano jednak ręcznie starannym pismem. Rory przypomniała sobie natychmiast niechlujne bazgroły detektywa dotyczące przypadku Camille Byrd. Kontrast był uderzający.

Odwracała kolejne strony, gdzie opisano kobiety zaginione w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku - pełne biogramy, na których opracowanie kobieta musiała poświęcić całe godziny. Rory przeczytała każde nazwisko, szczegóły dotyczące życia i zniknięć, a dane zaczęły się układać w jej głowie jak wszystko inne, co podlegało zobrazowaniu i zakwalifikowaniu do kategorii. Znalaziono ciało tylko jednej z kobiet opisanych w biogramach. Nazywała się Samantha Rodgers i Angela przyłożyła się do opisanie jej profilu.

Rory odwróciła kartkę i spojrzała na szczegółowy rysunek.

- Co to takiego?

Catherine pochyliła się nad stołem, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Och, to jedna z ostatnich teorii Angeli. Powiedziała mi, że to urządzenie znalazła w magazynie Thomasa, ukryte w dodatkowym pomieszczeniu. Angela uważała, że w taki właśnie sposób mordował

kobiety, wieszając je w pewien określony sposób. Przyznam się, że jak dla mnie, to było już zbyt wiele.

Rory przyjrzała się uważniej dziwnemu rysunkowi, który przedstawiał dwie pętle zwisające obok siebie oraz sznur między nimi, przeprowadzony przez system krążków przyjmujący kształt litery „M”. Wyglądało to przerażająco.

- Przykro mi to mówić - ciągnęła Catherine - ale kiedy Angela pokazała mi to wszystko tuż przed swoim zniknięciem, odwróciłam się do niej plecami. Powiedziałam, że jej teorie są zupełnie nierealne, wyssane z palca, że to lato i te zaginione kobiety namąciły jej w głowie. Próbowałam ją przekonać, że nie czyha na nią żadne niebezpieczeństwo. Ale wtedy. .. - Catherine odwróciła wzrok od Rory i znów spojrzała na swoją kawę. Tym razem odezwała się znacznie ciszej. - Wtedy znikła.

Rory w pierwszej chwili nie zorientowała się w sytuacji, ale nagle zauważyła, że Catherine Blackwell płacze. Poruszyła się niespokojnie na krześle. Nie potrafiła pocieszać obcych sobie osób.

- Już dobrze. - Usłyszała własny głos i zaraz zaczęła się zastanawiać, skąd wzięła te słowa i co miały one w ogóle oznaczać. Odchrząknęła i dodała: - Dlaczego masz wszystkie notatki Angeli u siebie?

- Krótco przed zaginięciem zostawiła je u mnie w domu. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy zrobiła to przypadkowo, czy celowo.

- Dlaczego nie przekazałaś ich policji?

- Bo policja nigdy nie oskarżyłaby Thomasa o cokolwiek poza śmiercią Angeli. To było oczywiste od samego początku.

- Ale ten rysunek. .. - Angela wskazała segregator. - Czy policja nie znalazła tego urządzenia w magazynie należącym do Thomasa?

- Jego magazyn doszczętnie spłonął. Dopilnował, żeby niczego tam nie znaleziono.

Zanim Rory zamknęła segregator, rzuciła ostatnie spojrzenie na notatki Angeli Mitchell.

- Ciekawi mnie ta strona na Facebooku. Nazwałaś ją „Sprawiedliwość dla Angeli” i prosisz tam o wszelkie dostępne informacje. Czego ty szukasz po tylu latach?

Catherine zebrała się w sobie i popatrzyła na Rory.

- Odpowiedzi - odparła, przecierając oczy chusteczką. - Od lat szukam odpowiedzi. Strona na Facebooku jest jedynie bardziej publiczną metodą tych poszukiwań.

- Tego właśnie nie potrafię do końca zrozumieć. Jakiego rodzaju odpowiedzi szukasz? Był przecież proces, było skazanie.

Catherine się uśmiechnęła, choć był to bardziej wyraz rozczarowania niż miły gest.

- Proces nie zapewnił zamknięcia sprawy. Jedyne, co przyniósł, to spokój ducha dla miasta Chicago i wszystkich jego wystraszonych mieszkańców. Nie odpowiedział jednak na żadne pytania dotyczące Angeli Mitchell. Minęło czterdzieści lat, a ja wciąż chciałabym się dowiedzieć, co się jej przytrafiło.

Rory popatrzyła na Catherine Blackwell, zmrużyła oczy i przechyliła nieco głowę.

- Zamordował ją jej mąż.

- Och - rzuciła Catherine i pokręciła głową. - Obawiam się, że to nieprawda. Widzisz, jest coś, co powinnaś wiedzieć na temat Angeli Mitchell.

Rory czekała.

- Co takiego?

- Ona była piekielnie inteligentna. Za bystra na to, żeby dać się zabić Thomasowi. Angela zniknęła na własne życzenie. Odwróciłam się do niej plecami i nigdy sobie tego nie wybaczyłam. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mogła ją za to przeprosić.

Rory pochyliła się bliżej i wsparła łokcie na blacie stołu.

- Uważasz, że Angela wciąż żyje?

Catherine skinęła głową.

- Jestem tego pewna i modlę się, żebyś pomogła mi ją odnaleźć.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Dochodziła północ, kiedy Thomas Mitchell zaparkował przed swoim magazynem w Kenoshy. Długa, gruntowa droga, która prowadziła do tego oddalonego od cywilizacji miejsca, zawsze zapewniała doskonałą przykrywkę. W ciągu dnia widział każdy samochód zaraz po tym, jak jego kierowca skręcił z głównej szosy, głównie dzięki pióropuszmom pyłu. W nocy reflektory oznajmiały o obecności gościa niczym lampa na latarni morskiej. A gdyby ktokolwiek spróbował podjechać tam ukradkiem, żwirowa droga już dość wcześnie zdradziłaby go zgrzytaniem.

Jeszcze do niedawna Thomas w ogóle nie zaprzętał sobie głowy takimi rzeczami. Doskonale maskował ślady, a odległość między lokalizacją ciała i magazynem była więcej, niż przyzwoita. Popełnił jednak poważny błąd, nie doceniając swojej żony. Zazwyczaj ignorował jej zdolności związane z rzucaniem podejrzeń. Teraz został zmuszony do podjęcia dalszych kroków i zastanawiał się, w jaki sposób sobie z nią poradzić. Pozostawianie jej samej w domu było dość ryzykowne, nie miał jednak większego wyboru - musiał pojechać do magazynu. Największą niewiadomą było oczywiście to, ile Angela odkryła i co tak naprawdę wiedziała. Najbezpieczniej było

założyć, że dowiedziała się o wszystkim, choć to wydawało się absolutnie niemożliwe.

Przypomniął sobie poprzedni wieczór, kiedy opróżniał dom. Rozważał nawet, czy nie zabrać jej ze sobą do magazynu, żeby wszystko we właściwy sposób zakończyć, ale na drodze do podjęcia tej decyzji stanęło mu kilka przeszkód. Największa związana była z tym, że zostałby zmuszony do zgłoszenia zaginięcia żony. Dodano by ją do listy ofiar człowieka, którego policja nazywała Złodziejem, a naciski na niego stałyby się bardzo niekomfortowe. Jakaś jego część niego była wręcz oczarowana perspektywą udawania, jak bardzo jest zdruzgotany wydarzeniami w mieście tego lata. Logistyka tego działania była jednak skomplikowana i Thomas postanowił obrać zupełnie inną taktykę. Wyniósł wszystko z garażu i piwnicy - gromadzone przez całe dziesięciolecie pamiątki, z których większości już nie pamiętał - celem przewiezienia do swojego magazynu i składu na jego tyłach.

Przygotował się odpowiednio na wypadek, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli lub gdyby kiedykolwiek popełnił jakiś błąd. Nigdy jednak nie sądził, że zagrożenie będzie miało źródło w jego własnym domu i musiał przyznać, że czuł się przez to nieco zdołowany. Jego żona była zazwyczaj dość przewidywalną osobą. Nigdy nie miał większych problemów z manipulowaniem jej emocjami czy kontrolowaniem jej posunięć. Był przekonany, że z czasem znajdzie wszystko, co odkryła, a następnie on nada temu taki kształt, który pozwoli przekonać Angelę, że popełniła poważny błąd. To jednak wymagało czasu, a on nie był już pewny, ile mu go zostało.

Kiedy paka pickupa była w końcu pusta, wczołgał się pod każdą z betoniarek i poprzebijał w nich zbiorniki z paliwem. Kiedy dziesięć

minut później zamykał na klucz drzwi, zapach benzyny silnie drażnił już jego nozdrza. Kiedy wracał gruntową drogą i opuszczał kompleks, zobaczył we wstecznym lusterku płomienie, które zaczynały lizać budynek magazynu.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Przesyłkę wraz z dużym stosem korespondencji dostarczono w sobotni rano na biurko w recepcji na posterunku policji. Leżała tam przez dwie godziny, zanim pracownik zabrał się do sortowania. Przesyłka - duża, żółta koperta bąbelkowa - trafiła w końcu do kosza przeznaczonego dla detektywów, gdzie przeleżała następną godzinę. Dopiero po lunchu jeden z detektywów wyjął ją z kosza i się jej przyjrzał. Zauważył nazwisko i adres zwrotny w lewym narożniku.

Bekając po fast foodzie i napoju gazowanym, zaniósł przesyłkę na swoje biurko, usiadł i ją otworzył. Zajrzał najpierw do środka, ale w końcu wytrząsnął zawartość na blat. Obok stojącego na blacie radia wylądował dokument tożsamości ze zdjęciem, naszyjnik z diamentami i zielonym kamieniem, wycinki z gazet i napisany ręcznie list. Detektyw przyjrzał się uważnie naszyjnikowi i zastygł, kiedy odczytał nazwisko z prawa jazdy. Kiedy skończył czytać artykuły i list, natychmiast podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. Było sobotnie popołudnie i personel mocno się przerzedził.

- Hej, szefie - rzucił do słuchawki. - Przepraszam, że zawracam głowę w weekend, ale mam coś, co powinien pan zobaczyć.

Po dwóch godzinach wykonano potrzebne telefony, sprawdzono fakty i o piętnastej w sobotnie popołudnie detektywi wrzucili

wszystko z powrotem do koperty, wcisnęli ręce w rękawy marynarek i opuścili posterunek.

Chicago

Sierpień 1979 r.

Dwa dni po tym, jak magazyn spłonął do samych fundamentów, Thomas Mitchell był głęboko zaniepokojony. Zasypały go policyjne raporty, roszczenia ubezpieczeniowe, a klienci i pracownicy wciąż kontaktowali się w sprawie płatności. Na wszystkich budowach prace czekały oczywiście na realizację. Przewidział taki stan rzeczy i wiedział, że nie ma innego rozwiązania. Ale to nieplanowane zamieszanie wytrąciło go z równowagi. Wrócił do domu we wczesnych godzinach po spaleniu magazynu, wciąż cuchnąc whiskey po tym, jak zatrzymał się w przydrożnym barze. Nie minęło wiele czasu i zasnął na sofie.

Kiedy obudził się w sobotę rano, czekało na niego mnóstwo spraw do załatwienia. Od razu zauważył nieoznakowany samochód policyjny zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy pojechał do biura firmy ubezpieczeniowej, zobaczył ten sam wóz we wstecznym lusterku. Miał do odwiedzenia jeszcze kilka innych miejsc, ale nie zamierzał ciągnąć wszędzie za sobą ogona. Kiedy wjechał do garażu kilka godzin później, przeszedł na front domu i wyjrzał przez okno. Auto stało na swoim dotychczasowym miejscu, po drugiej stronie ulicy.

Wieczorem zaczął wykonywać telefony, bo tak zachowałby się przecież zaniepokojony mąż. Zadzwoił do Catherine Blackwell, nawet odważył się porozmawiać z rodzicami Angeli. Z nikim się nie kontaktowała, ale takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał. Zależało mu jednak na tym, by odnotowano jego troskę. Dzięki temu każdy, kto będzie chciał to sprawdzić, dowie się, w jak desperacki sposób poszukiwał żony.

O dwudziestej pierwszej, kiedy wyczerpał już wszystkie dostępne możliwości, uznał, że następnym logicznym posunięciem będzie wezwanie policji. Przełknął głośno ślinę na samą myśl. Zajął się magazynem, garaż i piwnica były puste. Pomimo podjętych kroków nie mógł się jednak wyzbyć wrażenia, że wszystko się rozpadało i że może zostanie zmuszony do podjęcia ostatecznej decyzji o ucieczce.

Na taką okoliczność odłożył sobie wcześniej pieniądze, jednak zanim zdążył zastanowić się głębiej nad tą opcją, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Rozejrzał się po pustym domu, po czym poszedł niespiesznie do holu i otworzył. Zobaczył dwóch mężczyzn w garniturach. Wilgotne wieczorne powietrze pokryło ich czoła warstewką potu.

- Thomas Mitchell?

- Tak?

Mężczyzna odpiął odznakę od paska i podsunął ją Thomasowi pod nos.

- Policja z Chicago. Chcielibyśmy porozmawiać z pańską żoną.

Twarz Thomasa spochmurniała. Spróbował przekształcić ogarniający go niepokój o samego siebie w coś, co mogłoby zostać potraktowane jako strach o współmałżonka. Odchrząknął i powiedział:

- Niepokoi mnie, że przez cały dzień nie miałem z nią kontaktu.

Rozdział 20

Chicago, 27 października 2019 r.

Obie nadal siedziały przy kuchennym stole w domu Catherine Blackwell. Kobieta nalała sobie kolejną filiżankę kawy. Rory ponownie odmówiła.

- Widzisz, nie licząc standardowego wyszukiwania Google - powiedziała Catherine - obawiam się, że nie jestem zbyt dobrym detektywem. Minęło czterdzieści lat, a ja na temat zaginięcia Angeli wiem tyle samo, ile wiedziałam wtedy. Strona na Facebooku była moją próbą włączenia innych w poszukiwanie Angeli i dlatego tak się ucieszyłam, kiedy się tam odezwałaś.

- Nie jestem pewna, czy będę w stanie ci pomóc - odpowiedziała Rory.

Było to absurdalne stwierdzenie i uświadomiła to sobie w tej samej chwili, kiedy wypowiedziała te słowa. Rory Moore była idealną osobą, która mogła pomóc Catherine w poszukiwaniu odpowiedzi. Rekonstrukcją przypadków śmierci zajmowała się przecież na co dzień. Składała w całość fragmenty dowodów, elementy, których nie dostrzegali inni. Znajdowała informacje i odpowiedzi tam, gdzie wszyscy widzieli wyłącznie pytania. Jeśli Angela Mitchell żyła, Rory była osobą najbardziej wykwalifikowaną do jej odnalezienia.

- Dlaczego w takim razie się ze mną skontaktowałaś? - spytała Catherine.

Rory poprawiła okulary na nosie.

- Usłyszałam o tej sprawie - skłamała. - Mówili o niej ostatnio w wiadomościach w kontekście zbliżającego się zwolnienia Thomasa Mitchella. Byłam po prostu ciekawa. To wszystko. Przykro mi, jeśli wzbudziłam w tobie nadzieję, ale raczej nie mogę ci w tym pomóc i.. - Rory przerwała na moment, po czym dodała: - Catherine, nie chcę zabrzmieć lekceważąco. Ale czy rozważyłaś możliwości, że nie udało ci się znaleźć jakichkolwiek odpowiedzi przez czterdzieści lat tylko dlatego, że ich tam po prostu nie ma? Czy wzięłaś pod uwagę, że Thomas Mitchell mógł faktycznie zamordować Angelę, o co został oskarżony?

- Wielokrotnie, moja droga. Naprawdę wiele razy przez te wszystkie lata. Ale jest jedna rzecz, która sprawia, że wciąż rozważam inną możliwość. On się ze mną skontaktował, żeby zapytać o Angelę. Zdawał się wiedzieć naprawdę sporo na temat naszej relacji.

- Po procesie? Ten mężczyzna kontaktował się z tobą jeszcze po skazaniu?

- Tak - odparła Catherine. Z jednego z segregatorów wyjęła oprawioną w skórę teczkę i przerzuciła kilka kartek. - Wszystko wtedy zanotowałam. Oj, gdzie to jest? - Znów odwróciła parę arkuszy. - O, tutaj. Dwudziestego trzeciego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego odwiedził mnie ktoś, kto ponoć zajmował się sprawą śmierci Angeli Mitchell.

Rory milczała, układając informacje w głowie.

- Jeśli ten człowiek przyszedł po zakończeniu procesu, to czego szukał?

- Nigdy nie powiedział tego tak wprost, ale wiedziałam, co się dzieje. Wierzył, że Angela żyje, i jej szukał.

Rory poczuła trzepotanie w piersi.

- I co mu powiedziałaś?

- Nic. Nie rozmawiałam z nim. Wiedziałam, co jest grane, i nie zamierzałam mu w żaden sposób pomagać.

Rory zmrużyła oczy.

- A co było grane?

- Thomas szukał Angeli. Gdyby ją znalazł, jego wyrok zostałby anulowany i byłby wolnym człowiekiem, choć zamordował wiele kobiet. Kobiet, których szukała Angela, które stały się jej obsesją. Thomas wynajął tego człowieka do odnalezienia żony, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Od tamtej pory wiem, że ona żyje i ukrywa się od czterdziestu lat.

Rory zakręciło się w głowie. Tego typu reakcje miały przesłonić jej umysł, może były swego rodzaju mechanizmem obronnym. Zachowała jednak trzeźwy osąd i знаła odpowiedź na następne pytanie, zanim w ogóle je zadała.

- Jak on się nazywał? - zapytała szybko.

- Kto?

- Ten mężczyzna. Ten, który przyszedł po odpowiedzi. Znasz jego nazwisko?

- Tak, wszystko zanotowałam - odpowiedziała Catherine i popatrzyła na zapisaną kartkę. Przesunęła po niej palcem, zatrzymała na samym dole, po czym uniosła wzrok i spojrzała Rory w oczy.

- Nazywał się Frank Moore.

Część 2

Rekonstrukcja

Chicago

Listopad 1981 r.

Minęły już dwa lata, od kiedy Frank Moore został odsunięty od stanowiska obrońcy z urzędu w hrabstwie Cook i podjął pracę w kancelarii Garrison Ford. Rola obrońcy z urzędu była rytuałem przejścia dla większości adwokatów zajmujących się sprawami kryminalnymi, sposobem na szybkie pozyskanie dużej liczby przypadków, nauką prawa, okazją do pokazania się sędziemu. Uczyła też., jak uodpornić się na przykre porażki w sądzie. Był to etap w karierze niemal każdego dobrego obrońcy, bolesna edukacja po studiach, niezbędna w przygotowaniu się do udanej kariery adwokackiej. Wyniki Franka z dwóch pierwszych lat okazały się na tyle dobre, że bez problemu znalazł zatrudnienie w Garrison Ford, jednej z największych i najśłynniejszych kancelarii prawnych w całym Chicago. Pracę w niej rozpoczął latem siedemdziesiątego dziewiątego, mając wielkie nadzieje, wysoko postawione cele i prawdziwą pasję związaną z obroną tych, którzy potrzebowali jego pomocy. Gdyby ktoś wtedy powiedział Frankowi Moore'owi, że przez większą część swojej kariery będzie zajmował się jednym człowiekiem, z dala od blasku największych spraw prowadzonych przez Garrison Ford, to pewnie nigdy by w to nie uwierzył. Był młody, pełen zapału i energii. Nie pozwoliłby sobie, żeby cokolwiek stanęło

mu na drodze do sukcesu. Pozostawało tak do momentu, kiedy przydzielono go do sprawy, która miała zmienić na zawsze całe jego życie.

Lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku zasłynęło z zaginięć kobiet, a całe miasto balansowało na krawędzi. Kiedy policja znalazła winnego, zadzwonił telefon Franka. Jego szef, partner w kancelarii, potrzebował pomocy w bardzo delikatnej sprawie. Mężczyzna nazwiskiem Thomas Mitchell, zwany wcześniej Złodziejem, wynajął kancelarię Garrison Ford, żeby obroniono go przed zarzutami o zamordowanie żony. W przypadku tak wysoko postawionej firmy nie mogło być lepszej okazji. Frank Moore, młody i pełen animuszu, miał zająć się niewdzięczną pracą związaną z analizami i pisaniem streszczeń. Natychmiast skorzystał z tej możliwości.

Przez dwa kolejne lata, od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego do jesieni tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego sprawa stawała się coraz trudniejsza, a na drodze wyrastały mu przeszkody nie do przezwyciężenia. Ostatecznie kancelaria Garrison Ford musiała się przyznać do nieudanej obrony Thomasa Mitchella, a Złodziej został skazany na sześćdziesiąt lat więzienia za zamordowanie żony. Po zakończeniu procesu Frank Moore został głównym adwokatem podczas składanych w imieniu Thomasa Mitchella apelacji. To właśnie w ich trakcie, kiedy Frank spotykał się często ze swoim klientem, by omówić strategię działania, zaczął wierzyć, że żona Thomasa Mitchella mogła wciąż żyć.

- Złożyłem apelację - oznajmił Frank. - Teraz sporządzę streszczenie sprawy i przekażę je w ciągu tygodnia, maksymalnie dziesięciu dni.

- I to streszczenie będzie dotyczyło jej? - zapytał Thomas Mitchell.

Siedzieli w prywatnym pomieszczeniu przeznaczonym do rozmów w zakładzie karnym Stateville, zarezerwowanym wyłącznie dla spotkań adwokatów z klientami. Frank zajął miejsce po jednej stronie stołu, a jego klient - zakuty w kajdanki i ubrany w pomarańczowy kombinezon - po przeciwnej. Frank dopuszczał możliwość, że ktoś w więzieniu podsłuchuje ich rozmowy, ale nie miał na to żadnego wpływu. A tak naprawdę w ogóle go to nie obchodziło.

- Będzie dotyczyło tego, w jaki sposób obrona zdobyła rzekome dowody świadczące przeciwko tobie. Również decyzji sędziego o dopuszczenie tych dowodów w sądzie.

- To dobrze. Zajmij się sędzią, zajmij się dowodami, ale nie zapominaj o niej. Kiedy mi to zrobiła, przechodziła załamanie nerwowe. Połykała valium w dawce trzykrotnie przekraczającej to, co jej zapisano. Była w kiepskim stanie psychicznym.

- Mamy sporo amunicji, Thomas. Pierwsze streszczenie będzie przede wszystkim podważało legalność dowodów zastosowanych przeciwko tobie, podkreśli ich kompletną poszlakowość oraz dostarczy argument, że w ogóle nie powinny one zostać dopuszczone w sądzie. Jeśli nasza początkowa apelacja zostanie odrzucona, a istnieje ku temu wiele przesłanek, to następna będzie zawierała szczegółowe informacje na temat stanu psychicznego twojej żony w momencie, kiedy zniknęła. Pamiętaj, że w razie konieczności proces apelacji umożliwi nam kontynuowanie pracy na poziomie federalnym na podstawie ustawy habeas corpus. A jeśli zdecydujemy się na szczebel stanowy, będzie nas czekało sporo pracy. Miejmy nadzieję, że ktoś przy zdrowych zmysłach w sądzie apelacyjnym podejmie w tej sprawie rozsądną i sprawiedliwą decyzję. W pierwszej instancji przygotuję więc mocny argument

otwarcia. Detale dotyczące twojej żony będziemy musieli jednak zachować na później, o ile okażą się potrzebne, włącznie z faktem, że skazano cię za morderstwo drugiego stopnia w sytuacji, w której prokuratura nie miała zwłok.

- Nie mogą mieć żadnych zwłok, bo one po prostu nie istnieją. Co w tej sprawie? Jakież postępy?

Frank zebrał papiery i schował je do teczki. Wyjął garść innych i popatrzył na nie.

- Jej rodzice to ślepa uliczka. Nie widzieli jej od wielu lat przed zniknięciem. Z tego, co mi powiedzieli, odkąd skończyła osiemnaście lat, spotkali się z nią zaledwie kilka razy. - Co o nich sądzisz? - zapytał Thomas. - Nie odniosłeś wrażenia, że mogli kłamać?

- Nie kłamali.

- Ktoś musiał jej pomóc. Kobieta taka jak Angela nie poradzi sobie zupełnie sama. Byłaby za bardzo przerażona. Czasami trudno jej było nawet wyjść z domu. Mam uwierzyć w to, że tak po prostu zniknęła, uciekła zupełnie sama? Nie, ktoś jej pomógł. Ktoś nadal jej pomaga. Jej rodzice są dla mnie najbardziej podejrzani. Powiedziałeś im, że jej szukasz?

- Thomas. .. - Frank oparł łokcie na stole i pochylił się bliżej do swojego klienta. - Oni byli bardzo zdenerwowani. Podobnie jak większość ludzi w tym kraju, uważają, że ona nie żyje. Nie powiedziałem im, kim jestem, oraz że moim zdaniem ich córka żyje. Wymyśliłem na poczekaniu historyjkę o możliwości złożenia pozwu cywilnego.

- Może powinieneś im być powiedzieć całą prawdę.

- Nie, to nie byłoby właściwe podejście. Skoro uważają, że ich córka nie żyje, nie zamierzam wlewać w ich serca fałszywej nadziei, że jest inaczej.

- To żadna fałszywa nadzieja. Ona żyje.

Frank skinął głową.

- Ale to nie ja im o tym powiem. Poprowadzę moje poszukiwania Angeli w sposób, który będzie najwłaściwszy.

- Rozmawiałeś z Catherine?

- Catherine Blackwell, żona twojego współnika. Owszem. Odwiedziłem ją przed paroma tygodniami. Była mocno poruszona, kiedy wspomniałem o tobie i Angeli. Ta rozmowa za wiele nie przyniosła.

- Wierzysz mi?

Frak popatrzył na swojego klienta - skazanego za zamordowanie żony, oskarżonego o wiele innych zabójstw - i przez chwilę siedział w milczeniu.

- Szukam jej, prawda? Gdybym ci nie wierzył, to czy twoim zdaniem poświęcałbym na to swój czas? A skoro o tym mowa, będę musiał zacząć wystawiać rachunki za moją pracę.

- Mam pieniądze.

- To nie będzie tanie.

- Zapłacę ci tyle, ile trzeba, bylebyś ją znalazł. Ale chcę, żebyś robił to po cichu. Nie angażuj w to kancelarii. Zapłacę ci oddzielnie.

- Nie powiedziałem nawet żonie, czym się zajmuję. Myślisz, że zamierzam opowiadać o tym partnerom w Garrison Ford? Oficjalnie pracujemy wyłącznie nad twoimi apelacjami. Nieoficjalnie korzystasz niezależnie z moich usług w sprawie osobistej, spłaceniu długów, obsłudze finansów, negocjowaniu wyjścia z biznesu, którego technicznie rzecz biorąc, nadal jesteś współwłaścicielem, administrowaniu nieruchomościami i tak dalej. Spiszę to wszystko.

- Co dalej? - zapytał Złodziej.

- W tym tygodniu składam apelację.

- Nie. Co dalej z poszukiwaniem jej?

- Och - odparł Frank i zgarnął papiery, szykując się do wyjścia. -
Pojadę do zakładu psychiatrycznego, w którym przebywała, gdy była
nastolatką.

Rozdział 21

Chicago, 28 października 2019 r.

Lane Phillips szturchnął gasnące węgielki i żarzące się na pomarańczowo drewno znów ożyło. Rzucił na stos jeszcze dwie szczapy, wziął laptop i rozsiadł się wygodnie na sofie, zerkając na rosnące płomienie. Obok siedziała Rory z laptopem i coś zawzięcie pisała. Jesień nadeszła wcześniej i opadła na miasto, kiedy zimne kanadyjskie powietrze przeniosło się ze środkowego zachodu i obniżyło temperaturę do kilku stopni. Wydawało się jeszcze za wcześnie na włączanie ogrzewania, zdecydowali się więc po raz pierwszy w sezonie rozpalić w kominku.

- A więc twój ojciec związał się na zawsze z tym człowiekiem, a teraz przeniosło się to na ciebie?

- Nie na zawsze - zaproponowała Rory. - Ale przynajmniej na osiemnaście miesięcy. Będę go reprezentowała na końcowej rozprawie, jeszcze raz przejrzę wszystkie klauzule i przekażę go kuratorowi. Sędzia kazał mi zająć się jego finansami i przez półtora roku raz w miesiącu przygotowywać raporty. To wszystko dlatego, że facet zgromadził całkiem niezłą fortunę, a mój ojciec był jego pełnomocnikiem finansowym. Dopilnuję więc, żeby nie popłynął. Potem będzie już na swoim.

- A skąd ten nakaz, żeby osiadł w Starved Rock?

- Sędzia odpuścił wymóg mieszkania w zakładzie przejściowym ze względu na jego kiepską reputację. W latach dziewięćdziesiątych Mitchell odziedziczył po wuju dom właśnie pod Starved Rock. Mój ojciec ulokował tę nieruchomością na funduszu powierniczym i przekazał firmie zarządzającej nieruchomościami. Przez te wszystkie lata dom był przeznaczony na wynajem. On tam zamieszka, więc sędzia nakazał mi współpracę z pracownikiem socjalnym i kuratorem. Razem mamy przyjrzeć się temu domowi, zanim Mitchell się do niego przeniesie. Nieruchomość musi spełniać wszystkie wymagania.

- Pojadę z tobą - zaoferował się Lane.

Rory nie opowiedziała mu o spotkaniu z Catherine Blackwell. Pozwoliła, by uwierzył, że jej zdenerwowanie wynika z konieczności przeprowadzenia spotkania w zakładzie karnym Stateville. W odniesieniu do rzeczywistego źródła niepokoju Rory był to logiczny wniosek, że jej ojciec próbował odnaleźć Angelę Mitchell, zanim zmarł. Bardziej problematyczne od samego odkrycia było to, jak wpłynęło ono na Rory. Otoczone murem miejsce w jej głowie zostało naruszone, a na spokojnych dotąd wodach pojawiły się groźne fale. Jedynym sposobem na uspokojenie tego wszystkiego było dotarcie do informacji, na co natrafił jej ojciec, oraz odnalezienie samej Angeli. Zignorowanie tej potrzeby oznaczałoby podsygnięcie płomieni choroby, którą udawało się Rory kontrolować przez wiele lat. Wiedziała, że najlepszym sposobem na zgaszenie impulsu jest jego pielęgnowanie, w taki sam sposób, jak nauczyła ją tego w dzieciństwie ciotka Greta, kiedy Rory pokonywała swoje fanatyczne impulsy, opanowując sztukę rekonstrukcji porcelanowych lalek. W tej chwili należało jednak postawić pytanie, czy Rory zamierzała

rekonstruować śmierć kobiety, czy podążać za kobietą, która wciąż żyła.

- W porządku - odparła. - Jedź ze mną. - Uniosła wzrok znad ekranu i pokazała mu rzadko dostrzegalne u niej emocje. - Dzięki. Nie chciałam tam jechać sama.

Poczuła ukłucie poczucia winy, że zataiła coś przed Lane'em. Ten mężczyzna kochał ją i jej wszystkie niedoskonałości od niemal dziesięciu lat. Czy nie zasłużył na to, żeby usłyszeć o tej części jej życia? Może tak, ale nie była jeszcze w stanie zdobyć się na to, żeby mu o tym opowiedzieć. Rory wskazała komputer Lane'a, po czym popatrzyła na własny.

- Chodźmy, jesteśmy już spóźnieni. Co tam masz?

Lane nie odpowiadał przez chwilę, jakby wyczuł, że nie o wszystkim mu powiedziała. Rory czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie oderwała wzroku od ekranu.

- Okej. - Poddał się w końcu i spojrzał na swojego laptopa. Przewinął wyświetlaną stronę. - Sprawdzalem pewien obszar pod Detroit, na południowy wschód od miasta, w okolicznych hrabstwach. Podał mi to algorytm. Kilka trafień w ciągu zaledwie czterech miesięcy. Doszło tam do dwunastu zabójstw w ciągu dwóch lat, a ofiarami były bezdomne kobiety lub prostytutki, same Afroamerykanki. Brak rodziny lub niewielkie wsparcie z jej strony. Kilka z nich zidentyfikowano dopiero w kostnicy dzięki odciskom palców i dopasowaniu do działającego w Michigan programu identyfikacji skazanych przestępców. Tak naprawdę nikt nie wiedział, że zostały zabite. Ani rodzina, ani przyjaciele.

Rory stuknęła w klawisze laptopa.

- Łatwe cele, nieduże ryzyko.

- Zgadza się - przyznał Lane.

- Dlaczego wskazał je algorytm?
- Taka sama przyczyna zgonu.

Każdego tygodnia Lane i Rory sprawdzali trendy wskazane przez stworzony przez Lane'a algorytm. Uwzględniał on kilka różnych czynników dotyczących przestępstw zgłaszanych w całym kraju w poszukiwaniu schematów i podobieństw. W ten sposób znajdowali wspólne elementy łączące morderstwa w określonym regionie. Kiedy w tej samej lokalizacji pojawiała się odpowiednia liczba znaczników, Lane i Rory byli o tym informowani. Wtedy brali się do roboty i zaczęli kopać. Do tej pory Murder Ac-countabilty Project umożliwił im zidentyfikowanie dwunastu seryjnych morderców - definiowanych jako osoby, które dokonały co najmniej trzech zabójstw - w całej Ameryce. Dzięki temu aresztowano sprawców. Było oczywiście wiele gorących trendów, które wciąż sprawdzała policja. Dzisiejsze spotkanie należało do cotygodniowych zebrań, w trakcie których Rory i Lane identyfikowali znaczniki w oprogramowaniu. Czasami była to tylko grupa morderstw w małej lokalizacji albo zabójstwa popełnione z użyciem takiego samego rodzaju broni czy na podobnych do siebie ofiarach. To mogło wskazywać na sposób, w jaki pozbywano się ciał. Mógł to być zawód wykonywany przez ofiarę. Algorytm śledził ponad pięć tysięcy znaczników w poszukiwaniu podobieństw.

Kiedy byli już w stanie opracować wystarczająco spójny obraz danego przypadku, Rory i Lane zabierali swoją pracę do organów ścigania działających na danym obszarze. Dzięki reputacji Lane'a jako psychologa sądowego i profilerka w departamencie nauk behawioralnych FBI oraz doświadczeniu Rory jako rekonstruktorki, która składała w całość elementy wyrzucane przez algorytm, stanowili doskonały zespół. Departamenty policji uważnie słuchały

ich wniosków, a wiele z nich zaczęło korzystać z oprogramowania Lane'a do samodzielnego tropienia morderców.

- Wszystkie zabito za pomocą uderzenia tępym narzędziem w boczną część głowy, a ciała zostały znalezione w kontenerach na śmieci.

Kiedy zabrali się za rejestrowanie nazwisk dwunastu ofiar z Detroit i katalogowanie swoich znalezisk, usłyszeli dźwięk dzwonka. Rory spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer. Na werandzie stał Ron Davidson.

- Cholera - mruknęła, po czym otworzyła drzwi. - Cześć, Ron.

- Cześć, Szara - odparł spokojnym głosem. - Znow nie reagujesz na moje telefony.

Rory westchnęła głośno.

- Wybacz. Jestem piekielnie zajęta tą. .. sprawą. Mówię o moim ojcu.

- Słyszałem o tym, kiedy poprosiłaś mnie o te stare dokumenty. - Pochylił się lekko nad siatkowymi drzwiami. - Chryste, Szara, twój tata reprezentował tego gościa? Rory skinęła głową.

- Na to wygląda.

- Czy w kartonach z siedemdziesiątego dziewiątego znalazłaś to, czego szukałaś?

- Tak. Chociaż. .. nie jestem pewna. Jeszcze wszystkiego nie przejrzałam. - Przysunęła odruchowo dłoń do twarzy, by poprawić okulary, ale zaraz się zorientowała, że ich nie założyła. Nigdy tego nie robiła, kiedy przebywała sam na sam z Lane'em. - Dzięki za to wszystko.

- Żaden problem. Miałem u ciebie dług za przyjęcie sprawy Camille Byrd.

Oboje stali przez chwilę w milczeniu, detektyw Davidson na werandzie, a Rory wewnątrz, za drzwiami z siatki.

- Mogę wejść? - spytał Ron.

- Tak, wybacz. Oczywiście. - Rory natychmiast otworzyła drzwi.

Wprowadziła swojego szefa do salonu, gdzie Lane wciąż stukał w klawisze komputera przy trzaskających płomieniach.

- Lane - powiedziała. - Przyszedł Ron, musimy pogadać.

Lane uniósł wzrok zza ekranu.

- Cześć, Ron, jak się miewasz?

- Wszystko gra, doktorze.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Wybacz, że przeszkadzam - powiedział Ron. - To zajmie tylko minutkę.

- Żaden problem.

- Tutaj. - Rory przeprowadziła detektywa Davidsona obok zaciemnionego pomieszczenia, w którym na półkach stały wszystkie jej lalki, i weszła do biura. Oprócz trzech kartonów z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego stojących przy biurku, których zawartość leżała rozrzucona na blacie, Ron zauważył fotografię Camille Byrd zawieszoną na korkowej tablicy wraz z kilkoma notatkami dotyczącymi autopsji, które Rory sporządziła niemal dwa tygodnie wcześniej.

- Skontaktował się ze mną Walter Byrd - oznajmił Ron. - Twierdzi, że nie było z tobą żadnego kontaktu. Telefonował ponoć kilkakrotnie, ale nie oddzwoniłaś ani razu. Brzmi znajomo.

- Nie mam mu jeszcze nic do powiedzenia.

- Więc poinformuj go o tym, Rory. Powiedz mu cokolwiek.

- Czuję się do dupy, Ron. Zgodziłam się na tę rekonstrukcję, po czym zmarł mój ojciec, zaangażowałam się w sprawy związane z

zamknięciem kancelarii i. .. wszystko się zbiegło w czasie. Nie popracowałam zbyt nad tą sprawą.

- Wiem, że kilka rzeczy zbiegło się nieszczęśliwie w czasie, Rory. Zdaję sobie sprawę, ile masz teraz na głowie.

Rory popatrzyła na swoje biurko i zobaczyła pozostałości badań dotyczących sprawy z siedemdziesiątego dziewiątego, rozrzucone na blacie. Siedziała w tym miejscu kilka dni wcześniej, przekładając papiery ojca i zastanawiając się, co robił dla Thomasa Mitchella przez tak wiele lat, kiedy go reprezentował. Teraz już wiedziała.

- Wrócę do sprawy Camille Byrd, obiecuję.

- Czy ty w ogóle chociaż w to zajrzałaś?

- Zerknęłam na to - przyznała Rory, przypominając sobie wieczór, kiedy przeglądała raport patologa. Wciąż miała przed oczami obraz posiniaczonej i uszkodzonej szyi Camille. Zerknęła na jej zdjęcie zawieszone na tablicy i poczuła na plecach wijące się macki poczucia winy. Dwa dni wcześniej śniła o Camille Byrd i widziała wtedy jej ciało leżące w Grant Park. Rory próbowała przeprosić za ignorowanie sprawy, ale dziewczyna była w jej śnie martwa i zimna. Patrząc na zdjęcie i w oczy nieżyjącej dziewczyny, Rory zapragnęła ukryć się za swoimi okularami w grubych oprawkach, postawić kołnierz płaszcza i odwrócić głowę.

- Posiedzę nad tym.

- Kiedy?

- Niebawem, obiecuję.

W jej kieszeni zadzwonił telefon. Rory wyprostowała palec.

- Wybacz na moment. - Wyjęła aparat i spojrzała na numer dzwoniącego. Choć nie widniał na jej liście kontaktów, rozpoznała go natychmiast. Wrył się w jej umysł jak wszystko inne, jednak ten konkretny dzwoniący miał teraz dużo większe znaczenie. Kiedy

odebrała połączenie z tego numeru ostatnim razem, dowiedziała się, że jej ojciec nie żyje. Czy to nie ironiczne, pomyślała, że wtedy również znajdowała się w towarzystwie Rona Davidsona?

- Cześć, Celia - powiedziała do asystentki ojca. - Czy coś się stało?

- Och, dzień dobry - odparła Celia, nieco zbita z tropu. - Nie, nic się nie stało. Chociaż nie jestem pewna. Muszę się z tobą zobaczyć. Mam pewną sprawę związaną z twoim ojcem i nie wiem, co z tym począć. Możemy się spotkać w tym tygodniu?

Rory szybko przywołała w pamięci swój kalendarz. Czekał ją wyjazd do domu Thomasa Mitchella, spotkanie z sędzią Boyle'em i komisją zwolnień warunkowych na końcowe przesłuchanie, przygotowanie papierów prawnych, żeby wydostać z więzienia swojego najnowszego i jedyne go klienta, co miało się wydarzyć za tydzień, załatwienie spraw związanych z jego finansami, a teraz dodatkowo poświęcenie trochę czasu na rekonstrukcję śmierci Camille Byrd. Nie wzięła nawet pod uwagę silnego pragnienia rozpoczęcia własnych poszukiwań Angeli Mitchell i uzyskania odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

- Jestem obecnie zawałona robotą, Celio - odparła Rory, świadoma, że procedura zamknięcia kancelarii jej ojca nie została jeszcze zakończona. - Możemy to trochę odłożyć w czasie?

Nastąpiła chwila ciszy, ale w końcu Celia odpowiedziała:

- Naprawdę muszę się z tobą zobaczyć, Rory.

Wydawało jej się, że usłyszała ciche łkanie. Rory przypomniała sobie łzy Celi kapiące jej na szyję, kiedy kobieta przytuliła ją w kancelarii ojca.

- W porządku - powiedziała w końcu. - W takim razie w tym tygodniu. Jutro do ciebie zadzwonię i ustalimy najlepszą porę.

Usłyszała kolejne pociągnięcie nosem i zakończyła rozmowę, nie czekając na potwierdzenie. Włożyła telefon z powrotem do kieszeni i spojrzała na swojego szefa.

- Daj mi tydzień, Ron. Tymczasem zadzwonię do pana Byrda i poinformuję go o postępach w sprawie.

Detektyw pokiwał głową.

- Okej, ale będę czegoś niebawem potrzebował, Rory. Czegokolwiek nowego.

- Dostaniesz coś w ciągu tego tygodnia - odpowiedziała.

Chicago

Listopad 1981 r.

Frank Moore sprawdził jej genealogię najlepiej, jak tylko potrafił. Jeśli Angela Mitchell żyła, z pewnością zwróci się do swoich przyjaciół lub rodziny. Taką miał przynajmniej nadzieję, ponieważ druga możliwość - samodzielne zniknięcie - byłoby wyjątkowo dużą przeszkodą, której nie zdołałby nigdy pokonać. Jakim cudem miałby ją znaleźć, jeśli tak po prostu wyparowała? Mogła przecież opuścić stan, żeby schować się w jakimś odległym zakątku, w którym nikt nie będzie jej szukał. Opierając się na tym, co Frank wiedział na temat tej kobiety, była to całkiem realna możliwość.

Angela Mitchell była samotniczką przez całe swoje życie. W dzieciństwie oddaliła się od swoich rodziców i wylądowała na dłuższy czas w szpitalu psychiatrycznym dla młodzieży w stanie Illinois. Wyszła stamtąd dopiero, gdy skończyła osiemnaście lat. Niestety na tym posiadane przez Franka informacje się urywały. Jej rodzice zeszli z planu, od kiedy weszła w dorosłość, a jego wyjazd do St. Louis, by z nimi porozmawiać, okazał się zupełnie bezowocny. Rodzice Angeli Mitchell nie mieli z nią kontaktu przez wiele lat poprzedzających jej zniknięcie. Nie wiedzieli nawet, że wyszła za mąż. Po raz kolejny pojawiła się na pobieżnej osi czasu sporządzonej przez Franka, kiedy poznała w Chicago Thomasa

Mitchella. Najpierw spotykali się przez pewien czas, a potem pobrali. Nie miała żadnych bliskich przyjaciół, nie licząc Catherine Blackwell, żony byłego wspólnika biznesowego Thomasa. Wyjazd Franka do domu Blackwellów przebiegł niepomyślnie, nieco dziwacznie i w efekcie okazał się stratą czasu i energii.

Dzięki archiwalnym informacjom znalezionym w bibliotece i kilku nazwiskom przekazanym przez rodziców Angeli Frank sporządził listę dalszych krewnych, z którymi zamierzał się skontaktować. Było wśród nich kuzynostwo i rodzeństwo jej rodziców, kuzyni Angeli i parę innych osób, które w większym lub mniejszym stopniu uczestniczyło w jej życiu, zanim poznała Thomasa Mitchella.

Przez ostatnie trzy miesiące Frank szukał jakichkolwiek wskazówek mówiących o tym, że żona jego klienta żyje. Thomas nie brał innej możliwości pod uwagę. Będąc dwudziestoosmioletnim prawnikiem z kancelarii Garrison Ford, Frank zapragnął pokazać się z jak najlepszej strony. Swój czas poświęcał w dużej mierze na analizy i pisanie dokumentów, okazjonalnie pojawiał się też w sądzie, by pomóc partnerowi, do którego został przydzielony. Wieczorami natomiast poszukiwał kobiety, która mogła być martwa i gdzieś zakopana. Ożenił się z pracującą na popołudniowych zmianach pielęgniarką, dzięki czemu mógł znaleźć czas na poszukiwania. Cieszył się nawet, że płacono mu za tropienie ducha. Przechodziły go jednak ciarki, kiedy sobie uświadamiał, co by go czekało, gdyby faktycznie ją znalazł. Jego klient wyszedłby na wolność, wyrok zostałby anulowany, a akcje Franka w Garrison Ford skoczyłyby w górę. Może jeszcze przed czterdziestką zostałby partnerem w spółce.

Najnowszy ślad - nazwisko i adres - został zapisany na skrawku papieru i przyklejony taśmą klejącą do jego tablicy. Wiejska droga,

znajdująca się o półtorej godziny jazdy na zachód od miasta, była pusta. Frank nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mógłby na niej panować jakiś większy ruch, jechał więc swobodnie, a słońce świeciło mu prosto w twarz. Po obu stronach, po sam horyzont ciągnęły się pola kukurydzy. Wysokie niegdyś łądygi ścięto niemal do zera. Gdzieś tam spoczywały wielkie bele siana, ciasno splecione i ułożone na polu w przypadkowe wzory.

Dojechał do rozwidlenia drogi, zerknął na mapę i skręcił w lewo. Po kolejnych pięciu kilometrach zobaczył w końcu piętrowy budynek wznoszący się nad płaskim terenem. Kampus rozciągał się na wiele akrów. Stojący w samym środku niczego biały budynek przypominał więzienie. Frank nie miał wątpliwości, że wielu pacjentów traktowało go właśnie w taki sposób. Skręcił na parking i minął znak informujący, że to miejsce to „ZAKŁAD PSYCHIATRYCZNY DLA MŁODZIEŻY BAYER GROUP”. Znalazł wolne miejsce i zaparkował samochód. Wszedł do środka i się zarejestrował.

- Którego z pacjentów pan odwiedza? - zapytała recepcjonistka.

- Żadnego - odparł Frank, stojąc w wymiętym garniturze po długiej jeździe z kancelarii. - Przyjechałem zobaczyć się z doktorem Jeffersonem.

- Jest pan umówiony?

- Tak. Dzwoniłem w tym tygodniu.

- Poszukam go - powiedziała recepcjonistka.

Frank krążył przez pięć minut po pomieszczeniu, aż w końcu otworzyły się drzwi.

- Pan Moore? - Odwrócił się na pięcie i ujrzał szczupłego mężczyznę w małych okularach i długim, białym kitlu. - Dale Jefferson, rozmawialiśmy przez telefon.

- Tak - odparł Frank i podszedł uścisnąć lekarzowi dłoń. - Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

- Żałuję, że nie spotykamy się w lepszych okolicznościach - stwierdził doktor Jefferson. - Proszę za mną, do mojego biura.

Frank podążył za mężczyzną w głąb zakładu. Przeszli przez długi korytarz i wkrótce weszli do gabinetu, który urządzone jak salon - stała tam sofa, stolik kawowy i dwa krzesła. Na regałach w ścianie ustawiono całe rzędy książek. Doktor Jefferson usiadł na jednym z krzeseł i poprosił Franka gestem, by zajął miejsce na sofie. Na stoliku kawowym leżała teczka i mężczyzna pochylił się, by ją podnieść.

- Co za ogromna szkoda z tą Angelą. Nie byłem początkowo świadom sytuacji, ponieważ w mediach nie używano jej panińskiego nazwiska. Poza tym Thomas Mitchell przyciągnął więcej uwagi niż którakolwiek z jego ofiar. Społeczeństwo bardziej interesuje się samym Złodziejem niż życiem, które ukraść.

Frank nie przyjechał tutaj, żeby dyskutować o psychologii społecznej, i nie zamierzał informować, że jego klient został skazany za zamordowanie tylko jednej kobiety. Tak naprawdę nie wspomniał o swoich koneksjach z Thomasem Mitchellem nikomu, kogo spotkał w trakcie swoich wielomiesięcznych poszukiwań Angeli. Opinia publiczna przypisała Thomasowi wszystkie zaginione latem siedemdziesiątego dziewiątego kobiety, a Frank wiedział, że musi ukrywać, dlaczego interesuje go kobieta, która została ponoć zamordowana dwa lata wcześniej.

- Tak - przyznał w końcu Frank. - Wielka szkoda.

- Powiedział pan, że rodzina Angeli myśli o pozwie cywilnym?

- Zgadza się. - Frank skrzyżował nogi. Pokerzysta mógłby uznać to za nerwową reakcję, kiedy ukrywa się kłamstwo. - Analizuję wszelkie

możliwości, żeby sprawdzić, czy taki proces jest w ogóle możliwy, zważywszy na okoliczności.

- Proszę wybaczyć. Ten człowiek musi mieć sporo na głowie, ale jeśli nie zamierzają skazać go na śmierć za to, co zrobił, powinni go zamknąć na całe życie i pozbawić wszelkich zasobów.

- No cóż. - Frank odchrząknął. - Zobaczą, co da się zrobić.

- Czy pan reprezentuje rodziców Angeli?

Frank milczał przez chwilę.

- Tak.

- Z tego, co pamiętam, nie mieli z nią jakiejś wyjątkowej więzi. To zawsze przykre oglądać tak zepsute relacje między rodzicami i dzieckiem. A teraz już nie da się ich naprawić.

- Tak, wielka szkoda - powtórzył Frank.

- Ma pan dzieci, panie Moore?

- Jestem żonaty. Może spróbujemy z żoną za rok czy dwa.

Doktor Jefferson podniósł dokumenty.

- W czym właściwie mogę panu pomóc?

- Pozwy cywilne potrafią być paskudne, chcę się zatem dowiedzieć jak najwięcej na temat Angeli. Wiem, że była tutaj w młodzieńcych latach i zastanawiam się, czy mógłbym zadać kilka pytań.

- Oczywiście.

Frank wyjął z kieszeni karteczkę.

- Angela przyjechała tutaj w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, kiedy miała siedemnaście lat.

- Zgadza się.

- Jak długo tutaj przebywała?

- Siedem miesięcy. Wyjechała w swoje osiemnaste urodziny. Obawiam się, że nie pomogliśmy Angeli w takim stopniu, na jaki liczyliśmy my lub jej rodzice.

- A więc kiedy wkroczyła w dorosłość, sama zdecydowała o swoim wyjeździe?

- Tak. Bayer Group to zakład dla młodzieży. Leczymy tu tylko osoby poniżej osiemnastego roku życia i pod nadzorem rodziców lub opiekunów prawnych. Kiedy nasi podopieczni wchodzi w dorosłość, zostają u nas wyłącznie z własnej woli. Angela nie podjęła takiej decyzji.

- A w związku z czym ją tutaj właściwie przyjęto?

Doktor Jefferson zerknął w akta.

- Zaburzenie opozycyjno-buntownicze, niepokój społeczny i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Miała również autyzm, co jedynie komplikowało jej leczenie.

- Zatem kiedy Angela skończyła osiemnaście lat i nie można jej było tutaj zatrzymać w legalny sposób, przyjechali po nią rodzice? Wie pan może, co się z nią później działo?

- To nie byli jej rodzice - odparł doktor Jefferson. - Jak już wspomniałem, ta relacja była zepsuta. Kiedy Angela tutaj przebywała, uznałem, że robimy tak mizerne postępy, że zasugerowałem jej rodzicom, by może wypisali ją do domu, gdzie byłaby bardziej skłonna przyjąć pomoc. Jej rodzice się temu sprzeciwili. Obawiam się, że dotarli już do etapu, w którym skończyła się ich cierpliwość.

Frank wyprostował się na sofie.

- Czyli co? Zostawili ją tutaj samą sobie?

Doktor Jefferson wzruszył ramionami.

- Nie ująłbym tego w taki sposób. Chcieli zapewnić jej pomoc, ale nie czuli się na siłach, żeby zrobić to samemu.

- A więc skończyła osiemnaście lat. Nie mogliście jej tutaj zatrzymać. Dokąd pojechała? Z powrotem do rodziców?

Doktor Jefferson pokręcił głową.

- Nie. Angela została zwolniona na własne życzenie. Była już wtedy do tego uprawniona.

- Tak, ale miała tylko osiemnaście lat, była bez pracy, bez pieniędzy i zapewne również bez środka transportu. Dokąd pojechała? Wyszła stąd ot tak, w pole kukurydzy?

- Jeden z naszych doradców próbował ją obserwować przez kilka tygodni, ale w końcu zrezygnował. Ostatnim jej adresem, jaki zanotowaliśmy, była Peoria w stanie Illinois.

- Co takiego znajdowało się w Peorii?

- Z tego, co pamiętam, mieszkała tam jej przyjaciółka. Wpisała się do rejestru odwiedzających tego dnia, kiedy Angela została zwolniona. Pomogła się jej spakować. Według naszych informacji Angela wyjechała razem z nią.

- Zna pan może nazwisko tej kobiety? - zapytał szybko Frank, po czym urwał, by opanować emocje. Był to pierwszy prawdziwy trop, na który natrafił w swoich poszukiwaniach kogokolwiek, kto mógł mieć związek z Angielą Mitchell w okresie, kiedy weszła w dorosłość.

- Jeśli to krewna, moglibyśmy dodać jej nazwisko do procesu.

- Oczywiście. - Doktor Jefferson zaczął przerzucać kartki, aż znalazł pasek papieru i pokazał go Frankowi. - Nazywała się Schreiber. Była jedną z naszych pielęgniarek na wezwanie. Nie jestem jednak pewny, czy ten adres jest wciąż aktualny. Minęło już przecież trochę czasu.

Rozdział 22

Chicago, 29 października 2019 r.

Jechali razem i podążali za samochodem, w którym siedzieli pracownica socjalna i kurator. Thomas Mitchell odziedziczył dom w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, kiedy odszedł jego wuj. Rory zapoznała się z nieruchomością najlepiej, jak tylko potrafiła, korzystając z dokumentów sporządzonych przez ojca. Wuj zmarł na raka trzustki i zapisał dom swojemu bratankowi, a ojciec Rory umieścił nieruchomość na funduszu powierniczym. Firma świadcząca usługi przy wynajmie zajęła się obsługą nieruchomości, a zgodnie z dokumentami finansowymi, które znalazła Rory, na przestrzeni lat przyniosła ona całkiem sensowny dochód. Był to typowy dom ze stromymi dachami i dwiema sypialniami, położony tuż pod parkiem stanowym Starved Rock, mniej więcej godzinę jazdy od miasta.

Dzięki położeniu w pobliżu parku i rzeki Illinois w minionych latach nie było większych trudności z wynajmem. Przychód z wynajmu pozwolił firmie zarządzającej zadbać o jego dobry stan. Ojciec Rory zrezygnował z usług tej firmy rok wcześniej i starannie dokumentował swoje comiesięczne podróże, które miały na celu przygotowanie nieruchomości na przyjęcie jego klienta.

Kiedy dotarli do przedmieść Starved Rock, jadąca przed nimi pracownica socjalna zwolniła. Rory założyła, że sprawdzała trasę w GPS-ie. Po chwili auto znów przyspieszyło i Rory ruszyła za nim krętymi drogami biegnącymi w północnej części parku. Minęli kilka mostów w miejscach, gdzie szumiały niewielkie wodospady i gdzie wiecznie zielone sosny pięły się ku bezchmurnemu październikowemu niebu. Gdyby nie świadomość, że jedzie zobaczyć przyszły dom domniemanego seryjnego zabójcy, okolice uznałyby za wręcz bajkową.

Po kwadransie powolnej jazdy z postojami na każdym skrzyżowaniu w celu ustalenia, w którą stronę należy skręcić, Rory i Lane znaleźli się na długiej, gruntowej drodze, zamkniętej od góry przez korony drzew, które zaczynały już zmieniać kolory. Na poboczu stała samotna skrzynka na listy, a Rory uznała, że mogłaby odhaczyć przynajmniej jeden z warunków sędziego. Jeśli ktokolwiek zechce wysłać Złodziejowi list, ten otrzyma go za pośrednictwem poczty.

Skręciła w drogę i przez mniej więcej sto metrów jechała za samochodem pracownicy socjalnej po nierównej nawierzchni. Otoczony drzewami trakt otworzył się w końcu na polanę, na środku której stał samotny dom ze spadzistymi dachami po lewej i prawej stronie. Okolica zachwycała. Rory natychmiast wyobraziła sobie widok z lotu ptaka na dom, który znajdował się pośrodku gęsto zalesionego obszaru. Polana, na której został wzniesiony, miała pięć akrów powierzchni pokrytej trawą i żwirem i kontrastowała z lasem dookoła. Na samym końcu droga otaczała dom, tworząc pętlę. Rory zrobiła pełne kółko i zauważyła między drzewami, po prawej stronie, płynącą rzekę. W lesie wykarczowano ścieżkę, na której ułożono stopnie prowadzące do przystani.

- No cóż - rzucił Lane z fotela pasażera, patrząc przez okno - nie można powiedzieć, że nie jest to idealne miejsce dla domniemanego mordercy, który pragnie się ukrywać przez resztę życia.

Rory pokręciła głową.

- A ja pomyślałam, jakie to było niezwykle miejsce dla wszystkich rodzin, które wynajmowały je przez te wszystkie lata.

- Nie pomyślałaś tak. Nie rekonstruowałabyś przypadków śmierci dla żywych, gdybyś myślała w taki sposób.

Rory zatrzymała samochód przy wejściu. Zabrała z deski rozdzielczej swoje okulary w grubych oprawkach, założyła je na nos i wciągnęła czapkę na czoło.

- Tak, masz rację - odparła, otwierając drzwi samochodu. - To miejsce jest przerażające jak diabli. Zaraz wracam.

Wysiadła z auta i przywitała się z Naomi Brown, pracownicą socjalną, która przyglądała się domowi. Rory miała klucze, które znalazła w biurze ojca.

- Była pani tu już kiedyś? - zapytała Naomi.

- On jest moim klientem od niedawna - odparła Rory, kręcąc głową i poprawiając okulary. - Nie, jestem tutaj po raz pierwszy.

Kobieta popatrzyła na nią przez chwilę. Był to ten rodzaj spojrzenia, którego Rory nie znosiła.

Rory zakręciła palcem w powietrzu i wskazała dom.

- Miejmy to już za sobą.

- Mamy listę wymagań - oznajmiła Naomi. - W tym działającą linię naziemną, aktualny adres pocztowy i parę innych drobiazgów. To w większości formalność, ale skoro sędzia wyraził zgodę na to nietypowe zakwaterowanie, musimy odhaczyć wszystkie warunki.

- Bierzmy się zatem do roboty - powiedziała Rory i weszła po stopniach na werandę. Drewniane deski zaskrzypiały pod jej

stopami. Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Ezra Parker, kurator Thomasa Mitchella, robił zdjęcia na zewnątrz. Kiedy weszli do środka, zastali dobrze utrzymany dom, w stanie, jakiego można by się spodziewać po nieruchomości na wynajem. Wokół kamiennego kominka na środku salonu ustawiono sofę i fotele. Kuchnia znajdowała się po lewej stronie, podobnie jak dodatkowe pomieszczenie pełniące funkcję jadalni. Osłonięty ganek na tyłach domu zapewniał widok na drzewa, pomiędzy którymi migotała rzeka, oraz na październikowe niebo. Na piętro, gdzie znajdowały się dwie sypialnie, prowadziły wąskie schody.

Na przyjrzenie się wszystkiemu poświęcili trzydzieści minut. Naomi Brown odhaczała kolejne pola, udowadniając, że dom spełnia wymagania sędziego. Ezra Parker pstrykał kolejne zdjęcia.

- Dopóki pani klient nie kupi sobie samochodu - powiedziała Naomi - to niecały kilometr stąd jest sklep wielobranżowy.

Rory skinęła głową. Poczwała nagłą chęć opuszczenia tego miejsca, gdy uświadomiła sobie, że jej nadzór nad finansami Thomasa Mitchella będzie wymagał pomagania mu przy większych transakcjach, takich jak zakup auta. Kiedy skierowali się do drzwi, Rory zauważyła czerwone ślady, które nanieśli z zewnątrz. Popatrzyła na swoje wojskowe buty i spostrzegła po raz pierwszy, że całe są pokryte karmazynowym pyłem.

- Przepraszam za to - powiedziała Naomi. - Powinniśmy byli zdjąć obuwie.

- Co to jest, do diabła? - mruknęła Rory, zerkając na podeszwę buta.

- Czerwona glina - odparł Ezra. - To normalne w okolicach Starved Rock. Grunt jest nią praktycznie nasycony. Włazi wszędzie. Pani samochód też będzie nadawał się do mycia.

Rory spojrzała na krwistoczerwone ślady.

- Jedźmy już - rzuciła. - Zadzwoń po kogoś, żeby tu sprzątnął przed jego przyjazdem.

Chicago

Listopad 1981 r.

Frank usiłował się dodzwonić przez pełne trzy dni, zanim w końcu zdecydował się wsiąść do samochodu, pojechać do Peorii i przekonać się samemu. Angela Mitchell została zwolniona z zakładu psychiatrycznego dla młodzieży Bayer Group w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, trzynaście lat wcześniej, i było całkiem możliwe, że osoba mieszkająca pod podanym przez doktora Jeffersona adresem zdążyła się już przenieść w zupełnie inne miejsce. Zważywszy jednak na to, że było to jego pierwsze sensowne odkrycie w poszukiwaniach Angeli Mitchell, dotyczące jej dorosłego życia przed poślubieniem Thomasa Mitchella, warto było sprawdzić to osobiście.

Wyruszył w drogę w sobotni rano, kiedy w mieście nie panował jeszcze duży ruch, a cała jazda zabrała mu dwie godziny z okładem. Minął kilka akrów skoszonych pól kukurydzianych, niewiele różniących się od tych, które widział wcześniej w okolicy zakładu psychiatrycznego. Na polach stały zaparkowane ciągniki, na horyzoncie dostrzegł też wysokie silosy. W końcu skręcił w długą, dwupasmową drogę, wzdłuż której stały skrzynki na listy z numerami posesji. Od nich odchodziły z kolei wąskie dróżki prowadzące do stojących samotnie domostw, które oddzielały od siebie duże połacie

terenu. Znalazł adres, który znajdował się w dokumentach Angeli Mitchell.

Zjechał na wijącą się drogę dojazdową do posesji. Zza domu wybiegły szczekające psy, które goniły jego samochód aż do momentu, kiedy zaparkował przed domem. Frank powoli otworzył drzwi. Powitały go dwa owczarki niemieckie, które próbowały wciskać łby pod jego dłonie. Pogłaskał psy, przyglądając się jednocześnie domowi na farmie.

Drzwi wejściowe się otworzyły i na ganek wyszła kobieta, która zlustrowała go wzrokiem. Frank uniósł dłonie w pokojowym geście i podszedł bliżej. Psy podążyły za nim, szczekając, podskakując i ocierając się o jego nogi.

- Nie zrobią panu krzywdy - zawołała kobieta z ganku. - Zostawcie pana w spokoju! Na podwórze, ale już!

Psy zaszczekały, zrezygnowały ze swojej radosnej napaści i pobiegły za dom. Frank stanął przed drewnianymi stopniami.

- Pani Schreiber? Czy dobrze wypowiedziałem nazwisko?

Popatrzył z bliska na kobietę i uznał, że dobiegała sześćdziesiątki lub nieco ją przekroczyła.

- Tak, to ja. W czym mogę pomóc? - zapytała. - Sprzedajesz pan encyklopedie, odkurzacze czy inne pierdoły?

- Nie - odparł z uśmiechem Frank. - Nazywam się Frank Moore i jestem prawnikiem. Przyjechałem tutaj, żeby zadać pani kilka pytań dotyczących Angeli Mitchell. Albo Angeli Barron, gdyż takie nosiła nazwisko panięńskie. Zakładam, że ją pani znała?

Frank zauważył zmianę na twarzy kobiety. Jej szczęka lekko opadła, a usta się rozchyliły. Otworzyła szeroko oczy, jakby Frank wyjął pistolet zza paska i w nią wycelował. Cofnęła się o krok i sięgnęła po omacku do klamki w drzwiach.

Frank ponownie uniósł ręce.

- Chcę tylko porozmawiać.

- Nie mam nic do powiedzenia. A teraz opuść pan moją posesję, bo zadzwonię po policję.

- Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów, proszę pani. Zajmuję się procesem cywilnym, który może pomóc rodzinie Angeli.

- Won z mojej posiadłości. - W jej oczach zagościł gniew. - Ale już!

Żądanie kobiety błyskawicznie zmieniło całą scenę w coś, czego Frank nie przewidział.

- Okej - powiedział, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę.

- Jeśli zdecyduje się pani porozmawiać na temat Angeli, to proszę zadzwonić. Mój numer jest na wizytówce.

- Tubs! Harold!

Na dźwięk swoich imion psy wypadły z za domu. Tym razem sprawiały wrażenie agresywnych. Ich radosne poszczekiwanie ustąpiło miejsca warczeniu. Frank odłożył wizytówkę na stopień i pośpiesznie się wycofał. Jeden psów uszczypnął go lekko w kostkę, a kiedy wsiadł i zatrzasnął drzwi auta, zauważył, jak odsłaniają zęby. Czując pot na czole, uruchomił silnik i zerknął jeszcze raz w stronę ganku. Kobieta zniknęła, ale wyraźnie było widać ruch za firankami w oknie.

Zauważył białą plamkę swojej wizytówki - wciąż leżała tam, gdzie ją położył. Zawrócił i oddalił się od szczekających psów.

Frank Moore wiedział, że coś właśnie odkrył, ale nie potrafił jeszcze tego zidentyfikować.

Rozdział 23

Chicago, 29 października 2019 r.

Porcelanowa lalka spoczywała na siedzeniu pasażera, kiedy Rory wyjeżdżała z miasta na południe autostradą Kennedy'ego, która potem przeszła w drogę międzystanową numer dziewięćdziesiąt cztery. Następnie zjechała na osiemdziesiątkę w kierunku wschodnim i opuściła ją przy Calumet Avenue. Wjechała do miasteczka Munster w Indianie, pięćdziesiąt minut po tym, jak wyszła ze swojego domu w Chicago. Kiedy zatrzymała się na parkingu, browar Three Floyds był już zamknięty. Po raz ostatni była tutaj w maju, by wziąć udział w dniu Dark Lorda, biletowanej, dwunastogodzinnej imprezie, w trakcie której miłośnicy portera mieli jedyną okazję w roku, żeby kupić swój ulubiony trunek. Rory zjawiała się tam dlatego, że było to jedno z niewielu publicznych wydarzeń, które sprawiały jej przyjemność - piwo lało się strumieniami, a Lane również uznał, że szkoda byłoby to przegapić. Nie jechała tam w tym samym celu, co wszyscy inni - żeby zaopatrzyć się w zapas butelek Dark Lorda, choć oczywiście dokonała stosownego zakupu. W przypadku większości ludzi, kiedy ich zapasy portera topniały, pojawiała się konieczność oczekiwania na przyszły rok. Jednak Rory nie należała do większości.

Zabrała lalkę z siedzenia pasażera i wysiadła z auta. Wieczorne powietrze zmieniało jej oddech w parującą mgiełkę. Naciągnęła czapkę głęboko na czoło, poprawiła okulary na nosie i ruszyła w stronę budynku. Parking oświetlony był pojedynczą, żółtą żarówką halogenową na szczycie wysokiego słupa stojącego w samym centrum. Kiedy szła po asfalcie, złota poświata halogenu mieszała się z jej wciąż czerwonymi śladami, tworząc pomarańczową ścieżkę ciągnącą się od samochodu. Rory zauważyła dziwne ślady i potupała mocno, żeby pozbyć się resztek czerwonej glinki, pamiątki z wyprawy do domu pod Starved Rock. Zadrżała na samo wspomnienie krwistych śladów, które zostawiła wewnątrz. Wybrała się do Munster przede wszystkim po to, by ukoić nerwy. Jej lodówka w domu świeciła pustkami.

Podeszła do bocznej ściany budynku browaru i zastukała do szarych, metalowych drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast.

- Rory Lalkarka - powiedział postawny mężczyzna. Gęsta, przetykana siwizną broda opadała mu aż na pierś. Na głowie miał czapkę z napisem „Browar Three Floyds”. -To już prawie sześć miesięcy.

Rory opuściła imprezę z okazji dnia Dark Lorda z zapasem piwa, który przeciętnej osobie wystarczyłby na rok. Przez większość czasu od maja miała jednak przerwę od pracy, a spożycie alkoholu ulegało u niej zwiększeniu, kiedy odpoczywała. Ponadto ostatnie wydarzenia w jej życiu sprawiły, że przedwcześnie pozbawiła się reszty zapasów.

- Cześć, Kip - odparła Rory. - Zawsze miło cię widzieć. - Uniosła lalkę. - Simon & Halbig. Niemiecka, rzadko spotykana i w doskonałym stanie.

Wielkolud popatrzył na lalkę, odebrał ją od niej i przyjrzał się detalom niczym ekspert. Pogładził swoją długą brodę.

- Można ją kupić w supermarkecie?

- Nie ma szans.

- Taylor błagała mnie o taką. Słyszała o lalce, którą podarowałem Becky na święta.

Rory wiedziała, że Kip ma kilkoro wnucząt. Zawsze rywalizował z drugimi dziadkami z okazji urodzin czy świąt Bożego Narodzenia, a porcelanowe lalki stanowiły jego broń od dwóch czy trzech lat. Były trudno dostępne i kosztowne, a konkurencja nie mogła mu w tym dorównać. Rory nie była pewna, co zrobi, kiedy Kip już wyposaży w lalki wszystkie swoje wnuczki. Zostanie zmuszona do porcjowania sobie Dark Lorda, jak wszyscy pozostali. Zanim to jednak nastąpi, cieszyła się z możliwości barteru.

- Cena? - spytał Kip.

Rory wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie czterysta.

- I o co prosisz?

- Dwie skrzynki.

- Tylko tyle? - zdumiał się Kip.

- Jestem dziś hojna.

Kip znów musnął swoją okazałą brodę i popatrzył na lalkę Simon & Halbig.

- Masz do niej papiery?

- Daj spokój - rzuciła, po czym sięgnęła do kieszeni szarego płaszcza, by wyjąć oryginalny dokument opisujący lalkę. Nabyła ją za grosze rok wcześniej podczas jednej z aukcji. Była w fatalnym stanie, z wieloma pęknięciami na porcelanie, które Rory zdołała niemal całkowicie zamaskować. Skorzystała z pomocy ciotki Grety,

by poradzić sobie z pustymi plackami na głowie. Staruszka oczywiście jej pomogła. Kiedy Rory przekazała Kipowi lalkę, ta wyglądała zupełnie jak nowa. Gdyby wróciła na tę samą aukcję, gdzie ją znalazła, zarobiłaby dużo więcej niż czterysta dolarów.

Kip zabrał dokument i pokiwał głową.

- Zaraz wracam.

Kilka minut później przeszli razem na parking. Kip pchał przed sobą wózek z dwiema skrzynkami portera. Załadował je do bagażnika samochodu Rory i zatrzasnął klapę. Rory usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. Usłyszała stukanie Kipa i opuściła szybę.

- Gdzie ty łąziłaś wcześniej? Po dyniach? - zapytał, wskazując pomarańczowe, niemal księżycowe ślady wokół auta.

- Nie po dyniach - odparła Rory, poprawiając okulary - ale z pewnością był tam jeden wielki syf. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Dlatego przyjechałam tutaj o północy.

- Jasne. Kiedy zadzwoniłaś, zaraz pomyślałem, że potrzebujesz dawki.

- To tylko piwo, Kip, nie heroina.

- Dawka to dawka.

Kip sięgnął do kieszeni i wyjął butelkę piwa. Była jeszcze oszroniona od przechowywania w chłodni. Z drugiej kieszeni wyłuskał scyzoryk z emblematem Dark Lorda. Przeciął zabezpieczenie na kapslu, używając do tego jednego z lśniących ostrzy, po czym odwrócił scyzoryk i użył otwieracza. Podał butelkę Rory przez okno.

- Uważaj na osiemdziesiątce. Ci przekłęci gliniarze mają wzrok jak sokoły.

Rory się uśmiechnęła i chwyciła zimną butelkę.

- Dzięki, Kip. Do zobaczenia w maju.

- Masz. - Mężczyzna podał jej scyzoryk. - Wiem, że ta lalka jest warta dużo więcej niż dwie skrzynki piwa.

Rory skinęła głową w podziękowaniu, wyjechała z parkingu i po krótkiej chwili znalazła się na Indiana Parkway. Ustawiła tempomat nieco poniżej obowiązującego na autostradzie ograniczenia prędkości i ruszyła w powrotną drogę do miasta, sącząc portera.

Rory zaparkowała samochód przed domem ojca. Dochodziła pierwsza w nocy. Czowała, że ogarnęła ją niezdrowa obsesja na punkcie kobiety z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Angela Mitchell w jakiś sposób wyciągnęła do niej rękę i weszła w jej życie. Wibracje otaczające tajemniczą kobietę były ledwie wyczuwalne, ale niemożliwe do zignorowania. Skojarzyły się jej z dźwiękiem kamertonu.

Rory początkowo nie rozumiała, dlaczego Angela Mitchell wywarła na niej takie wrażenie. A może po prostu nie chciała się do tego przyznać przed sobą samą. To wymagałoby przecież wielu przemyśleń oraz przyznania się do swoich wad i dziwactw. Odślanianie duszy zawsze przychodziło jej z trudem, nawet jeśli robiła to tylko dla siebie. Połączenie nawiązało się, kiedy Rory odkryła, że Angela miała autyzm, a ugruntowało się, gdy przeczytała opisy, które przedstawiały ją jako introwertyczkę i outsiderkę, kogoś, kto nigdy nie dopasuje się do reszty społeczeństwa i kto nie miał zbyt wielu bliskich osób w swoim życiu. Kobieta, która za bardzo się bała, żeby zwrócić się do władz, nawet kiedy podejrzewała, że jej mąż jest mordercą. Kiedy Rory dowiedziała się o Catherine Blackwell, wciąż wierzącej w to, że Angela żyje, jej umysł wskoczył na najwyższe obroty. Niezdrowa obsesja pojawiła się prawdopodobnie po tym, jak Rory uzmysłowiła sobie, że jej ojciec

spędził dużą część życia, szukając właśnie tej kobiety. Wibracje w jej głowie uformowały najistotniejsze pytanie: „co znalazł jej ojciec?”. Nazbierało się tego tyle, że Rory nie mogła po prostu pozbierać zabawek i schować tej sprawy gdzieś w głębi umysłu, by o niej zapomnieć. Wiedziała, że będzie zmuszona użyć wszystkich swoich umiejętności i wykorzystać wrodzony talent, aby odkryć, gdzie należy szukać Angeli.

Wysiadła z samochodu i zarzuciła plecak na ramię. Otworzyła bagażnik, wyjęła z jednej ze skrzynek kolejną butelkę piwa i użyła klucza, żeby wejść do domu z dzieciństwa. Niespodziewanie przepłynęła przez nią potężna fala emocji. Rory nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni płakała. Właściwie nie była nawet pewna, czy kiedykolwiek doświadczyła takiej emocji w swoim dorosłym życiu. Nie sądziła, by tak było, i nie chciała tego zmienić samym faktem przejścia przez próg prowadzący do świata dzieciństwa. Jej ojciec umarł i zabrał ze sobą wielki sekret. To wystarczyło, by wzbudzić jej ciekawość. Płacz nie przyniósłby jej niczego dobrego.

Zamknęła za sobą drzwi, przeszła do gabinetu ojca i usiadła za jego biurkiem. Użyła podarowanego przez Kipa scyzoryka, żeby podważyć kapsel na butelce, i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Jej największym darem była umiejętność łączenia ze sobą nierozwiązanych spraw, analizowania faktów i odkrywania rzeczy, które przeoczyli inni śledczy, aż w końcu obraz przestępstwa - a nierzadko i sprawcy - stawał się widoczny w jej głowie. Rory potrafiła zrozumieć sposób myślenia mordercy i jego motywy dzięki przeanalizowaniu obrazu zbrodni, którą po sobie zostawił. Frustracja wynikająca z prób zrekonstruowania losów Angeli Mitchell wynikała z faktu, że nikt niczego po sobie nie pozostawił. Po Thomasie

Mitchellu nie pozostała żadna rzeź, a to sprawiało, że Rory zaczynała się zastanawiać nad jego winą. Czy to możliwe, zadawała sobie pytanie, że spędził czterdzieści lat w więzieniu za coś, czego nie zrobił? Jeszcze większym znakiem zapytania było to, czy przesiedział kilka dziesięcioleci za przestępstwo, które nigdy nie miało miejsca.

Włączyła lampkę na biurku ojca i wyjęła z plecaka pracę doktorską Lane'a Phillipa. Napisał ją z myślą o obronie ponad dziesięć lat wcześniej. Zagłębienie w umysły skazanych morderców było czynnością mroczną i złowrogą. Dwuletnia krucjata Lane'a, w trakcie której osobiście porozmawiał on z ponad setką skazanych seryjnych zabójców na całym świecie, była ogromnym wyczynem. O jego pracy wciąż dyskutowano na korytarzach biur FBI, choć Lane już dawno temu zakończył tam pracę jako profiler. Rory traktowała jego książkę jako materiał pomocniczy, kiedy musiała sobie przypomnieć, jak to jest myśleć podobnie jak morderca, co było przydatną techniką przy rekonstruowaniu zbrodni. Pociągnęła łyk Dark Lorda i spojrzała na okładkę książki Niektórzy wybierają ciemność autorstwa Lane'a Phillipa.

Przeczytała jego pracę już wielokrotnie i zawsze zwracała uwagę na tę samą sekcję. Zerknęła tam i teraz. Tytuł rozdziału za każdym razem wywoływał u niej ścisk w piersi: „Dlaczego mordercy mordują”.

Ponownie pochłonęła wzrokiem wnioski Lane'a dotyczące tego, co sprawia, że jeden człowiek decyduje się odebrać życie innemu: racjonalizacja, blokowanie emocji, wbijanie do głowy norm społecznych i obowiązków moralnych. Ta koncepcja stanowiła główną oś jego pracy - na pewnym etapie w życiu każdego mordercy

dokonywany był wybór. Niektórzy wybierali ciemność, inni zostawali przez nią wybrani.

Rory dokończyła piwo i ponownie rozejrzała się po ciemnym gabinecie swojego nieżyjącego już ojca. Znow przebywała w swoim rodzinnym domu, a cisza panująca w pustych pomieszczeniach pozwalała jej umysłowi formować gnębiące ją pytania. Pomyślała o Angeli Mitchell. Ciekawiło ją, czy tajemnicza kobieta przed wielu laty wybrała ciemność, czy to może ciemność wybrała ją.

Chicago

Listopad 1981 r.

Frank Moore nadal nie ujawniał nikomu informacji o tym, że poszukiwał ducha Angeli Mitchell, nie pisał na ten temat słowem nawet swoim szefom z kancelarii Garrison Ford. Nie powiedział o tym jeszcze swojej żonie. Mianowano go głównym adwokatem Thomasa Mitchella reprezentującym go w procedurach apelacyjnych i wywiązywał się z tego zadania naprawdę znakomicie. Frank ukrył jedynie fakt, że mężczyzna wynajął go do poszukiwania jego nieżyjącej żony. Prośbę tę przyjął z niepewnością i podejrzliwością, jednak od ostatniego, dziwnego spotkania na farmie w Peorii, Frank zapewne po raz pierwszy dopuścił możliwość, że Angela Mitchell może rzeczywiście wciąż przebywać wśród żywych.

Siedział przy swoim biurku w Garrison Ford ze słuchawką przy uchu. Obok leżała gruba teczka z dokumentami. Zawierała wszystkie informacje, które zgromadził do tej pory na temat Angeli Mitchell, jej burzliwej dorosłości, pobycie w zakładzie psychiatrycznym Bayer Group w wieku siedemnastu lat i rozmowy Franka z doktorem Jeffersonem. Ostatni dokument zawierał adres farmy w Peorii i nazwisko kobiety, która odwozła Angelę Mitchell w dniu wypisu w jej osiemnaste urodziny - Margaret Schreiber.

Przez cały tydzień szukał informacji na temat tej kobiety. Dzięki telefonom wykonanym do władz hrabstwa i dokumentacji pozyskanej z publicznych źródeł dowiedział się, że była właścicielką domu od jedenastu lat, posiadała hipotekę i nie zalegała z podatkami. Była certyfikowaną pielęgniarką i położną w miejscowym szpitalu w Peorii. W ciągu kilku dni Frankowi udało się uzyskać kopie pozwoleń od władz hrabstwa i świadectw pielęgniarskich z departamentu usług profesjonalnych stanu Illinois. Wykonał wiele telefonów, żeby dowiedzieć się czegoś na temat usług szpitalnych, i ostatecznie opracował imponujący biogram Margaret Schreiber.

- Opuściła Bayer Group w swoje osiemnaste urodziny - powiedział do słuchawki. - Znalazłem kobietę, która ją odebrała.

- To nie byli jej rodzice? - zdziwił się Thomas Mitchell pośród szumów panujących na linii.

- Nie. Wypisała się, a następnie pomogła jej kobieta nazwiskiem Margaret Schreiber. Tyle na razie wiem. To jedyna osoba nienależąca do rodziny, którą mogę z nią powiązać w okresie sprzed waszego poznania się. Na razie podążam tym tropem.

- Rozmawiałeś z nią?

- Przelotnie.

- Zapytałeś o Angelę?

- Wspomniałem o niej.

- No i? Myślisz, że ona coś wie?

Frank ujrzał przed oczami Margaret Schreiber, pospiesznie wycofującą się do domu na swojej farmie. Dostrzegł wtedy w jej oczach strach. Przypomniawszy sobie poruszenie firanek, kiedy kobieta zerknęła przez okno na jego odjazd. Z pewnością coś ukrywała, a Frank miał już pewien pomysł, co to mogło być.

- Nie jestem pewny - odparł w końcu. - Skontaktuję się z tobą, gdy dowiem się czegoś więcej.

Frank odłożył słuchawkę i wpisał piętnastominutowe połączenie do akt Thomasa Mitchella, podciągając je pod rachunki związane z apelacją. Do jego gabinetu weszła sekretarka.

- Idę na lunch - oświadczyła. - Tu masz wiadomości z rana. - Trzymała w dłoni żółte paski papieru. - Dzwoniła twoja żona. Wybiera się dość wcześnie do pracy i nie spotka się z tobą dziś wieczorem. Wpadł też Howard Garrison, chce z tobą porozmawiać. Mam też dziwną wiadomość od kogoś, kto nie zechciał się przedstawić. Powiedziała. .. zaczekaj, to dość dziwne. .. - Frank poczuł odrętwienie, kiedy dziewczyna przekładała karteczki. - O, mam. Powiedziała. .. - Sekretarka uniosła wzrok i popatrzyła na Franka z uniesionymi brwiami. - „Przepraszam za psy”? I że chciałaby z tobą jak najszybciej pogadać. - Podała mu karteczki. - Wiesz, o co mogło jej chodzić?

- To długa historia - odpowiedział Frank, podnosząc się szybko, po czym okrążył biurko. - Do żony zadzwonię później. Powiedz panu Garrisonowi, że muszę się czymś pilnie zająć. Jutro się z nim spotkam.

- Ona nie zostawiła numeru telefonu - dodała sekretarka, kiedy Frank opuszczał pośpiesznie gabinet.

- Nie szkodzi. Nie potrzebuję go.

Po chwili wybiegł z biura, goniąc ducha kobiety, która zniknęła przed dwoma laty.

Rozdział 24

Chicago, 30 października 2019 r.

Po śmierci matki Rory, Marli, przed siedmioma laty, ojciec zapowiedział, że przeprowadzi się do małego mieszkania. Nigdy jednak tego nie zrealizował. Zamiast tego zachował dom z trzema sypialniami, w którym wychowała się jego córka, i mieszkał na stanowczo zbyt dużej przestrzeni, chcąc zachować wspomnienia o żonie. Rory uświadomiła sobie, że teraz, po śmierci ojca, będzie musiała opróżnić ten dom w taki sam sposób, jak uczyniła to z kancelarią. Zapakować wszystko w kartony i postawić na trawniku tabliczkę „na sprzedaż”. Wypiwszy stanowczo zbyt wiele piwa, położyła się na sofie i usiłowała opanować zawroty głowy. Rozmyślała nad smutnym i niewdzięcznym zadaniem polegającym na opróżnieniu swojego domu z dzieciństwa i rozpoczęciu malowania nowej historii. Dumiała nad tym wszystkim, kojąc nerwy alkoholem. W końcu zasnęła i myśli ustały.

Obudziła się w gabinecie ojca. Słońce wpadało przez okno i oświetlało jej twarz, zmuszając ją do zmrużenia oczu zaraz po ich otwarciu. Kiedy usiadła na sofie i pomasowała skronie, zaatakował ją tępy ból głowy. Jej ojciec umarł w tym pomieszczeniu. To tutaj znalazła go Celia i Rory czuła teraz swego rodzaju oczyszczający

spokój dzięki spędzeniu nocy w tym miejscu. Może w ten sposób dotrzymała duchowi ojca towarzystwa. A może wciąż była pijana.

Na biurku stały puste butelki po piwie i komputer, w którym próbowała znaleźć jakiegokolwiek informacje na temat tego, czego ojciec dowiedział się o Angeli Mitchell. Uznała jednak, że gdyby cokolwiek odkrył, nie zapisałby tego w komputerze. Sprzątnęła butelki z blatu i ponownie usiadła na krześle, na którym zmarł jej ojciec. Wyszukała w telefonie witryny trzech firm przeprowadzkowych i zanotowała ich numery na samoprzylepnej karteczce. W okolicy dostępnych było parę magazynów i wybrała losowo kilka z nich. Przez kolejnych trzydzieści minut siedziała na telefonie i umawiała spotkania. Kiedy skończyła, wyłączyła komputer i rozejrzała się po gabinecie. O tej porze wydawał się on zupełnie inny niż w późnych godzinach nocnych. Zauważyła, że szafka u dołu biurka jest lekko uchylona, a przez szczelinę dostrzegła pokrętko sejfu. Otworzyła drzwiczki.

Sejf był wbudowany w biurko. Natychmiast obróciła pokrętko, wypróbując znajome kombinacje liczb. Bezskutecznie. Wybrała daty urodzenia - najpierw swoją, a następnie ojca i matki. Kiedy w końcu wprowadziła dzień rocznicy ich ślubu, sejf się otworzył. Rory ukucnęła przy biurku i zajrzała do niewielkiego wnętrza. Na półce spoczywała gruba teczka. Wyjęła ją i położyła na biurku. Po chwili do niej zajrzała i znalazła pisma dotyczące zwolnienia warunkowego Thomasa Mitchella sprzed dwudziestu lat, wszystkie ostemplowane słowem „odrzucono”. Do każdej z odmownych decyzji dołączony był wniosek o apelację złożony przez jej ojca. Kiedy Rory dotarła na spód stosu, znalazła pismo od komisji zwolnień mówiące o znaczącym postępie dokonany przez klienta Franka Moore'a i zmianie podejścia do tego człowieka. W dwóch kolejnych rozwój

zachwalano rozwój i resocjalizację Thomasa Mitchella, a pod nimi Rory znalazła dokument z pieczęcią „zatwierdzono”.

Rory przejrzała ponownie stos dokumentów, zerkając na daty, rejestrując i katalogując każdy dzień, miesiąc i rok. Jej ojciec uczestniczył we wszystkich przesłuchaniach i apelacjach od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Wyrównała dłońmi papiery i odłożyła je na bok. Następny stosik zawierał pisane ręcznie listy od Thomasa Mitchella. Pismo miał staranne, a litery wyglądały tak, jakby skorzystał ze staromodnej maszyny do pisania. Rory natychmiast przypomniała sobie bazgroły detektywów na wielu raportach, które przeglądała w trakcie swojej kariery. Charakter pisma Thomasa Mitchella świadczył wyraźnie o tym, że list pisał człowiek dysponujący ogromną ilością czasu. Nie było w nim żadnego widocznego pośpiechu. Litery nakreślono starannie i równo, z perfekcyjnymi łączeniami. Kiedy Rory czytała treść listów, zauważyła, że mężczyzna za każdym razem w specyficzny sposób kreślił swoje „A”. Nie zapisywał poziomej kreski, więc litera wyglądała po prostu jak odwrócone „V”. Ten charakterystyczny znak przewijał się na przykład przez cały fragment o następującej treści:

JA, THOMAS MITCHELL, WYZNACZAM MOJEGO ADWOKATA, FRANKA MOORE'A, ABY REPREZENTOWAŁ MNIE I WYPOWIADAŁ SIĘ W MOIM IMIENIU PODCZAS PRZESŁUCHANIA W SPRAWIE MOJEGO ZWOLNIENIA WARUNKOWEGO.

Ten nietypowy symbol przyprawiał Rory o dziwne sensacje w żołądku, jakby brakująca poprzeczka reprezentowała usunięcie czegoś znacznie ważniejszego w duszy tego człowieka. Odsunęła listy na bok i podniosła ostatnią grupę dokumentów. Zostały

złączone gumką, a na znajdującej się na samej górze kartce widniały dwa słowa zapisane przez jej ojca: Angela Mitchell.

Rory przestała oddychać. Na kolejnych stronach zapisano wszelkie informacje na temat życia Angeli, które zgromadził jej ojciec, włącznie z danymi o rodzinie, przyjaciółach i znajomych kobiety. Długa lista nazwisk z odhaczeniami obok i notatkami przy każdym z nich. Rozpoznała nazwisko Catherine Blackwell. Przesunęła palcem w dół strony, odczytując kolejne nazwiska.

- Twój przyjaciel powiedział, że mogę cię tutaj znaleźć.

Rory podskoczyła, słysząc czyjś głos, a z jej gardła wydobył się cichy pisk. Uniosła głowę i zobaczyła stojącą w progu Celię. Położyła dłoń na piersi.

- Boże, Celia, wystraszyłaś mnie jak cholera!

- Wybacz. Pukałam, ale pewnie nie słyszałaś. Widziałam twój samochód na zewnątrz.

Rory złożyła papiery w jeden stosik.

- Co ty tutaj robisz, Celio?

- Nie oddzwoniłaś do mnie. Pojechałam rano do ciebie i twój przyjaciel poinformował mnie, że powinnam szukać cię właśnie tutaj.

Rory ledwie potrafiła sobie przypomnieć pijacką rozmowę z Laneem poprzedniego wieczoru, kiedy sprawdzała komputer ojca.

- Przepraszam. Tyle się ostatnio dzieje. .. - Rory dostrzegła jakąś zmianę na twarzy Celi. - Czy coś się stało?

- Obawiam się, że twój ojciec pozostawił mnie z brzemieniem, którego nie potrafię unieść - odparła Celia, trzymając w dłoni niewielki przedmiot. - Dał mi to już dawno temu i powiedział, że mam tego pilnować.

Rory zmrużyła oczy - jej soczewki kontaktowe wyschły po całej nocy i nie potrafiła dojrzeć, co trzyma kobieta.

- Co to jest?
- Klucz do jego skrytki depozytowej.

Chicago

Listopad 1981 r.

Frank zatrzymał samochód na początku długiej drogi dojazdowej. W oddali majaczył dom na farmie. Było już późne popołudnie i klony rzucały cień na zabudowania. Obrócił kierownicą i powoli ruszył do przodu. Psy znów wybiegły z za domu, by gonić jego auto. Najwyraźniej liczyły na pieśczoły ze strony gościa. Frank obawiał się nieco, że wyczują jego strach z ostatniej wizyty, kiedy ledwie zdążył wsiąść do samochodu, zanim zwierzęta pogryzły go po nogach.

Nie otworzył drzwi, ale zgasił silnik i zaczekał chwilę, aż psy się rozszczekają, zwiastując jego przybycie. Po chwili na ganku pojawiła się kobieta i zawołała psy, które posłusznie pobiegły za dom. Frank powoli wysiadł z samochodu.

- Zapraszam do środka - zawołała.

Frank wszedł po stopniach na skrzypiący ganek. Kobieta otworzyła siatkowe drzwi i oboje weszli do środka. Zaprowadziła go do salonu zaraz obok korytarza. Wielkie, panoramiczne okno zapewniało tam znakomity widok na rozciągające się za domem pola. Teraz, kiedy Frank mógł się przyjrzeć kobiecie z bliska, wydawała się starsza, nawet nieco wymizerowana, jakby życie dało jej w kość. Przeczesała dłonią nieco skołtunione, siwe włosy i usiadła na sofie.

Frank był gotów zacząć od kurtuazyjnych pogaduszek, ale okazało się to niepotrzebne. Miał przygotowaną swoją wersję rozmowy, ale z niej nie skorzystał.

- Dlaczego pyta pan o Angelę?

Bezpośredniość pytania zaskoczyła Franka, który poczuł się zobowiązany, by odpowiedzieć kobiecie zgodnie z prawdą. Od wielu miesięcy kłamał na temat tego, czym się zajmował. Oszukiwał ludzi, próbując natrafić na przydatne informacje, które mogłyby go naprowadzić na ślad prawdopodobnie wciąż żyjącej Angeli. Jednak z jakiejś nieokreślonej przyczyny osoba, która siedziała przed nim, wydawała się zupełnie nieporuszona jego wcześniejszymi wyjaśnieniami.

- Zatrudniono mnie, żebym zweryfikował, czy Angela. .. - Frank przez chwilę się zastanawiał nad właściwym doborem słów.

- Czy Angela co?

- Czy wciąż żyje.

Kobieta pokręciła głową.

- Ostrzegała mnie, że ktoś się kiedyś zjawi i będzie jej szukał.

Frank poczuł dreszcz na plecach i jakieś wibracje w duszy.

- Kto panią ostrzegał?

Kobieta popatrzyła na niego, a jej spojrzenie miało miazdzącą siłę.

- Angela.

Frankowi wydawało się, że zaczyna spadać, że całe powietrze zostało wysrane z jego płuc. Kiedy znów się odezwał, jego głos stał się słaby i cichy.

- Ostrzegła panią, że ktoś może zacząć jej szukać. .. Ale kto?

Pani Schreiber odpowiedziała mu bardzo podobnym, przytłumionym głosem.

- Thomas. Powiedziała, że nigdy nie przestanie jej szukać.

Rozdział 25

Chicago, 30 października 2019 r.

- Gdzie go znalazłaś? - zapytała Rory, patrząc na leżący na dłoni Celi klucz.

Zastanawiała się, jak to możliwe, skoro osobiście przeszukała każdy cal powierzchni biurowej kancelarii i na nic podobnego nie natrafiła.

- Kochałam twojego ojca - odparła Celia łamiącym się głosem. - Kochaliśmy się wzajemnie, Rory. Nie powiedzieliśmy ci o tym, bo Frank uznał, że będziesz wkurzona, kiedy się o tym dowiesz.

Rory wyprostowała się na krześle i uniosła dłoń, żeby poprawić okulary na nosie, ale zaraz sobie uświadomiła, że leżą na stoliku obok sofy, tam, gdzie zostawiła je przed snem, obok jej wełnianej czapki. Kiedy wstała z należącej do ojca sofy, zrobiła to na bosy - jej wojskowe buty spoczywały w nieładzie obok stolika. Była całkowicie pozbawiona swojego ochronnego stroju, kiedy słuchała zwierzeń Celi dotyczących związku kobiety z ojcem Rory.

- To był mniej więcej rok po śmierci twojej matki. Frank się obawiał, że pomyślisz sobie, iż byliśmy razem, jeszcze zanim odeszła. Ale tak nie było, Rory. Nie zrobiłabym czegoś takiego. Po śmierci Marli twój ojciec się załamał. Ja sama straciłam męża kilka lat wcześniej, więc po prostu odnaleźliśmy się i obdarzyliśmy uczuciem.

- Okej - odparła Rory, unosząc dłonie. - Nie chcę wiedzieć nic więcej, Celio. Nie w tej chwili.

Od nadmiernej ilości piwa dudniło jej w głowie i z trudem usiłowała poukładać sobie te informacje. Ten związek wyjaśniał niezwykle poruszenie Celii w czasie pogrzebu i pełne łez przytulenie, gdy Rory zaczęła porządkować kancelarię. Kiedy pomyślała o kilku ostatnich latach życia ojca, ogarnął ją dogłębny smutek. Po śmierci żony popadł w silną i bolesną depresję, a w minionym roku Rory wyczuła, że ojciec był nadmiernie zestresowany. Może dlatego, że odnalazł szczęście z inną kobietą, ale nie mógł się podzielić swoją radością z córką. Zawsze chronił ją przed całym złem i starał się ze wszystkich sił, by nigdy nie poczuła się zraniona przez cokolwiek, co zrobił. Teraz Rory odkryła część jego życia, którą nie chciał się z nią podzielić. Płacz, przed którym tak się wzbraniała poprzedniego wieczoru, niemal wymknął się jej teraz spod kontroli, ale w końcu powstrzymała się jakoś przed uronieniem łez.

- Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w taki sposób, Rory. Dręczyło mnie to od śmierci Franka. Zastanawiałam się nawet, czy nie zachować tego w tajemnicy już na zawsze. Może byłoby to najprostsze rozwiązanie, gdyby nie to. - Celia podeszła do biurka i położyła na nim klucz. - Twój ojciec miał skrytkę depozytową. Powiedział mi, że jeśli cokolwiek mu się stanie, mam zabrać to, co się w niej znajduje, i zachować dla siebie.

Rory odzyskała panowanie nad sobą i podniosła klucz.

- Co w niej jest?

- Nie mam pojęcia. Zapewne pieniądze, ale nie czułabym się dobrze, biorąc je. Frank obiecał, że zawsze się będzie o mnie troszczył... sama wiesz, finansowo. Ale jeśli zostawił tam pieniądze, to one należą do ciebie.

Rory obejrzała klucz i przesunęła opuszką palca po jego rowkach. Poczła coś dziwnego w okolicach mostka i karku, a w uszach usłyszała dzwonięcie. Włoski na jej rękach stanęły dęba. Spojrzała na dokumenty, które właśnie znalazła w sejfie ojca, i zrozumiała, że to nie pieniądze jej ojciec chciał powierzyć Celi.

Przed dziewiątą Rory zatrzymała samochód na parkingu przed bankiem. Celia siedziała obok niej na fotelu pasażera. Dark Lord wciąż łomotał jej w skroniach, a w ustach miała zupełnie sucho. Odziała się oczywiście w swoją ochronną zbroję - czapkę, okulary, szary płaszcz i buty wojskowe Madden Girl Eloisee.

Kiedy odjechały z domu jej ojca, Celia wyjaśniła, że po roku spotkania się Frank zaproponował, by podpisała papiery, dzięki którym została uprawniona do uzyskania dostępu do skrytki depozytowej. Celia nigdy nie zapytała go, co znajduje się w depozycie, wiedziała tylko, że sama prośba o pilnowanie tych rzeczy kosztowała Franka wiele nerwów. Kiedy czekały w samochodzie, Rory zerknęła z ukosa zza krawędzi okularów i zauważyła, że Celia się jej przygląda. Kobieta wyraźnie paliła się do tego, by opowiadać jej o swoim związku z jej ojcem. Rory nie pragnęła niczego więcej, jak napić się dietetycznej coli i pobyć zupełnie sama. Na szczęście pracownik banku otworzył drzwi w tej samej chwili, kiedy zegar na desce rozdzielczej wskazał godzinę dziewiątą.

Rory wskazała głową za okno.

- Otworzyli bank.

Wysiadły z samochodu i przecięły parking. W środku skorzystały z windy jadącej na dolny poziom i podeszły do recepcji. Siedząca za biurkiem kobieta uśmiechnęła się do nich szeroko. Rory pozwoliła Celi mówić.

- Chcemy uzyskać dostęp do skrytki numer czterysta jedenaście.

- Czy obie panie są jej zarejestrowanymi właścicielkami? - zapytała kobieta.

- Nie - odparła Celia - Tylko ja.

- Do skarbcza mogą wchodzić jedynie zarejestrowani właściciele, ale pani może poczekać w poczekalni.

- Doskonale - rzuciła Rory. - Dziękuję.

Celia podała swój dowód tożsamości i podpisała kartę. Pracownica banku wykonała kopię, porównała podpis Celi z wzorem w dokumentach, po czym wyjęła ze znajdującej się za nią zamkniętej szafki klucz główny. Kobieta zniknęła na moment za narożnikiem, po czym otworzyła drzwi nieopodal Celi i Rory.

- Tędy proszę.

Przeszły do drugiej części piętra, gdzie grube metalowe kraty oddzielały obszar recepcyjny od skarbcza ze skrytkami depozytowymi. Furta została otwarta już wcześniej tego dnia, podobnie jak sam skarbiec. Kobieta wskazała poczekalnię z wysokimi, okrągłymi stolikami. Rory poszła tam i obserwowała, jak Celia rozmawia z pracownicą banku. Po kilku minutach Celia wróciła, niosąc w dłoniach małą, metalową skrzynkę.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Proszę dać mi znać, kiedy panie skończą.

Celia położyła skrzyneczkę na blacie wysokiego stolika.

- Zostawię cię samą - oznajmiła.

Rory skinęła głową, nie spuszczać wzroku ze skrzynki. Kiedy została sama w pomieszczeniu, uniosła wieczko i zajrzała do środka. Zobaczyła tylko kilka kartek. Podniosła kilka i zorientowała się, że jest to testament ojca. Obracała powoli strony, ale nie znalazła niczego ciekawego, więc odłożyła je na bok. Kiedy zapoznała się z następnym dokumentem w skrzynce, pomieszczenie zaczęło wokół

niej wirować. Najpierw powoli, potem coraz szybciej z każdą mijającą sekundą. Oparła dłonie na stoliku, żeby się uspokoić, kiedy zaczęła czytać pierwszą stronę.

Pomieszczenie kręciło się z taką zawziętością, że Rory przyłożyła ręce do skroni i zrzuciła na podłogę okulary. Podniosła z dna skrzyneczki kolejny pojedynczy dokument, zatoczyła się do tyłu i uderzyła plecami o ścianę. Kiedy osunęła się na podłogę, nie przestając czytać, wełniana czapka zsunęła się jej z głowy.

Chicago

Listopad 1981 r.

- Angela ostrzegła panią, że jej mąż zacznie jej szukać? - upewnił się Frank. Kobieta milczała. - Czy ona żyje?

Margaret odwróciła wzrok i spojrzała przez okno na pola rozciągające się po horyzont za domem.

- Jak mnie pan znalazł?

Frank przyjął ten unik spokojnie. Wiedział, że jest blisko odkrycia prawdy, i nie chciał tego zaprzepaścić.

- Pani nazwisko zostało umieszczone w dzienniku Bayer Group w dniu osiemnastych urodzin Angeli, kiedy zabrała ją pani z zakładu psychiatrycznego.

- Cholera - mruknęła. - Zastanawialiśmy się długo i mocno nad tropem, którym podążył pan wprost do mnie. Nad czymkolwiek, co mogło nas ze sobą powiązać. Myślałyśmy, że jesteśmy bezpieczne.

- Oderwała wzrok od okna. - No cóż, teraz już wiem, jak mnie pan znalazł. Muszę się jednak dowiedzieć dlaczego. Czy to on pana przysłał?

Frank przełknął ślinę. W pomieszczeniu panowała ciężka atmosfera, a jego powiązanie z Thomasem Mitchellem jeszcze nigdy dotąd nie wydawało mu się aż tak niestosowne.

- Są ludzie, którzy wierzą, że... Angela wciąż żyje, że zniknęła tylko dlatego, żeby uciec od męża. Policja była przekonana, że ją zabił, a prokurator okręgowy postarał się, żeby go za to skazać. Zastanawiam się jednak, czy ci wszyscy ludzie się nie mylili.

- Czy on pana przysłał? - zapytała ponownie.

Wiedział, że to, co zamierzał osiągnąć, doprowadzi do trzęsienia ziemi. Celem jego wyprawy była pomoc klientowi, ale teraz odnosił wrażenie, że stawia na szali czyjeś życie. W końcu skinął głową.

- Tak. Thomas Mitchell wynajął mnie, żebym odnalazł jego żonę.

Oczy kobiety rozszerzyły się gwałtownie ze strachu.

- Nie może mu pan powiedzieć, czego się dowiedział. Rozumiemy się? On nie może mnie nigdy znaleźć.

- Czy oni się mylili? - zapytał Frank. - Czy policja i prokuratura były w błędzie? Czy Thomas Mitchell zamordował swoją żonę?

- Nie - odparła Margaret. - Ale on zabił wiele innych kobiet.

- Gdzie jest Angela?

- Jak już powiedziałam, zamordował wszystkie te kobiety. A ona mi powiedziała, że kiedyś zacznie jej szukać, że wynajmie ludzi, żeby ją znaleźli. Trwało to aż dwa lata, ale Angela się nie myliła.

Frank zachował dla siebie fakt, że omówił już taką możliwość z klientem, czego teraz ogromnie żałował. Jakaś część jego duszy podpowiadała mu, że popełnia ogromny błąd. - Proszę mi powiedzieć, co się stało - poprosił. - Mogę pani pomóc. Jeśli potrzebuje pani pomocy, to obiecuję, że znajdę sposób.

Z innego pomieszczenia, gdzieś w głębi domu na farmie, dobiegł pisk. Frank spojrzął w kierunku korytarza. Po chwili rozległ się ponownie, i jeszcze raz. Coraz głośniej. Wkrótce zmienił się w płacz.

- Proszę za mną - powiedziała kobieta.

Wstała z sofy, przeszła do holu i zaczęła wchodzić po schodach. Frank poczuł, że po skroniach płyną mu strużki potu. Podążył za kobietą aż do stopni. Odniósł niepokojące wrażenie, że jeśli wejdzie na górę, jego życie już nigdy nie będzie takie samo, jednak przynęta w postaci Angeli Mitchell, ducha, którego gonił, okazała się zbyt atrakcyjna, żeby go zatrzymać. Usłyszał skrzypienie stopni pod własnymi nogami, kiedy wchodził za kobietą na piętro. Z każdym krokiem płacz stawał się coraz wyraźniejszy, słychać było teraz również ciche krzyki.

Na piętrze siwowłosa kobieta skręciła i weszła do jakiegoś pomieszczenia. Frank zatrzymał się przed dotarciem na górę, po czym zerknął za siebie, na schody prowadzące w dół. Drewniana poręcz i jej szczeble zlewały mu się w jedno. Hol na dole, drzwi wejściowe i chylące się powoli ku zachodowi słońce wpadające przez okno, wszystko to wirowało, tworząc zniekształcony obraz. Wciąż jeszcze mógł się cofnąć, jeszcze nie było na to za późno. Wystarczyłoby zbiec po schodach, wybiec na zewnątrz i wsiąść do samochodu, a potem odjechać z tej farmy i nigdy już tutaj nie wrócić. Swojemu klientowi powiedziałaby, że trafił w ślepy zaułek. Mógł po prostu skłamać.

Ostatecznie jednak nie pobiegł. Zamiast tego odwrócił się z powrotem, pokonał resztę stopni i wszedł do pomieszczenia, w którym zniknęła kobieta. W kącie stał dziecięcy wózek. Źródłem odgłosów było małe dziecko w kołysce, poczerwieniałe na twarzy i rozszuszczone. Krzyki stały się tak przenikliwe, że Frank miał ochotę zasłonić uszy, ale ciekawość poprowadziła go głębiej do pokoju. Płacz ustał, kiedy siwowłosa kobieta wzięła dziecko na rękę.

Kiedy Frank rozejrzał się po pomieszczeniu, poczuł coś dziwnego. Wydawało mu się, że obserwują go tysiące par oczu. Wtedy

zrozumiał dlaczego. Trzy z czterech ścian pomieszczenia zastawione były regałami. Na półkach w perfekcyjnych szeregach ustawiono stare porcelanowe lalki, po trzy na każdej z nich. Wyglądały na zupełnie nowe, lśniąć w świetle i wpatrując się w niego niemrugającymi oczami.

- Nie może jej pan nigdy znaleźć - powiedziała kobieta.

Część 3

Dom na farmie

Chicago

Maj 1982 r.

Frank Moore skręcił i przyspieszył, jadąc wzdłuż długiego traktu, po którego obu stronach rozciągały się pola świeżo zasianej kukurydzy. Obok niego, na fotelu pasażera, siedziała jego żona. W ten sobotni poranek słońce świeciło im w plecy i rzucało skośny cień auta na ciągnącą się przed nimi gruntową drogę. Przez większą część kwietnia padały deszcze, jednak na razie maj wykonywał doskonałą robotę, zapraszając na świat wiosnę, a wraz z nią słońce i kwiaty. Dla Franka i Marli Mooreów ta pora roku oznaczała również nadzieję.

- Jak znalazłeś tę rodzinę? - zapytała Marla.

- To długa historia. Zacząłem jednak poszukiwania już od dnia, kiedy się dowiedzieliśmy, że lista oczekujących jest aż tak długa. W ubiegłym tygodniu odebrałem telefon.

- I spotkałeś się z nimi beze mnie?

- Tylko po to, by się upewnić, że wszystko będzie zgodne z prawem. Tyle ostatnio przeszłaś w związku z... - Frank urwał. Wolał nie rozmawiać o poronieniach. Marla zawsze wpadała przy tym temacie w depresję, a ten dzień miał być radosny, nawet jeśli miałyby się w nim pojawić oszustwo. - Słyszałem historie o ludziach, którzy zostali oszukani finansowo, bo nie skorzystali z usług

formalnej agencji. Chciałem się upewnić, że w tym przypadku wszystko gra, zanim zaczniesz się ekscytować.

- A gra?

Frank milczał przez chwilę.

- Tak, wszystko jest w porządku.

- Jesteś pewny?

Frank popatrzył na swoją żonę.

- Jestem pewny.

Zobaczył, że Marla uśmiecha się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Godzinę później zatrzymali się przy domu na farmie. Nieruchomość otaczał biały, wysoki do pasa, drewniany płotek, który ciągnął się jak okiem sięgnąć.

- Gotowa? - spytał.

- To się dzieje naprawdę?

Frank pokiwał powoli głową.

- Naprawdę.

Skręcił na podjazd i przejechał kawałek po żwirze, aż w końcu zatrzymał samochód w tym samym miejscu, co zwykle. Upięknęło sześć miesięcy od dnia, kiedy zjawiał się tutaj po raz pierwszy. Po pewnym czasie stracił już rachubę, ile razy przyjechał do tego domu od dnia, w którym odkrył prawdę. Żałował, że nie ma więcej czasu, żeby wszystko ogarnąć, ale niezależnie od tego, jak długo by czekał, ich plan nigdy nie stałby się doskonały. Mógłby być niebezpieczny, może nawet katastrofalny. Ale doskonały? Nie ma mowy.

Przez kilka lat ich małżeństwa Frank nigdy nie okłamał Marli w żadnej kwestii, wkroczył w ten związek z założeniem, że nigdy niczego nie będzie przed nią ukrywał. Życie przynosi jednak czasami nieprzewidziane możliwości. Nieoczekiwane wezwania, które czynią

pewne wykroczenia przyjemnymi, kiedy los prosi o więcej, niż człowiek sądził, że w ogóle może dać.

Psy dobrze go już znały. Z radosnym poszczekiwaniem odprowadziły go na ganek, na który wszedł, ściskając w dłoni rękę żony.

Drzwi stanęły otworem i pojawiła się w nich uśmiechnięta kobieta.

- Marla?

Żona Franka przełknęła głośno ślinę i skinęła głową.

- Margaret?

- Och, nie, kochana. Nikt poza moją babką nie zwracał się do mnie w taki sposób. Mów do mnie Greta. - Rozsunęła siatkowe drzwi. - Zapraszam. Nie mogę się doczekać, aż ją poznasz.

Rozdział 26

Chicago, 30 października 2019 r.

Rory zabrała lalkę Kestner do domu opieki, gdzie Greta siedziała akurat na swoim fotelu. Po raz pierwszy od śmierci ojca Rory zobaczyła ciotkę poza łóżkiem. Kiedy na nią spojrzała, ogarnęło ją dziwne uczucie, a w jej głowie pojawiło się mnóstwo wspomnień - obrazów z długich weekendów spędzanych na farmie, kiedy poświęcała czas na naprawę porcelanowych lalek wraz z Gretą. Satysfakcji, którą poczuła Rory, gdy Greta pozwoliła jej po raz pierwszy samodzielnie postawić ukończoną lalkę na półce w pokoju na piętrze, nie dało się porównać z niczym innym, czego w życiu doświadczyła. Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, które zdiagnozowano u niej w wieku sześciu lat, zagroziły całemu jej dzieciństwu. Jednak w jakiś sposób, w pokoju na piętrze w domu ciotki Greta, Rory potrafiła zaopiekować się potrzebami własnego umysłu.

Praca nad lalkami eliminowała wszystkie uciążliwe żądania ze strony jej mózgu. Nawyki Rory, jak również przywiązywanie uwagi do perfekcji nie tylko zniknęły bez osądów czy trosk, kiedy pracowała wraz ze swoją ciotką, ale czas, który spędzała w pokoju na piętrze, całkowicie likwidował wszystkie zbędne i drobiazgowo czynności, które stawały się tak uciążliwe w jej życiu. Kiedy Rory odkryła to

magiczne miejsce, jej pozostałe dni stały się wolne od wymagań stawianych przez mózg. W dorosłym życiu Rory zgromadziła własną kolekcję i wykorzystywała wszystkie umiejętności, których nauczyła ją Greta. Kiedy ciotka zaczęła podupadać na zdrowiu, wyraziła się jasno, że pomieszczenie na piętrze stanowi własność Rory i że to ona ma zaopiekować się jej lalkami. Wszystkie one spoczywały teraz w domu Rory.

Teraz jednak jej dzieciństwo jawiło jej się całkiem inaczej. Nic już nie było takie samo, od kiedy Rory otworzyła skrytkę. Znalazła tam akt urodzenia, na którym Greta została wskazana jako jej matka, oraz dokumenty informujące o tym, że Frank i Marla Moore'owie byli jej rodzicami adopcyjnymi. Rory rozumiała tak niewiele, a pragnęła tylu odpowiedzi.

- Hej, staruszko - rzuciła na powitanie.

Greta zerknęła na Rory, po czym znów wbiła wzrok w ekran wyciszonego telewizora.

- Próbowałam cię ratować, ale było za dużo krwi.

Rory wzięła głęboki oddech, zła na siebie za niespodziewaną frustrację, którą wywołała w niej Greta. Chwila milczenia pozwoliła jej sobie przypomnieć, że ciotka tak samo nie potrafiła już kontrolować przypadkowych myśli, które pojawiały się w jej głowie, oraz towarzyszących im słów, jak Rory nie potrafiła kontrolować kichnięcia.

- On nadchodzi. Powiedziałaś mi. Ale jest za dużo krwi.

- Okej, już wszystko w porządku.

- On przyjdzie po ciebie. Ale musimy zatamować krwawienie.

Rory zamknęła na moment oczy. Nie prosiła o nic Greta już od wielu lat. Tak naprawdę na pewnym etapie życia ich role się odwróciły - Greta, niegdyś opiekunka panująca nad niepokojem

Rory, teraz była pacjentką, a to Rory uspokajała swoją babkę cioteczną podczas ataków takich jak ten. To, że Rory szukała odpowiedzi na pytania, których mogła jej udzielić wyłącznie Greta, nie zwalniało jej z konieczności opieki nad nią. Wzięła więc kolejny, uspokajający oddech i podeszła do fotela. Znała najlepsze remedium na chaos panujący w głowie ciotki. Identyczne z tym, które pomagało w dzieciństwie jej samej.

- Musimy dokończyć tę lalkę - oznajmiła. - Właściciel już się niecierpliwi. Obiecałaś, że jeszcze jedna powłoka i wystarczy.

Greta zamrugnęła na widok lalki, jakby ta przeniosła ją w czasie, z dala od pełnych udręki wspomnień z przeszłości, z powrotem do teraźniejszości. Wyciągnęła rękę w stronę lalki, a Rory nie spuszczała wzroku z tej kobiety, którą znała przez całe swoje życie. Jednak po tym, jak Celia dała jej klucz do skrytki depozytowej i po zapoznaniu się z jej zawartością zaczynała wątpić, czy jest tak na pewno. W końcu wyjęła lalkę Kestner z kartonu i ułożyła ostrożnie na udach Greta. Wyjęła z szafy zestaw naprawczy, który przyniosła tutaj kilka dni wcześniej, położyła pastelowe farby na stoliku na kółkach i przetoczyła go pod fotel ciotki.

- W świetle słonecznym - powiedziała Rory, wskazując lewy policzek lalki - odcienie zlewają się idealnie. W sztucznym wychodzą jednak pewne niedoskonałości, a w jarzeniowym jest jeszcze gorzej.

- Jeszcze jedna warstwa - oznajmiła Greta. - Potem wypoleruję nieuszkodzoną stronę, żeby dopasować ją do tamtej.

Rory usiadła na skraju łóżka i obserwowała ciotkę przy pracy. Widok Greta zajmującej się lalką natychmiast przeniósł ją do domu na farmie, do długich letnich dni i cichych nocy. Spędzała u niej każde lato swojego dzieciństwa. Jeśli w trakcie roku szkolnego jej dolegliwości stawały się nie do opanowania, rodzice Rory zabierali ją

wcześniej ze szkoły w piątek i zawozili na długi weekend na farmę. Na jej dolegliwości i niepokój nie było nigdy lepszego remedium niż wizyta na wsi i praca, którą tam wykonywała. Teraz, kiedy patrzyła na Gretę, uspokajające ją emocje, które odczuwała zazwyczaj podczas prac nad lalką, ustąpiły miejsca tysiącom pytań.

- Pracujesz? - zapytała Greta, wyrwując Rory z zamyślenia.

- Tak.

- Opowiedz mi.

Rory milczała przez chwilę. Już od wielu tygodni nie przeprowadziła z Gretą żadnej sensownej rozmowy. Dziś jednak jawiła się rzadko spotykana okazja, kiedy jej ciotka zdawała się mówić z sensem i spójnie.

- Ta lalka należy do nieżyjącej dziewczyny. - Pędzel znieruchomiał w dłoni Greta i kobieta spojrzała na Rory. - Zabito ją w ubiegłym roku. Jej ojciec prosił mnie o pomoc przy jej naprawie.

- Co jej się stało?

Rory zamrugła kilka razy, znów uświadomiwszy sobie dotkliwie, jak bardzo zaniedbała tę sprawę. Jakaś niewielka część niej obawiała się, że Ron Davidson będzie nią rozczarowany. Większa część obawiała się Waltera Byrda, który zaufał, że Rory pomoże znaleźć sensowne rozwiązanie w sprawie jego córki. Najbardziej jednak cierpiała na myśl o Camille Byrd, której duch wciąż czekał na Rory, błagając o bycie odnalezionym i o pomoc w drodze na miejsce właściwego spoczynku. Należało przenieść go z zamarzniętego grobu w Grant Park i ułożyć starannie tam, gdzie dziewczyna mogła znaleźć wieczny spokój.

Rory przypomniała sobie kolejny sen o martwej dziewczynie, w którym chodziła po parku i nie mogła jej dobudzić, kiedy ta leżała

bez życia na trawiastym pagórku. Rory skupiła wzrok, wracając do rzeczywistości. Greta wciąż na nią patrzyła.

- Nie wiem.

Ciotka siedziała tak jeszcze przez chwilę, po czym wróciła do przerwanej pracy. Godzinę później skończyła polerować i barwić policzek oraz czoło. Po raz ostatni odkurzyła twarzyczkę lalki, która teraz prezentowała się bez skazy.

- Greto - powiedziała Rory. - Ona jest absolutnie doskonała.

Przypomniała sobie głębokie pęknięcie biegnące przez lewy oczodół, gdy po raz pierwszy przyjrzała się lalce w bibliotece. Kiedy ułożyła ją poziomo, lewe oko zamknęło się w tym samym czasie, co prawe. Policzki pasowały do siebie, a szczelina rozpoczynająca się pod linią włosów i ciągnąca aż do policzka, całkowicie zniknęła.

- Lepiej się już nie da. Ojciec dziewczyny będzie zachwycony twoją robotą.

- Twoją również.

Greta popatrzyła na lalkę. Rory spojrzała na nią z niepokojem, obawiając się, że ciotka może znów wrócić do poprzedniego stanu i że pozostała część wizyty okaże się niepowodzeniem. Nagłe zmiany zachowania zdarzały się tak często, że nie robiły już na Rory większego wrażenia - w jednej chwili Greta potrafiła być obecna i świadoma, by w następnej zupełnie zniknąć.

Zamiast jednak spojrzeć w dal niewidzącym wzrokiem, Greta przemówiła:

- Przypomniały mi się czasy, kiedy byłaś dzieckiem.

Rory skinęła głową.

- Mnie również.

Greta się uśmiechnęła.

- Czasami się wydaje, że tamte lata były dosłownie wczoraj.

- Greto - powiedziała Rory, wstając z łóżka. Podeszła bliżej. - Dlaczego moi rodzice tak często mnie do ciebie przywozili? Dlaczego każde lato mojego dzieciństwa spędzałam w domu na farmie?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym Greta oderwała wzrok od lalki Kestner i spojrzała na Rory.

- Byłaś nerwowym dzieckiem, a w moim domu odnajdowałaś spokój.

Rory nie mogła się kłócić z tym faktem. Cały niepokój nagromadzony w ciągu wielu dni, unoszący się jak poranna mgła nad taflą jeziora, zupełnie zniknął, kiedy przebywała w domu na farmie. Teraz jednak rozumiała, że była jeszcze jedna przyczyna takiego stanu rzeczy.

- Czy czas, który z tobą spędzałam, wynikał z jakiejś umowy? Z czegoś, co ustaliłaś z Frankiem i Marlą? - Greta zamrugała, ale nie odpowiedziała. Znowu popatrzyła na lalkę leżącą na jej udach. - Znalazłam dokumenty, Greto. Ojciec miał w banku skrytkę depozytową, w której je przechowywał. Mój akt urodzenia. Dokumenty adopcyjne.

Rory patrzyła w milczeniu na ciotkę Gretę przez pełną minutę, dając jej czas, by kobieta zrozumiała, co tak naprawdę się wydarzyło. Miała ochotę naciskać, żeby uzyskać odpowiedzi. Chciała usłyszeć prawdę z ust jedynej żyjącej osoby, która była w stanie ją przekazać. Zauważyła jednak, że wzrok Grety ucieka gdzieś w dal, może celowo. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że był to wynik zamyślenia na moment przed tym, jak demencja skierowała umysł ciotki gdzieś w dalekie odmęty.

Patrząc na Gretę, Rory wyczuła u niej tęsknotę, którą znała przez całe życie. Kobieta, która uratowała jej dzieciństwo przed latami

udręki. Kobieta, o której zawsze myślała jak o swojej babce ciotecznej, a której tożsamość okazała się zupełnie inna. Skojarzyło się to jej z doskonale zastawionym stołem, kiedy ktoś nagle szarpie za obrus. Wszystko przewracało się zbyt szybko, by to uratować. Rory zobaczyła to w jej oczach. Było to uczucie smutku, że praca nad lalką Kestner już się zakończyła. To był kanał łączący ją z przeszłością, z letnimi wakacjami i weekendami, kiedy dziewczynka nawiązywała trwałą relację i nierozzerwalną więź z kobietą w średnim wieku, którą znała jako swoją ciotkę.

- Żałuję, że nie mogłam cię uratować tak łatwo jak Rory i lalki - powiedziała Greta i spojrzała na ekran telewizora.

- To ja jestem Rory. Greto? Słyszysz mnie?

- Tak. Ukryjemy cię. On przyjdzie, jak sama powiedziałaś. Próbowałam cię ratować, ale było za dużo krwi.

Rory zamknęła na moment oczy. Greta odeszła. Wizyta dobiegła końca. Wstała, zabrała lalkę z jej ud i włożyła ją ostrożnie do kartonu.

Chicago

Maj 1982 r.

Frank i Marla siedzieli naprzeciw siebie na sofie. Wizyty od miesiąca składali w każdy weekend - w każdą sobotę i niedzielę wyjeżdżali do Peorii, żeby spędzić ten czas na farmie Greta Schreiber i poznać lepiej dziecko. Dziewczynka właśnie spała. Marla dopiero co skończyła czytać Dobranoc, księżycu, trzymając maleństwo na rękach. Był to rytuał, który zdążyła już bardzo polubić, Frank dostrzegł to od razu. Marla nie chciała odłożyć dziecka do łóżka i godziła się na to dopiero wtedy, gdy Greta proponowała rozmowę na temat przyszłości.

Frank wiedział, że pierwsza część jego planu się powiodła - żona związała się emocjonalnie z dziewczynką. Był to bardzo istotny element jego strategii. Opoka, którą należało ułożyć, żeby zadziałało wszystko inne. Teraz, kiedy dziecko zasnęło, Frank zamierzał złożyć żonie propozycję. Był jednak przekonany, że charakter wymyślonego przez niego rozwiązania sprawi, iż Marla odbierze je jako zbyt dobre, żeby było prawdziwe, i zbyt oburzające, żeby było możliwe do zrealizowania.

- Żeby to zadziałało - Frank zwrócił się do Greta - Marla musi poznać całą prawdę. Jeśli mamy tak postąpić, to nie ma mowy o jakichkolwiek tajemnicach. Będziemy pomagać w każdy możliwy

sposób, masz na to moje słowo. Znam dużą część tej historii, ale nie jej całość. Chcę, żeby moja żona dowiedziała się o wszystkim. Zaczynij, proszę, od początku, żebyśmy wszyscy byli na bieżąco.

Greta pokiwała głową. Od momentu, gdy Frank postawił stopę w progu jej domu ubiegłej jesieni, jej włosy stały się nieco bardziej siwe. Prawdopodobną przyczyną takiego stanu rzeczy było brzemię, które wciąż nosiła.

- Jestem pielęgniarzką - zaczęła Greta. Zwracała się do Marli, bo Frank znał już tę część opowieści. - Pracuję w miejscowym szpitalu jako położna. Chodzę też na wizyty domowe do pacjentek, które zdecydowały się na naturalny poród we własnym otoczeniu. Doradzam też młodym kobietom w Bayer Group.

- Zakład psychiatryczny dla młodzieży Bayer Group - wyjaśnił Marli Frank.

Jego żona pokiwała głową, jakby to wszystko miało dla niej jakikolwiek sens. Wiedział, że myślała wyłącznie o dziecku i o możliwości, że mogłoby należeć do nich.

- Pracuję z dziewczętami z Bayer Group, które są w ciąży lub które wcześniej były w ciąży. Doradzam im, czego mogą się spodziewać. Robię to już od wielu lat. To właśnie podczas jednej z takich wizyt poznałam Angelę Mitchell. Miała wtedy siedemnaście lat.

Marla oderwała wzrok od kołyski.

- Kogo?

- Angelę Mitchell - powiedział Frank.

Marla popatrzyła na męża. Zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło.

- Tę dziewczynę, którą zamordowano kilka lat temu? Tę z lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego?

Frank przytaknął, a Marla przechyliła lekko głowę.

- Twoja kancelaria reprezentuje Thomasa Mitchella - zauważyła. - Pracujesz nad jego apelacjami.

- Tak - przyznał Frank, chwytając Marłę za rękę. - Mówiłem, że musimy poznać całą historię, zanim wykonamy krok naprzód. Dlatego tutaj jesteśmy.

Frank popatrzył uważnie na żonę, upewniając się, że jest gotowa na wszystko, co miało nastąpić. W końcu skinęła głową. Oboje przenieśli spojrzenia na Gretę.

- Angela przebywała w Bayer Group przez siedem miesięcy, kiedy miała siedemnaście lat. To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. - Greta pokręciła głową. -Aż trudno uwierzyć, że minęło już piętnaście lat. Kiedy jeździłam do Bayer Group na spotkania z pacjentkami, zauważyłam tę introwertyczkę, która siedziała samotnie w kącie sali. Pewnego dnia podeszłam do niej, nie jako pielęgniarka czy doradca, ale ze zwykłej troski. Miałam nadzieję, że dzięki temu poczuje się choć przez chwilę mniej samotna.

- Cześć - powiedziała Greta i usiadła naprzeciw milczącej dziewczyny, która zawsze przebywa/a w odosobnieniu.

Dziewczyna nawet na nią nie spojrzała, w ogóle nie zareagowała na jej obecność.

- Jestem Greta i pomagam tutaj jako pielęgniarka.

To sprawiło, że dziewczyna rzuciła jej szybkie spojrzenie, po czym znów utkwiała wzrok w swoich nogach.

- Nie przyjmuję leków - odparła. - Nie obchodzi mnie, kim pani jest ani jak bardzo udaje pani miłą.

- Och, nie jestem psychiatrą. Pracuję z tutejszymi dziewczętami, rozmawiam z nimi o przyszłości. - Greta pochyliła się nieco bliżej. - Czy oni dają ci jakieś leki, których nie chcesz brać?

- Tak - odparła dziewczyna.

Greta rozejrzała się dookoła. W sali był włączony telewizor i kilka dziewcząt siedziało stłoczonych na sofie przed ekranem. Poza nimi nie było tam nikogo innego.

- Co oni ci podają? Może mogłabym z kimś porozmawiać?

Dziewczyna uniosła głowę. Greta dostrzegła w jej oczach strach i niewielki ognik nadziei na myśl o tym, że ktoś mógłby jej pomóc.

- Lit. Przez niego jestem śpiąca i mam głupie sny. Czasami śnię nawet wtedy, kiedy wcale nie śpię.

- To się nazywa halucynacjami i jest skutkiem ubocznym przyjmowania litu. - Greta przysunęła się jeszcze bliżej. - Mówiłaś o tym lekarzowi?

- Tak, ale jego to w ogóle nie obchodzi. Oni chcą tylko, żebym spała i była odurzona.

- Kiedy mówisz „oni”: to kogo masz na myśli?

- Moich rodziców i lekarzy. - Dziewczyna spojrzała na Gretę. - Pomoże mi pani? Nikt inny tutaj nie chce mi pomóc.

Greta wyciągnęła rękę i ujęła dłoń dziewczyny. Ta z początku próbowała ją wyszarpnąć, ale po chwili zacisnęła na niej palce.

- Jak masz na imię, kochana?

- Angela.

- Pomogę ci, Angelo. Znajdę sposób, żeby ci pomóc.

Rozdział 27

Chicago, 1 listopada 2019 r.

Rory siedziała w swoim gabinecie, obserwowana przez Camille Byrd, której zdjęcie było zawieszone na tablicy korkowej. Na biurku przed sobą miała dokumenty ze skrytki depozytowej ojca. Wpatrywała się w papiery adopcyjne tak długo, że aż wszystko się jej rozmazało przed oczami. Jej umysł zaczynał pracować w niezdrowy sposób, którego Rory zawsze starała się unikać. Zaczęły do niego napływać zbędne rozważania, niepozwalające jej myśleć jasno, a ona walczyła z nimi, jak zapędzone w róg zwierzę. Doskonale знаła konsekwencje wynikające z poddania się owym myślom. Odepchnęła od siebie tę udrękę i zrzuciła dokumenty na podłogę. Następnie wróciła do papierów, które znalazła w sejfie ojca, i zaczęła przekładać listy do komisji zwolnień warunkowych. Przeczytała rozciągające się na całe lata wnioski o apelację, składane przez jej ojca, kiedy był młodym prawnikiem w kancelarii Garrison Ford. Analizowała kontrargumenty, które zbijały argumenty prokuratury, uznawane przez jej ojca za oparte wyłącznie na poszlakach. Przeczytała sporządzony przez ojca opis Angeli Mitchell, w którym przedstawiał ją jako nadużywającą leków autystyczną kobietę, niedopasowaną do społeczeństwa i niepotrafiącą dostosować się do panującej wokół niej rzeczywistości.

Rory próbowała przekonać samą siebie, że leżące przed nią papiery stanowiły jedynie próbę wywiązania się ze złożonego przez ojca zobowiązania polegającego na ochronie wszystkich tych, którzy oczekiwali jego pomocy. Jednak to, co znajdowała w dokumentach, zupełnie temu zaprzeczało.

To, na co początkowo zwróciła uwagę, było bardzo subtelne. Zamaskowane w takim stopniu, że Rory nie miała wątpliwości, iż każda inna osoba by to po prostu przeoczyła. Chodziło o zmianę tonu wypowiedzi. Rory dostrzegła ją, kiedy czytała wnioski apelacyjne ojca. Sformułowane argumenty zmieniały się na przestrzeni lat, nawet jeśli treść i fakty zawarte w listach pozostawały takie same. Rory uznała, że może po wielu latach niepowodzeń ojciec stracił nieco zapału do obrony Thomasa Mitchella. Może po dwóch dekadach braków efektów poddał się i stwierdził, że żadna kolejna apelacja już niczego nie zmieni. Rory nie mogła jednak się powstrzymać od myśli, że może po prostu działo się coś innego. Może pisanie przez ojca tych apelacji służyło czemuś zupełnie odmiennemu. Może jej ojciec nigdy nie chciał, żeby Thomas Mitchell opuścił więzienie.

Nalała sobie kolejną szklanicę Dark Lorda i czytała dalej.

Chicago

Maj 1982 r.

Dziecko nadal spało, kiedy Greta kontynuowała swoją opowieść o Angeli Mitchell i o tym, jak się poznały. Frank i Marla Moore'owie słuchali jej, siedząc na sofie. Teraz obserwowali, jak Greta nalewa kawę do filiżanek.

- Już tego pierwszego dnia, kiedy rozmawialiśmy w kącie sali w Bayer Group, wcisnęłam Angeli w dłoń numer mojego telefonu. Była na tym świecie zupełnie sama i nie mogła się zwrócić do nikogo, nawet do swoich rodziców. Musiałam jej pomóc. Rozmawiałam zarówno z jej lekarzem, jak i z dyrektorem zakładu. Mój szef w szpitalu znał wtedy dobrze tamtejszego dyrektora medycznego i po niewielkich naciskach udało mi się zaangażować w nieco większym stopniu rodziców Angeli oraz odstawić jej lit. Trwało to kilka tygodni, podczas których widywałyśmy się regularnie. Nie w sposób formalny, ale. .. cóż, pewnie można by nas określić mianem przyjaciółek.

Greta usiadła na sofie i upiła łyk kawy. Spojrzała na Franka.

- I w taki właśnie sposób mnie znalazłeś. Dzięki mojej przyjaźni z Angią. Kiedy skończyła osiemnaście lat, nie mogli już dłużej trzymać jej w zakładzie, chyba że sama zdecydowałaby się zostać. Nie zdecydowała się. Zadzwoiła do mnie i poprosiła, żebym po nią przyjechała. Naciskałam, żeby porozmawiała z rodzicami, ale tamta

relacja była zbyt zniszczona, żeby cokolwiek naprawiać. Zgodziłam się więc. Wypisała się z Bayer Group, a moje nazwisko znalazło się w dokumentach jako nazwisko osoby, która ją odebrała. Teraz mogę powiedzieć, że to był nasz jedyny błąd. Zabrałam Angelę tutaj, na farmę. Została na rok, pracując i odkładając pieniądze, aż zgromadziła ich wystarczająco dużo, żeby ruszyć w dalszą drogę. Kiedy skończyła dziewiętnaście lat, wyjechała do miasta. Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Znalazła pracę i jakoś się tam odnalazła. Często do mnie dzwoniła. Skontaktowała się nawet po to, żeby mnie poinformować, że poznała mężczyznę. Niestety tym mężczyzną był Thomas Mitchell.

Greta znów napiła się kawy.

Marla i Frank siedzieli na skraju sofy. Marla słuchała z uwagą, a Frank wyczuł, że po raz pierwszy zaczynała łączyć ze sobą fakty.

- A więc pozostawałyście w kontakcie? - zapytał tylko po to, żeby popchnąć opowieść naprzód.

- Nie do końca - odparła Greta. - Przez pewien okres. Przez kilka lat dzwoniła raz na jakiś czas, żeby poinformować mnie, jak sobie radzi. Powiedziała, że jej rodzice przeprowadzili się do St. Louis, że znalazła pracę, że ma swoje mieszkanie. To było bardzo budujące. Zawsze proponowałam jej, żeby wpadła na farmę w odwiedziny. Ale wtedy poznała Thomasa i przestała się odzywać. Mijały lata, a ja w ogóle nie słyszałam jej głosu.

Greta znów przerwała i przysunęła filiżankę do ust. Odstawiła ją na spodeczek i popatrzyła na Marłę i Franka.

- Potem nadeszło lato siedemdziesiątego dziewiątego, a ja oglądałam wiadomości.

- O zniknięciu Angeli? - zapytała Marla.

- Tak. Kiedy zobaczyłam jej zdjęcie w telewizji, myślałam, że pęknie mi serce. A kiedy gruchnęła wieść, że to jej mąż jest odpowiedzialny za wszystkie te porwane latem kobiety, poczułam, że zawiodłam Angelę. Tak bardzo się starałam, żeby jej pomóc, już od pierwszego dnia, kiedy zobaczyłam ją skuloną w kącie w zakładzie. Tak bardzo się ze sobą zżyłyśmy. A potem, tak prostu, pozwoliłam jej odejść. Pozwoliłam jej oddalić się do zupełnie obcego świata. Kiedy usłyszałam, co się z nią stało, przytłoczyło mnie ogromne poczucie winy, że nie zrobiłam nic więcej, żeby trzymać nad nią pieczę. Przez te dwa dni serce bolało mnie w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłam.

- Przez jakie dwa dni? - zapytała Marla.

Greta spojrzała na Franka, a ten skinął głową. Frank Moore był całkowicie przekonany, że jego żona powinna o tym wszystkim usłyszeć.

Greta Schreiber siedziała w swojej pracowni w pokoju na piętrze. Półki przy ścianach udekorowane były starannie ułożonymi, porcelanowymi lalkami. Dwa dni wcześniej, tuż po tym, jak w wiadomościach poinformowano o wydarzeniach w Chicago, rozpoczęła nowy projekt. Angela, dziewczyna, z którą przed laty nawiązała przyjaźń w zakładzie Bayer Group, i która spędziła cały rok na farmie po swoich osiemnastych urodzinach, zniknęła, a opinia publiczna uważała, że padła ofiarą mężczyzny zwanego Złodziejem. Kiedy Greta usłyszała po raz pierwszy, że ten człowiek mógł być mężem Angeli, przez pół nocy krążyła nerwowo po kuchni. Teraz leżąca przed nią, uszkodzona lalka pozwoliła jej skupić na sobie uwagę, czego bardzo potrzebowała. Pęknięcie wzdłuż linii włosów, które ciągnęło się aż za ucho i do nasady szczęki, wymagało na tyle

dużego skupienia, że kiedy zajęła się pracą, nie myślała o dziewczynie, którą niegdyś poznała.

Jakiś odgłos zaburzył jej skupienie. Usłyszała chrzęst samochodowych opon na żwirze na podjeździe, do którego prowadził trakt ciągnący się aż do głównej szosy. Greta wstała, podeszła do okna i odsunęła firankę. Zobaczyła srebrnego sedana, który podjeżdżał pod dom, i szarą chmurę pyłu, którą wcześniej wzbudził. Tubs i Harold zaszczekały i zaczęły krążyć niecierpliwie wokół pojazdu.

Została przy oknie, obserwując zbliżający się pojazd, i dopiero kiedy sobie uświadomiła, że samochód już stoi i nikt z niego nie wysiada, oddaliła się od okna i zeszła pospiesznie na parter. Po chwili otworzyła frontowe drzwi i wyszła na ganek. Auto wciąż znajdowało się przed jej domem, a kierowca siedział za kierownicą. W przedniej szybie samochodu odbijało się błękitne niebo i rosnące wokół klony, co uniemożliwiało jej rozpoznanie nieoczekiwanego gościa. W końcu Greta doczekała się momentu, w którym drzwi samochodu się otworzyły. Wsiadła z niego szczupła kobieta ubrana w bluzę z kapturem, która zwisała z niej jak z wieszaka. Uniosła ręce i odsunęła kaptur na plecy.

- Słodki Jezu - wymamrotała Greta, zeskakując po stopniach ganku. Podbiegła do niej i uściskała ją mocno.

- Potrzebuję twojej pomocy. - Usłyszała wypowiedziane do ucha słowa.

Greta cofnęła się o krok i ujęła policzki Angeli w swoje dłonie. Wyglądała, jak ktoś, kto cierpi na łysienie plackowate. Brakowało jej brwi, a rzęsy na powiekach widoczne były jedynie w niewielkich kępkach. Na szyi miała widoczne ślady zadrapań, które ciągnęły się aż do karku. Greta natychmiast przypomniała sobie jej podobny

wygląd, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy w zakładzie, jednak obecna wersja była dużo bardziej koszmarna.

- Musimy zadzwonić na policję. Wszyscy myślą, że nie żyjesz.

- Nie. Żadnej policji. Nie możemy o tym nikomu powiedzieć. On nigdy nie może nas znaleźć. Obiecuj mi, Greto. Obiecuj, że nigdy nie pozwolisz na to, żeby nas znalazł.

Rozdział 28

Chicago, 1 listopada 2019 r.

Rory odsunęła pisma apelacyjne na bok i przysunęła sobie stosik z wypisanym nazwiskiem Angeli Mitchell na górze. Znajdowała się tam kronika prowadzonych przez jej ojca poszukiwań kobiety, która zaginęła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Rory czytała jej treść tego ranka, kiedy Celia znalazła ją w gabinecie ojca. Zerknęła na nazwiska osób, z którymi kontaktował się jej ojciec, a Celia zjawiała się z kluczem do skrytki depozytowej.

Rory wyrzuciła całą resztę z głowy - czyli myśl, że jej ojciec próbował w subtelny sposób zatrzymać Thomasa Mitchella w więzieniu - i skoncentrowała się wyłącznie na tym, co miała przed sobą. Widok dokumentu potwierdzającego, że ojciec poszukiwał Angeli Mitchell, miał w sobie coś złowrogiego. Sporządzone przez Catherine Blackwell notatki nie pozostawiały wątpliwości, że była to prawda, choć jakaś część umysłu Rory nadal próbowała to wyprzeć. Teraz, kiedy patrzyła na notatki spisane przez nieżyjącego ojca, nie mogła tej prawdzie dłużej zaprzeczać. Ta kobieta wciąż gdzieś przebywała.

Rory przeczytała o wyjeździe jej ojca do St. Louis, kiedy zamierzał porozmawiać z rodzicami Angeli. Przeczytała o wizycie w domu Catherine Blackwell w północnej części Chicago. O podróży do

zakładu psychiatrycznego, w którym Angela przebywała jako nastolatka. Rory analizowała wszystkie zapiski ojca dotyczące jego prywatnego śledztwa z rosnącym pragnieniem poznania szczegółów. Obracała w ferworze strony, aż dotarła do nazwiska pielęgniarki - tej samej pielęgniarki, która wywiozła Angelę Mitchell z zakładu w jej osiemnaste urodziny. Pole widzenia Rory zawęziło się, aż zatańczyły przed nią jak w kalejdoskopie dziwne obrazy, kiedy spojrzała na nazwisko kobiety: Margaret Schreiber.

Rory miała problemy z oddychaniem. Jej płuca wypełniła panika i chaos, nie była w stanie napęlić ich powietrzem ani opróżnić. Ojciec poszukiwał Angeli Mitchell, odtwarzając jej życie i badając przeszłość. Cofnął się w tym celu aż do zakładu psychiatrycznego dla młodzieży, gdzie Angela zaprzyjaźniła się z kobietą, uważaną przez Rory przez całe życie za swoją babkę cioteczną, a której tożsamość zatarła się po przeczytaniu treści aktu urodzenia i dokumentów adopcyjnych. Rory wciąż usiłowała wyprzeć te informacje z głowy. Jej zmieszanie można było zrzucić na karb tego wyparcia, ale wiedziała podświadomie, że to coś znacznie większego. Potrafiła przecież w mistrzowski sposób dostrzegać detale, które pomijali inni. Potrafiła analizować w najdrobniejszych szczegółach różne sprawy i rekonstruować obraz zdarzeń, który był niewidoczny dla innych. Odkrywając powiązanie między Gretą i Angelą, wprowadziła swój umysł w stan chaosu. W mostku czuła silny ucisk, który przypominał wrzącą w kraterze dawno uśpionego wulkanu lawę. Rory nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni doznała takiego ataku paniki. Z pewnością w czasach dzieciństwa, na długo przed tym, jak poznała uzdrowicielską moc pomieszczenia na piętrze w pokoju Grety.

Przełknęła resztkę Dark Lorda z nadzieją, że ciecz fizycznie splucze jej narastający strach i że alkohol przytępi jej zmysły. Podbiegła do lodówki i otworzyła następne piwo. Stojąc w ciemnej kuchni, przysunęła szyjkę butelki do ust i w kilku łykach pochłonęła połowę jej zawartości. Chwiejąc się lekko od zawrotów głowy, poszła do swojej pracowni i zapaliła światła. Wbiła wzrok w porcelanowe lalki na regałach. Pomieszczenie było doskonałą repliką pokoju z domu na farmie, liczyła więc na to, że widok odrestaurowanych lalek rozwieje nieco panikę, która rozchodziła się po całym jej ciele niczym wirus.

Rory musiała koniecznie zaprzątnąć czymś myśli - niekoniecznie Gretą czy rodzicami oraz ich powiązaniem z Angelą Mitchell. Dopiero co zakończyła naprawę lalki należącej do Camille Byrd i nie miała niczego konkretnego w planach. Otworzyła skrzynię stojącą w kącie pokoju i wyjęła z niej lalkę, którą kupiła jakiś czas temu na aukcji. Była podniszczona i jej naprawa wymagała dużego wysiłku i wysokich umiejętności. Rory usiadła przy biurku i zaczęła analizować uszkodzenia, ale jej umysł nie zamierzał złapać przynęty. Myśli związane z zakresem prac nad lalką wciąż były spychane na bok przez odkrycie mówiące o tym, że Greta знаła Angelę. Jej zwyczajowa metoda radzenia sobie z paniką wydała się nagle bezskuteczna.

Wyszła z pracowni, zabrała następne piwo i poszła do samochodu. Uruchomiła silnik, włączyła reflektory i odjechała od krawężnika, rozświetlając ciemne i puste uliczki Chicago. Prowadziła, nie myśląc o niczym. Adres znała dzięki dokumentom. Miejsce docelowe znajdowało się w północnej części miasta. Wybierała boczne uliczki i próbowała kontrolować prędkość. Nie była w stanie skoncentrować uwagi na jeździe po tylu piwach i przy wciąż uciekających gdzieś

myślach. Dwadzieścia minut później zaparkowała przed domem, w którym Angela Mitchell mieszkała w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Domy były tu stłoczone, a na całej przecznicy panowały cisza i mrok, który rozjaśniały jedynie lampy na werandach.

Rory wpatrywała się w dom przez kilka minut, czując silne powiązanie, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się o Angeli Mitchell. Między nią a tą kobietą nawiązała się pewna relacja, taka sama jak w przypadku rekonstruowanych przez nią przypadków morderstw. Rory czuła się zobowiązana, by ją odnaleźć, powiedzieć jej, że istnieje ktoś, kto rozumie jej walkę i jej ból.

Odjechała spod domu i po chwili skręciła w alejkę na jego tyłach. Niewielki ogród odseparowany był od ulicy ogrodzeniem z siatki. Na alejkę wychodził jedynie oddzielny garaż. Rory wysiadła z samochodu i stanęła przed bramą. Spojrzała na dom od tylnej strony. Zastanawiała się, jakie wydarzenia miały tutaj miejsce przed laty i w jaki sposób wiązały się one ze wszystkimi najważniejszymi ludźmi w jej życiu.

Światła samochodu rzucały cień w alejce, malując jej wydłużone nogi w postaci odwróconej litery „V”. Kiedy Rory tak wpatrywała się w swój cień, wyczuła coś w głębi siebie, coś, co próbowało zwrócić jej uwagę. Nie była w stanie zidentyfikować tego uczucia ani wskazać, dlaczego widok jej cienia wywołał takie odczucia, dopóki nie uświadomiła sobie, że reflektory rzucały cień w sposób przypominający literę „A” Thomasa Mitchella, którą swoim perfekcyjnym pismem stawiał jako literę pozbawioną poziomej poprzeczki, wyglądającą jak „A”. Wtedy ją oświeciło. Stojąc w alejce i patrząc na swój cień, uświadomiła sobie, że przyjechała nie tylko do domu Angeli Mitchell, ale również Thomasa Mitchella. Odkrycie to

sprawiło, że skurczyły się jej płuca i po chwili zaczęła gwałtownie oddychać. Mimo wszystko jednak Rory nie potrafiła zrozumieć przyczyny swojej wizji. Stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym Angela Mitchell stała czterdzieści lat wcześniej, równie zdeterminowana, by odkryć, co przydarzyło się kobietom zaginionym tamtego lata.

Nad tylnym wejściem zaświeciło się światło i zwróciło uwagę Rory. Po chwili rozjaśniło się również okno w kuchni. Ktoś otworzył drzwi.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - zawołał mężczyzna od progu.
- A może mam zadzwonić po gliny i zapytać, czy to oni mogą w czymś pani pomóc? Albo podejść bliżej i skorzystać z prawa wynikającego z drugiej poprawki, skoro wchodzi pani na teren mojej nieruchomości?

Zaskoczona tą niespodziewaną konfrontacją, Rory odwróciła się i wróciła pospiesznie do samochodu. Jej cień znikł.

- Wynoś się stąd! - Usłyszała jeszcze krzyk mężczyzny, kiedy usiadła za kierownicą. Zawróciła w ciasnej alejce, potracając przy okazji kontener ze śmieciami.

Chicago

Maj 1982 r.

Frank i Marla siedzieli nadal na sofie, a Greta kontynuowała swoją historię. Marla pochyliła się do przodu i zadała kolejne pytanie:

- Angela Mitchell nie została zamordowana przez swojego męża?

- Nie - odparła stanowczo Greta. - Zamordowałby ją jednak, gdyby nie uciekła.

Marla zerknęła przelotnie na męża, po czym ponownie przeniosła spojrzenie na Gretę.

- Co się z nią stało?

Greta się zawahała.

- Gdzie ona jest, Greto? I co to wszystko ma wspólnego z naszą adopcją?

Kobieta pokręciła głową i zerknęła na Franka, który skinął przyzwalająco głową.

- Musimy wiedzieć o wszystkim, Greto. Obiecałem ci pomóc, ale oboje musimy usłyszeć całą historię.

Greta upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę na spodek.

- Kiedy Angela opowiedziała mi o wszystkim, wiedziałam, że nie ma odwrotu.

Dwa dni po tym, jak Angela pojawiła się na jej podjeździe, Greta pojechała nad zbiornik, który znajdował się w odległości niecałych

dwóch kilometrów od farmy. Angela podążała za nią swoim samochodem. Zaczekały do zmroku, aż letnie niebo przybrało barwę lawendy, a chmury ukryły resztki zachodzącego słońca, czerwieniejąc w przepiękny sposób. Zrobiło się wystarczająco ciemno, żeby poczuły się bezpiecznie, ale wciąż na tyle jasno, by mogły widzieć, co robią. Greta zaparkowała w odległości stu metrów od zbiornika, po czym usiadła na siedzeniu pasażera w aucie Angeli w celu pokonania ostatniego odcinka drogi. Angela zatrzymała samochód na polanie, tuż przy skraju osuwiska prowadzącego wprost do wody. Obie kobiety wysiadły.

Greta rozejrzała się dookoła, chcąc mieć pewność, że nie ma w pobliżu żadnych świadków, po czym sięgnęła ręką do wnętrza samochodu i zwolniła hamulec ręczny. Stanęły przy tylnym zderzaku, zaparły się stopami o ziemię i zaczęły pchać. Kiedy przednie koła znalazły się na pochyłości, pozostałą pracę wykonała za nie grawitacja. Greta i Angela obserwowały, jak samochód stacza się do zbiornika i znika pod powierzchnią wody. Odczekały dziesięć minut, aż na tafli przestały się pojawiać bąbelki powietrza. Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, wróciły do samochodu Grety.

Po drodze na farmę Greta spojrzała na Angelę.

- Który to miesiąc?

- Nie jestem pewna.

- Wymiotujesz?

- Tak - odparła Angela. - Od paru tygodni. Dopóki nie porozmawiałam z lekarzem, myślałam, że to z powodu zdenerwowania.

- Okej - rzuciła Greta. - Czyli miesiąc albo dwa. To znaczy, że urodzisz na wiosnę. Nie będzie żadnego problemu z porodem w

domu. Robiłam to już dziesiątki razy. Problemem będzie jedynie utrzymanie ciebie i dziecka w ukryciu. Będziemy musiały dopełnić formalności. Nawet gdybyśmy teraz pominęły tę procedurę, dziecko i tak musiałoby w końcu pójść do szkoły i prowadzić dalsze życie. Ciebie będę w stanie ukryć, przynajmniej przez pewien czas. Wszyscy uważają, że nie żyjesz. Kiedy jednak urodzisz, będziemy musiały ustalić jakiś długoterminowy plan. Ukrycie przed światem dziecka jest praktycznie niemożliwe.

- On nie może się nigdy dowiedzieć, że ma dziecko, Greto. Obiecuj mi, że tego dopilnujesz.

Greta skinęła powoli głową. Nie wiedziała, jak mogła się zgodzić na coś praktycznie niemożliwego, ale mimo to powiedziała:

- Obiecuję.

Rozdział 29

Chicago, 1 listopada 2019 r.

Rory zatrzymała samochód przed swoim domem, wjeżdżając prawymi kołami na krawężnik. Weszła po stopniach, otworzyła drzwi wejściowe i skierowała się wprost do sypialni. Nie spodziewała się aż tak silnego ataku, ale zdawała sobie sprawę z niszczycielskich efektów, które może on przynieść, jeśli się go nie opanuje. Opadła na łóżko. Pośród szumów i natłoku myśli w jej głowie - spowodowanego odkryciem, że rodzice zachowali jej adopcję w tajemnicy, że ciotka Greta nie jest tak do końca tą osobą, za którą przez całe życie ją brała, oraz świadomością, że następnego dnia miała stanąć przed sędzią Boyle'em i komisją zwolnień warunkowych w sprawie Thomasa Mitchella -słyszała nieustające nawoływanie Angeli Mitchell.

Nie dość, że kłębiła się w niej niewyobrażalna panika, to jeszcze doszła do tego ta tajemnicza kobieta, która wydawała się w jakiś sposób związana ze wszystkimi ludźmi, których Rory kochała w swoim życiu. Było to pragnienie rozwiązania zagadki, któremu nie potrafiła się przeciwstawić. Przypominało jej o czasach dzieciństwa, kiedy odczuwała podobne emocje. Wepchnęła głowę między poduszki i docisnęła je mocno do uszu, żeby stłumić dochodzące ze środka niej samej szepty.

Rory pracowała teraz nad własnym oddechem. Zamknęła oczy i skoncentrowała myśli. Było to działanie, które miało na celu opanowanie ataków. Próbowwała przypomnieć sobie wszystkie swoje sztuczki. Ćwiczenia oddechowe, które zawsze przenosiły ją na rozstaje dróg. Po jednej stronie znajdowała się niespokojna noc, w trakcie której jej umysł nie zazna spokoju, z szalonymi i dręczącymi ją myślami niepozwalającymi usnąć. Po drugiej stronie była wizja spokojnego snu i możliwości wyciszenia mózgu, w którym myśli mogłyby płynąć w sposób uporządkowany, zamiast kłębić się w chaosie.

Przez trzydzieści minut koncentrowała się na oddychaniu, wyrzucając z głowy wszystkie zbędne myśli poza obrazem rozszerzających się i kurczących płuc. W końcu skręciła w tę spokojną odnogę, a jej oddech zmienił się na głęboki i rytmiczny.

Rory obudziła się w sypialni w starym domu na farmie.

Zdarzało się jej to co pewien czas. Kilkakrotnie każdego lata. Ciotka Greta kładła ją do łóżka, przytula/a na dobranoc i gasiła światła.

- Zapamiętaj - powiedziała, stojąc w progu. - Nic nie zdoła cię wystraszyć, jeśli nie pozwolisz na to, żeby cię wystraszy/o.

Greta zamknęła drzwi do sypialni i Rory spokojnie zasnęła, jak zawsze się to jej udawało podczas pobytów w domu na farmie, gdzie niepokój i strach nie były w stanie jej odnaleźć. Rory spała zwykle bez budzenia się aż do samego rana. Tej nocy przebudzi/a się jednak na kilka godzin przed nastaniem świtu, a jej ciało wypełnia/a energia, która wywoływała dziwne wibracje w piersi, głowie, palcach dłoni i stóp. Rory dosłownie drżała od nagromadzonej w niej siły i odczuwała ogromne pragnienie eksplorowania. Emocje te sprawiły, że przewraca/a się w łóżku z boku na bok. Przez pierwszych kilka

razy, kiedy doświadczy/a tego dziwnego zjawiska, Rory próbowała z nim walczyć. Kopała kołdrę i przekłada/a poduszki, dopóki za oknem nie wstało słońce, przedzierając się przez szpary w żaluzjach, by ostatecznie zlikwidować tę potrzebę pójścia w noc i odkrywania źródła niepokoju.

Rory pilnowała, żeby nigdy nikomu nie powiedzieć o tym dziwnym zjawisku. Rodzice wysyłali ją na farmę ciotki Grety, żeby mogła uciec przed lękami gromadzącymi się w międzyczasie - rozproszyć je, dosłownie mówiąc - a gdyby dowiedzie/i się o tych nocnych napadach, gotowi byliby uznać, że wizyty u ciotki nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Uwielbiała długie weekendy i letnie miesiące spędzane w tej cichej okolicy, zachowywała więc nocne niepokoje w absolutnej tajemnicy. Rory nie przejmowała się specjalnie, kiedy budziła się w taki sposób w nocy na farmie, czuła jedynie pokusę ze strony czegoś nieznanego, która kazała jej wstać z łóżka i znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Kiedy po raz pierwszy postanowiła poddać się temu pragnieniu, miała dziesięć lat. Gdy się obudziła, nagle, niespodziewanie i bez najmniejszego śladu zaspania, zegar przy łóżku wskazywał cztery po drugiej. Jej pierś drżała od znajomego poczucia ciekawości, które nawiedza/o ją w tym domu wielokrotnie. Odrzuciła pościel i wstała z łóżka, prowadzona przez niewidzialną dłoń. Otworzyła drzwi sypialni, krzywiąc się w reakcji na odgłos skrzypiących zawiasów. Przekradła się po cichu pod drzwiami sypialni ciotki Grety i minęła kolejne drzwi, prowadzące do warsztatu, gdzie na półkach w idealnych szeregach stało mnóstwo odrestaurowanych lalek. Zeszła po schodach na parter. Otworzyła tylne drzwi i znalazła się na zewnątrz. Na niebie lśniło mnóstwo gwiazd, przesłoniętych gdzieś przez pojedyncze chmury posrebrzane przez blask księżyca. Gdzieś w

oddali, na horyzoncie, mignęła błyskawica, a po kilku chwilach po okolicy przeszedł niski pomruk.

Stojąc na tylnym ganku, Rory poddała się dziwnemu uczuciu w swojej piersi. Jej stopy przesuwają się niczym magnes przyciągany przez gigantyczny kawałek metalu. Szła bez większego wysiłku przez pole za domem, aż dotarła do niskiego, drewnianego ogrodzenia wyznaczającego granice posiadłości. Ruszyła wzdłuż niego, przesuwając dłoń po gładkiej powierzchni. W pobliżu tylnej części działki, gdzie plot skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, Rory odszukała to, co ją przywoływało. Na ziemi znalazła kwiaty, które ciotka Greta zbierała w ciągu dnia.

Każdego ranka Rory obserwowała Gretę, która zrywała kwiaty w ogrodzie. Zadaniem Rory było później przygotować bukiety i spiąć je plastikowymi opaskami. Rory zawsze pytała Gretę o kwiaty, to samo uczyniła również tego dnia. Ciekawiło ją, co ciotka codziennie z nimi robi i dokąd je zabiera. Zawsze uzyskiwała na te pytania wymijające odpowiedzi. Tej nocy znalazła je jednak. Róże leżały w bezładnej stercie na ziemi, daleko od domu, w odległym narożniku działki.

W oddali ponownie rozbłysło niebo, zapewniając wystarczająco dużo światła, żeby ożywić płatki róż. Rory przyklękła, podniosła jedną z nich, przysunęła do nosa i wciągnęła jej słodki zapach. Wibracje w jej piersi ustały i poczuła, że ogarnia ją niezwykły spokój. To dzięki takim chwilom, jak ta zawsze tak chętnie wracała na farmę babki ciotecznej. Tej nocy, w blasku księżyca, osiągnęła ten stan dzięki jednej róży przyłożonej do nosa.

Kiedy zobaczyła trzecią błyskawicę, pochyliła się i ostrożnie ułożyła róże na kupce, odwróciła się i pobiegła przez noc, aż dotarła z powrotem do domu. Chwilę później weszła do łóżka. Sen przyszedł natychmiast. Przez całą resztę jej dzieciństwa i przez kolejne lata,

które Rory spędziła na farmie u Grety, nigdy więcej nie nawiedziła jej ta dziwna bezsenność w środku nocy.

Chicago

Maj 1982 r.

- Zamierzam odejść z pracy - oznajmił Frank. - Zamierzam odejść z Garrison Ford.

- Żeby przed nim uciec? - spytała Marla. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

- Nie. Żeby zabrać go ze sobą. Jeśli to ma się udać, muszę trzymać się jak najbliżej Thomasa Mitchella. Muszę być jedyną osobą, którą będzie zatrudniał do poszukiwania Angeli. Jediną osobą, której zaufa.

- On nigdy nie przestanie szukać - powiedziała Greta. - Angela nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli nie Frank, to pomoże mu w tym ktoś inny.

- Muszę kontrolować informacje, które będzie otrzymywał - ciągnął Frank. - On musi uwierzyć, że dokonuję postępów. Poszukam czegoś, czym będę mógł go przez pewien czas karmić, ostatecznie jednak moje starania spełzną na niczym. Sprawię, że mi uwierzy. Istotne jest, żeby nie miał wątpliwości, że wciąż jej szukam. Dopóki nie przestanie w to wierzyć, nie będzie robił tego sam i nie zatrudni nikogo innego. Ten człowiek mi ufa, a ja zamierzam budować i pielęgnować to zaufanie.

- Na jak długo?

- Przez całe jej życie - odparł Frank.

Marla odwróciła wzrok. Spojrzała w stronę schodów, a Frank wiedział, że jego żona myśli teraz o dziecku, które spało w kołysce.

- Co będziemy robić, żeby nie skończyły się pieniądze, Frank? Z czego będziemy się utrzymywać?

- Założę własną działalność. Mam wystarczająco duże doświadczenie, żeby działać samodzielnie. Poza tym on będzie mi płacił za usługi.

- Thomas Mitchell?

- Tak. Potrzebuje prawnika, który będzie pisał jego apelacje i dbał o jego finanse. Będzie mi dodatkowo płacił za kontynuowanie poszukiwań. Zostanie moim pierwszym klientem.

- Frank - powiedziała Marla. - To nie jest... to nie jest tak, jak sobie wyobrażałam, że będzie.

- Proszę - wtrąciła Greta, patrząc na Marłę. - Potrzebuję waszej pomocy. My potrzebujemy waszej pomocy. Jesteście idealną parą, która może pokochać to dziecko. Wyobraźcie sobie tylko, jakie czekałoby ją życie, gdyby kiedykolwiek prawda wyszła na jaw, gdyby opinia publiczna się dowiedziała, że Thomas ma dziecko z żoną, za której zamordowanie wylądował w więzieniu. Jak mogłaby wieść normalne życie ze świadomością, że jej ojciec zabił tyle kobiet?

Marla znów zaczęła płakać. Wszyscy troje znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Każde z nich myślało o dziecku, które spokojnie spało w kołysce, o niewinnej dziewczynce, która nie zasługiwała na to, co mogło ją czekać. Marla powoli przeniosła spojrzenie na Gretę.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Angela?

Greta westchnęła głośno i po chwili sama zaczęła płakać.

- Próbowałam ją ratować, ale było za dużo krwi.

Coś poszło nie tak. Krwawienie było intensywne i nieustające, kiedy Greta badała miednicę Angeli. Stan przedrzucawkowy wymusił leżenie w łóżku przez kilka ostatnich tygodni, a pojawiające się na ciele plamki zaniepokoiły Gretę. Angela nalegała jednak, by Greta pomagała jej bez udziału lekarza. Uważała to za zbyt ryzykowne. Greta nie mogła się nie zgodzić, że twarz Angeli w trakcie procesu Thomasa została pokazana w wiadomościach tyle razy, że zostałaby natychmiast rozpoznana. Greta zajmowała się zatem ciśnieniem krwi, dbała o odpoczynek swojej pacjentki i obserwowała ją niczym jastrząb. Ale tej nocy Angela się obudziła i oznajmiła, że odeszły jej wody. Bardzo mocno krwawiła, a w tej chwili była prawie gotowa do porodu.

- Przyj, Angelo, przyj.

- Nie mogę.

Leżała na łóżku cała zlaną potem. Miała przed sobą płachtę chirurgiczną, która zasłaniała jej widok dolnej połowy ciała. Głowa Greta wysuwała się znad niej co pewien czas.

- Wiem, że cię boli, ale musisz przeć, Angelo.

- Nie. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Okej - odparła Greta i pokręciła głową. - Jedziemy do szpitala, kochanie. Coś jest nie tak. Za mocno krwawisz.

- Nie! Nie możemy pojechać do szpitala. On dowie się o dziecku, a w końcu zostanie zwolniony. Proszę!

Greta ponownie opuściła głowę. Krwawienie się nasilało. Przełknęła gulę strachu, która uformowała się w jej gardle, po czym skinęła głową. Bała się o dziecko, ale jeszcze bardziej bała się o Angelę. Dom, pomimo sprzętu, który udało się jej w nim zgromadzić w ciągu kilku ostatnich miesięcy, nie nadawał się do takich

komplikacji. Greta również nie była do czegoś takiego wykwalifikowana.

- W takim razie musisz przeć. Słyszysz mnie?

Angela ją słyszała. I parła ze wszystkich sił.

Część 4

Wybór

Rozdział 30

Chicago, 2 listopada 2019 r.

Przesłuchanie w sądzie było formalnością, zupełnie niepotrzebną, a miejsce to było ostatnim, w którym Rory pragnęła się znaleźć. Wciąż nieco wstrząśnięta atakiem paniki, na lekkim kacu, z głową zaprzątniętą wspomnieniami enigmatycznego snu, który przyśnił się jej poprzedniej nocy, najbardziej chciała w tym momencie pojechać do domu opieki i zapytać Gretę o jej powiązanie z Angelą Mitchell. Frank Moore wyraził jednak zgodę na to przesłuchanie już przed kilkoma miesiącami, chcąc zapewnić możliwość ostatecznego wypowiedzenia się członkom komisji, którzy zamierzali pozwolić wyjść na wolność człowiekowi na dwadzieścia lat przed zakończeniem jego wyroku. Na sali towarzyszyło Rory sześciu członków komisji zwolnień warunkowych, wyznaczony przedstawiciel z biura prokuratora okręgowego, wyglądający, jakby właśnie ukończył prawo na uniwersytecie, sekretarz sądowy, oraz Naomi Brown i Ezra Parker, którzy towarzyszyli jej podczas wizyty w domu pod Starved Rock. Wszyscy z wyjątkiem Rory ubrali się odpowiednio na tego rodzaju spotkanie w sądzie.

Rory, ubrana w szare dżinsy i ciemną koszulkę, przypominała bardziej osobę wnioskującą o zwolnienie warunkowe niż jej prawniczkę. Nie pozwolono jej na założenie w sądzie wełnianej

czapki, więc lekko pofalowane, brązowe włosy opadały jej na policzki po obu stronach, jak częściowo rozsunięta kurtyna. Nie zapomniała oczywiście o okularach, a kiedy weszła na salę, jej wojskowe buty grzechotały i zwracały na siebie uwagę wszystkich zgromadzonych. Ostrzegła wcześniej sędziego Boyle'a, że nie nadaje się na wizyty w sali sądowej. W normalnych okolicznościach spojrzenia zebranych tam osób wpędziłyby ją w stan paniki, jednak większą część swojego strachu wyeliminowała poprzedniej nocy podczas ataku, kiedy po alkoholu pojechała pod dawny dom Angeli Mitchell. To również był dom Thomasa Mitchella, pomyślała, kiedy boczne drzwi sali stanęły otworem i do środka weszli dwaj pracownicy sądowi. Wprowadzili Thomasa Mitchella, który usiadł na miejscu obok Rory. Sędzia Boyle wkroczył innymi drzwiami i zajął swoje miejsce za ławą.

- Dzień dobry - powiedział, a jego głos odbił się echem po niemal pustej sali. - To będzie krótkie przesłuchanie.

Sędzia przez cały czas patrzył na leżące przed nim papiery i nie podniósł nawet głowy, żeby spojrzeć na zgromadzonych. Wydawał się równie podekscytowany porannym spotkaniem w sądzie, jak Rory.

- Pani Moore, przedstawiłem już członkom komisji najnowsze wieści dotyczące śmierci poprzedniego adwokata pana Mitchella i przekazałem, że jako jego nowy przedstawiciel zgodziła się pani na wszystkie wcześniejsze uzgodnienia.

Po raz kolejny omówione zostały ustalenia dotyczące miejsca zamieszkania, regularnych spotkań z kuratorem, spożywania alkoholu i innych używek, testów na obecność narkotyków i kilku innych spraw.

- Tak, proszę pana. Tak, proszę pani - powtarzał Thomas za każdym razem, kiedy zwracał się do niego jeden z członków komisji.

Formalności trwały piętnaście minut. Kiedy wszyscy wyrazili swoje zadowolenie, sędzia zaszeleścił dokumentami.

- Panie Mitchell, pańskie jutrzejsze zwolnienie nie będzie należało do prostych - oznajmił sędzia Boyle. - Szczegółom intensywnie przyglądają się media, rozmawiałem więc z panną Moore na temat tego, jak istotne jest w pańskim przypadku zachowanie anonimowości. W notatce prasowej przekazano informację o zwolnieniu o godzinie dziesiątej przed południem. Chciałbym zachować tę godzinę jako formalny czas, ale zamiast tego zwolnić pana o czwartej trzydzieści nad ranem. O tej porze nadal będzie ciemno. Myślę, że będzie to najlepszy sposób na zachowanie dyskrecji i umożliwienie panu udania się do swojego domu bez problemów.

Nie dopowiedziano, choć ustalone zostało to już wcześniej, że to jego prawnik będzie osobą, która odbierze go z więzienia. A teraz Thomas Mitchell nie miał już do dyspozycji Franka Moore'a.

Sędzia Boyle popatrzył na Rory.

- Czy uzgodniono już formę transportu?

Skinęła głową.

- Panie Mitchell, był pan naprawdę wzorowym osadzonym. Władze stanowe niniejszym wyrażają zgodę na pańskie zwolnienie trzeciego listopada o godzinie czwartej trzydzieści. Mam nadzieję, że dobrze wykorzysta pan pozostałą część swojego życia. Życzę powodzenia.

- Dziękuję, wysoki sędzie - odparł Thomas.

Sędzia stuknął swoim młoteczkim i się oddalił, powiewając togą niczym opończę na wietrze.

Thomas popatrzył na członków komisji i skłonił głowę.

- Dziękuję.

Był miły i grzeczny. Doskonały dżentelmen, który zakończył resocjalizację i był gotów na powrót do życia w społeczeństwie.

Rozdział 31

Chicago, 3 listopada 2019 r.

Leżąc obok Lane'a w łóżku, Rory wpatrywała się w tarczę zegara na stoliczku nocnym i wsłuchiwała się w jego „tik-tak” aż do chwili, kiedy wskazówki pokazały godzinę trzecią. Nie zasnęła ani na moment, nie zamknęła nawet na dłuższą chwilę powiek. Rozważała już nocną wizytę u ciotki Greta. Staruszka była jedyną osobą, która potrafiłaby ukoić nerwy Rory związane z wizją obcowania w samochodzie z Thomasem Mitchellem. Wiedziała jednak, że podczas następnej wizyty będzie musiała wykorzystać ewentualne krótkie okno świadomości Greta na zapytanie jej o Angelę. To wymagało jasności umysłu i zdolności do zwięzłego wysławiania się, a do czegoś takiego Rory musiała mieć w głowie spokój. Podczas godzin nocnych, kiedy Lane leżał tuż obok, zdecydowała, że najpierw zawiezie Thomasa Mitchella do domu pod Starved Rock, a dopiero później spotka się z Gretą. O trzeciej piętnaście odsunęła kołdrę i wstała z łóżka.

Ciepła woda pod prysznicem była bardzo przyjemna. Spędziła pod nim więcej czasu niż zwykle, aż w końcu zakręciła kurek i przygotowała się do tego, co ją czekało. Dwadzieścia minut później była już ubrana w swój zwyczajowy strój bojowy. Zawiązała sznurowadła wojskowych butów i już miała skierować kroki w stronę

drzwi wejściowych, kiedy zobaczyła Lane'a, ubranego i czekającego na nią w ciemnym pokoju. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i ramieniem opartym na oparciu sofy, wpatrując się w wygasły kominek.

- Co ty robisz?

Lane odwrócił głowę, usłyszawszy jej głos.

- Nie ma mowy, żebym pozwolił ci jechać samej.

- Lane. .. - zaczęła Rory, ale on już zdążył wstać i wyjść z domu. Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwi jej samochodu.

- Dzięki Bogu - wyszeptała do siebie.

O czwartej piętnaście podjechali pod wschodnią bramę zakładu karnego Stateville w Crest Hill w stanie Illinois. Reflektory rozświetlały siatkę ogrodzenia. Dokładnie o wpół do piątej otworzyły się boczne drzwi i na ziemię padł prostokąt żółtego światła. Pojawiły się jakieś postacie, podświetlone blaskiem lamp wewnątrz budynku, rzucając długie cienie przypominające smukłe duchy. Rory natychmiast odszukała w pamięci wieczór w alejce za dawnym domem Angeli - i Thomasa Mitchella. Teraz również stanęła przed stożkami światła z reflektorów samochodu, rzucając swój własny cień.

Ogrodzenie się rozsunęło, kiedy postacie podeszły bliżej, a gdy grupa dotarła do narożnika budynku, w dalszą drogę ruszyła tylko jedna osoba. Rory poczuła ucisk w żołądku, kiedy Thomas Mitchell pokonał dzielącą ich odległość, otworzył drzwi samochodu i usiadł na siedzeniu z tyłu.

Droga do Starved Rock zajęła im nieco ponad godzinę. W ciemnym samochodzie nikt się nie odzywał, słychać było tylko szum autostrady, kiedy podążali drogą I-80 w blasku latarni. Rory zjechała z niej w odpowiednim momencie i kontynuowała podróż bocznymi

drogami, wspomagając się GPS-em Lane'a. Zwolniła, kiedy podjechali do niemal niewidocznego traktu prowadzącego do stojącego w oddali domu.

- Wow - rzucił Thomas Mitchell z tylnej kanapy. Patrzył na zewnątrz przez boczną szybę. Na horyzoncie wstawał już dzień, a ciemna noc ustępowała powoli miejsca delikatnemu błękitowi. - Sporo czasu upłynęło.

Rory nie była pewna, czy mówi o domu, czy o wschodzie słońca. Nie zapytała, wjechała po prostu na trakt. Samochód kołysał się na gruntowej nawierzchni, aż w końcu pojawiła się przed nimi polana, na której w blasku poranka stał dom ze spadzistym dachem. Dojechała do końca, zaparkowała samochód i wystawiła prawą rękę, aż musnęła ramię Lane'a.

W dłoni trzymała klucz.

- W biurze ojca znalazłam tylko jeden.

Thomas odebrał klucz i wysiadł z samochodu. Miał ze sobą jedynie plastikowy, zapinany na zamek worek, który dali mu strażnicy. Reprezentował on wszystko, co miał na tym świecie. Rory wysiadła, otworzyła bagażnik i wyjęła niewielki plecak. Po chwili weszli na werandę.

- Nie ma nic do jedzenia - powiedziała. Jej ojciec zadbałby pewnie o zapełnienie lodówki. Rory nie wzięła tego nawet pod uwagę. - Ale kilkaset metrów stąd, przy głównej drodze, jest sklep wielobranżowy.

Thomas pokiwał głową.

- Pamiętam.

Podowała mu kopertę z pieniędzmi, które wypłaciła z jego konta za pomocą hasła pozostawionego przez ojca.

- Tutaj jest trochę gotówki na dobry początek. Jest tam też karta bankomatowa z dostępem do jednego z pańskich kont. Kod

zapisalam na przyklejonej karteczce. Umie pan obsluzyc bankomat?
Skinal glowa.

- Mielismy w wiazieniu system platnosci karta. Dam sobie rade.

- Bankomat jest na terenie sklepu. W pierwszej kolejnosci musi sie pan zaopatrzyc w zywnosc i odziez. - Podala mu plecak. - Tutaj jest kilka rzeczy. Powinny wystarczyc, dopoki nie kupi pan samochodu. Najpierw jednak bedzie pan potrzebowal prawa jazdy. Musimy sie tym zajac. Da pan rade przetrwac tydzien na niewielkim komplecie ciuchow i pobliskim sklepie wielobranzowym, podczas gdy ja bede zajmowala sie szczegolami?

- Dam rade. Dziekuje. - Otworzył drzwi wejsciowe i wszedł do srodka. Rozejrzal sie szybko po wnetrzu, po czym wystawil glowe za drzwi. - Dziekuje za podwozke.

- Proszę odebrać telefon, jeśli zadzwoni. Pański kurator się dziś odezwie, żeby przekazać panu instrukcje. Nazywa się Ezra Parker. Musi się mu pan meldować każdego dnia. - Tak zrobię.

- Mam tu jego wizytówkę. Proszę ją położyć przy telefonie.

Odebrał od niej niewielki kartonik.

- W porządku.

Rory skinęła głową.

- Niedługo się z panem skontaktuję.

Robiło się coraz jaśniej i kiedy szła w stronę samochodu, słońce zaczynało prześwitywać między gałęziami drzew, Rory odniosła wrażenie, że właśnie zakończyła bardzo niebezpieczną podróż.

Tuż po ósmej Rory i Lane zatrzymali się przed jej domem. Była zdenerwowana, niewyspana, a adrenalina właśnie opuszczała jej krwiobieg. Kiedy przecinała trawnik i kierowała się w stronę drzwi, poczuła się całkowicie wyczerpana. Lane objął ją ramieniem. Jej ojciec nie żył, a Greta była już zbyt stara, by zapewnić jej taki dotyk,

więc Lane stał się jedyną osobą, której bliskość sprawiała Rory radość. Oparła mu głowę na ramieniu i razem weszli po stopniach.

- Zaparzyć kawę? - zapytała.

- Ty nie pijesz kawy.

- Otworzę sobie dwie cole dietetyczne.

- Nie - odparł Lane. - Mam rano zajęcia i już jestem spóźniony.

Powinnaś się przespać. Nie zmrużyłaś oka przez całą noc.

- Muszę pojechać do ciotki Greta.

- Teraz?

- Coś jest na rzeczy. Muszę z nią porozmawiać.

- Wyśpij się. Mam dziś kolację na wydziale. Będę tam przemawiać.

Zaraz po tym spróbuję się jednak wymknąć i wrócić do ciebie. -

Pozwoliła mu się pocałować. -W porządku?

Rory skinęła głową, ledwie utrzymując otwarte powieki.

- Okej.

Odwróciła się i weszła do domu. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Lane popatrzył na pokrytą czerwonym pyłem werandę i zauważył karmazynowe odciski butów Rory. Ciągnęły się od ulicy przez cały trawnik, aż na patio.

Rozdział 32

Starved Rock, Illinois, 3 listopada 2019 r.

Thomas Mitchell zamknął za sobą drzwi wejściowe i obserwował przez okno, jak córka Franka Moore'a rusza spod domu i oddala się zalesioną drogą, którą wcześniej tutaj przyjechali. Kiedy już zupełnie zniknęła mu z pola widzenia, rozejrzał się po swoim nowym domu, po czym sprawdził każde pomieszczenie. Wrócił na frontową werandę i popatrzył na wstające słońce. Wciągał do płuc aromat sosen, choć jego mózg, wciąż ogłupiony nowym otoczeniem, wmawiał mu, że to zapach przeciwbakteryjnego wybielacza, który witał go każdego ranka przez dwa ostatnie dziesięciolecia. Ale nie, teraz już wiedział, że wdycha świeży powiew wstającego dnia, wolności i możliwości.

Tak wiele się w tym miejscu wydarzyło. Tutaj zapisała się jego historia, w domu wuja schowanym na zalesionej polanie. A ta historia miała się ciągnąć dalej. To tutaj miał zostać napisany końcowy rozdział jego życia.

Planował ją odnaleźć, sprowadzić tutaj. Jak powinien był to zrobić już wiele lat temu.

Odczekał chwilę, ciesząc się dotykiem promieni wschodzącego słońca, po czym wrócił do domu i usiadł na sofie. Na ławie rozłożył zawartość swojej torby, którą otrzymał od strażnika krótko przed tym,

jak stanął przed drzwiami wyjściowymi z zakładu karnego Stateville. Drobiazgi i przedmioty osobistego użytku, które zgromadził podczas swojego pobytu w więzieniu, pozostały w celi. Zdawał sobie sprawę, że strażnicy od razu je pozabierali, żeby sprzedać je jego zagorzałym fanom. Złodziej wciąż wzbudzał niemałą sensację. Najważniejsze były jednak dla niego dokumenty - starannie sporządzone notatki z wielu lat odsiadki. Stanowiły zapis wszystkiego, o czym kiedykolwiek powiedział Frankowi Moore'owi, każdy ślad, na który wpadł jego adwokat w trakcie poszukiwań Angeli. Była w nich ujęta każda osoba, z którą Frank kiedykolwiek się skontaktował. Całe lata spiskowania umożliwiły mu skrócenie listy podejrzanych do kilku najważniejszych postaci. Thomas wiedział, od czego ma zacząć, i nie zamierzał marnować czasu. Czterdziestoletnie oczekiwanie miało dobiec końca.

Kilka godzin później słońce stało wysoko na niebie, a jego jasna skóra aż piekła od dawno nieodczuwanych promieni. Koszula zupełnie przesiąkła mu potem, kiedy po raz tysięczny opierał stopę na łopacie. Kopiec ziemi sięgał mu już do ud, a żeby wejść do dziury, trzeba było do niej zeskoczyć. Kolejną godzinę poświęcił na jej poszerzenie, a potem jeszcze jedną na wyostrenie kątów. Od wykopania przez niego ostatniego grobu upłynęło już tyle lat, że zupełnie zapomniał, jakiego to ekscytujące zajęcie. A to oznaczało, że nadchodzi Uderzenie.

Zadrzał z emocji. Przetarł twarz przedramieniem, żeby usunąć pot z czoła, po czym ponownie wbił łopatę w ziemię. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Rozdział 33

Chicago, 3 listopada 2019 r.

Brzęczenie wyrwało Rory z pozbawionego marzeń snu. Okna sypialni przybrały gasnącą barwę orzecha, kiedy na niebie zaczynał królować mrok. Połączenie pierwszego od niemal trzydziestu lat ataku, ponad dwudziestu czterech godzin bez snu i niewdzięcznego zadania polegającego na odwiezieniu Thomasa Mitchella z więzienia spowodowało, że była całkowicie wyczerpana. Kiedy się obudziła, czuła się zupełnie dezorientowana. Znowu odezwało się brzęczenie. Przez chwilę poszukiwała jego źródła, aż dotarło do niej, że ów dziwny dźwięk wywołuje jej wibrujący telefon. Podniosła go ze stolika nocnego, spodziewając się, że to Lane. Zamiast tego zobaczyła numer należący do kogoś zupełnie innego. Jej mózg natychmiast powiązał go z właściwą osobą. Przesunęła ikonę słuchawki na ekranie i przyłożyła aparat do ucha.

- Panie Byrd?

- Tak, dzień dobry. Rory? - Milczała przez chwilę, wciąż nieco oteębiała. Uświadomiła sobie, że to może być również słyszalne w jej głosie. - Przepraszam, obudziłem panią?

- Nie - odparła. Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której Rory wstała z łóżka i podeszła do okna. Minęła siedemnasta i słońce już zachodziło. Zrozumiała nagle, że przespała cały dzień.

- Halo?

- Tak, jestem tutaj.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć o postępach w sprawie, sprawdzić, czy udało się pani dokonać jakiegoś postępu.

Rory zamrugła, próbując się dobudzić.

- Obawiam się, że nie. To znaczy, jeszcze się za to nie zabrałam. Obiecuję jednak, że to zrobię. Tymczasem zdołałam jednak dokończyć lalkę Camille. Muszę jeszcze poprawić kilka szczegółów. Zadzwoń do pana w przyszłym tygodniu i umówimy się na spotkanie.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Bardzo się cieszę.

Rory zakończyła połączenie. Sprawdziła, czy nie przyszły jakieś SMS-y, ale nie znalazła ani jednego. Zadzwoiła do Lane'a, lecz nie odebrał. Jego zajęcia skończyły się już kilka godzin wcześniej i wybierał się zapewne na kolację. To oznaczało, że nie wróci do domu przez kilka godzin. Położyła się z powrotem do łóżka, żeby na niego poczekać. Miała ochotę zamknąć na chwilę oczy. Kiedy to zrobiła, po kilku sekundach znów spała.

Rozdział 34

Chicago, 3 listopada 2019 r.

Catherine Blackwell skończyła oglądać wiadomości o dwudziestej drugiej i wyłączyła telewizor. Tematem wiodącym było poranne zwolnienie z zakładu karnego Stateville Thomasa Mitchella, znanego jako Złodziej. Dziennikarze nie dysponowali żadnymi materiałami z chwili jego wyjścia, spekulowano więc, czy do zwolnienia nie doszło jeszcze pod osłoną nocy. Alternatywą było opóźnienie całej procedury. Władze i przedstawiciele zakładu karnego nie przekazali żadnych informacji i prawdopodobnie nie zamierzali tego zrobić aż do następnego dnia. Mimo to dziennikarze czuwali pod gmachem więzienia, mając nadzieję na zarejestrowanie przełomowego momentu, kiedy Złodziej opuści mury zakładu i zostanie złapany w obiektywy ich kamer.

Co za szkoda, pomyślała Catherine. Co za straszna szkoda.

Przeszła do kuchni, wyjęła z lodówki szklaną butelkę z mlekiem i nałała odrobinę do miseczki stojącej na podłodze. Odgłos odkręcanej nakrętki sprawił, że jej kot wyskoczył spod łóżka i przybiegł, by wychłęptać chłodny napój. Catherine wróciła do zlewu i wrzuciła pustą już butelkę do śmietnika. Zawiązała szczelnie foliowy worek i wyniosła go pod tylne drzwi. Kot natychmiast znalazł się przy jej kostkach.

- Chcesz powęszyć, co? - powiedziała Catherine. - No chodź.

Otworzyła tylne drzwi i kocur wymknął się w mrok panujący na zewnątrz. Catherine podeszła do alejki za domem i podniosła wieko wielkiego kontenera z tworzywa, żeby wrzucić śmieci do środka. Kot znów znalazł się przy jej nogach.

- Nie masz dziś ochoty na przygody? Idź poszukać jakiejś myszy.

Tego wieczoru kot potrzebował jednak wyjątkowo wielu pieszczot i nie zamierzał opuścić boku Catherine. Ta wyczuła coś złowrogiego, stojąc w alejce. Kot zasyczał w ciemnościach.

- Co się dzieje? Co ty tam widzisz?

Kot ponownie syknął, po czym uciekł i zniknął w ciemnościach. Kiedy Catherine wytrzymała wzrok, usłyszała za sobą szuranie stóp. Odwróciła się szybko, wystraszona. Ich oczy się spotkały, a ona zdążyła tylko krzyknąć, po czym poczuła na twarzy jego dłoń.

Rozdział 35

Chicago, 3 listopada 2019 r.

Greta Schreiber leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, pogrążona w odmętach demencji. W jej głowie przewijały się obrazy z przeszłości - szybki kalejdoskop barwnych kadrów z poprzedniego życia.

- Gdzie ona jest? - spytał głos kryjący się w mroku.

- Próbowałam cię ratować - powiedziała Greta. - Ale było za dużo krwi.

Pod jej powiekami pojawił się obraz domu na farmie i przystosowanego do porodu pokoju. Angela leżała na łóżku. Krew. Zwątpienie. Strach.

Podobnie jak tamtego dnia, pierś Grety wypełniła przejmująca troska.

- Gdzie ona jest? - powtórzył głos.

- Musimy jechać do szpitala. Coś jest nie tak. Za dużo jest krwi.

- Zapytam po raz ostatni - warknął głos w ciemności. - Zabrałaś ją z zakładu psychiatrycznego. Wiem, że zwróciła się do ciebie o pomoc. Gdzie ona teraz jest?

Greta otworzyła oczy. Dom na farmie znikł, ustępując miejsca widokowi szpitalnego pokoju, błękitnego ekranu telewizora i wysokiej postaci stojącej nieopodal łóżka. Mężczyzna pochylił się tak nisko, że ich twarze dzieliły centymetry.

- Gdzie. Ona. Jest.

Greta zamruwała. Jej umysł nagle się rozjaśnił. Znała twarz, którą ujrzała. Widziała go w wiadomościach przed wieloma laty. Był teraz znacznie dojrzały niż wtedy, kiedy razem z Angelą oglądały w telewizji materiał z jego procesu. Starszy niż na zdjęciach publikowanych w prasie. Ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że to on. Jego obecność wcale jej nie zaskoczyła, spodziewała się, że ten dzień nadejdzie. Frank martwił się tym przez wiele lat i wielokrotnie mówił o tym Grecie.

- Ostatni raz - powiedział mężczyzna. - Gdzie ona. ..

- Nigdzie. - Głos Greta był szorstki i ledwie słyszalny.

Mężczyzna pochylił się bliżej, przysuwając ucho do jej ust. Przesłonił tym samym Grecie błękitną poświatę ekranu telewizora.

- Jeszcze raz - powiedział.

- Nigdzie jej już nie znajdziesz, dokądkolwiek pójdziesz.

Błękitne światło powróciło, kiedy mężczyzna się wyprostował, ale zaraz ponownie zniknęło. Greta poczuła na twarzy nacisk poduszki. Trzymała dłonie ułożone wzdłuż ciała i nie próbowała walczyć. Jej umysł odpłynął.

Próbowałam cię ratować. Było za dużo krwi.

Rozdział 36

Chicago, 4 listopada 2019 r.

Upłynęło ponad czterdzieści osiem godzin od ataku paniki i Rory zaczynała powoli odczuwać powracającą równowagę. Sen z pewnością jej w tym pomógł, a teraz była już gotowa stawić czoła źródłu swojego niepokoju. Greta była powiązana z Angelą Mitchell, a Rory w końcu dotarła do domu opieki, by ją o to zapytać. Lalka Kestner należąca do Camille Byrd spoczywała w swoim kartonie na siedzeniu pasażera. Rory uznała, że będzie doskonałym sposobem na nawiązanie komunikacji, kiedy zada pytania, które sobie przygotowała. Tego dnia nie zamierzała odpuścić. Musiała poznać odpowiedzi, których tak bardzo poszukiwała. Koniecznie musiała zrozumieć charakter tej tajemniczej zasłony, która opadła na jej życie, sieci łączące wszystkie kochane przez nią osoby z kobietą, która ponoć zmarła przed czterdziestoma laty.

Kiedy wjechała na parking, zauważyła migające, czerwone światła ambulansu i wozu strażackiego, które stały zaparkowane tuż pod ścianą budynku. Greta przebywała tutaj już od wielu lat i Rory przywykła do widoku świateł karetki i dźwięku syren. Niemal każdy pacjent w tym miejscu miewał co pewien czas kryzys zdrowotny i wymagał przewiezienia do szpitala. Pojazdy służb ratunkowych zaparkowane przed gmachem nie były niczym nietypowym.

Rory minęła przód strażackiego wozu, którego silnik warczał pozostawiony na wolnych obrotach, po czym weszła do lobby i zapisała swoje nazwisko w dzienniku odwiedzin. Do tego zanotowała nazwisko i numer pokoju Greta. Rory wykonywała tę procedurę setki razy w ciągu lat, i stała się ona nieodłącznym elementem towarzyszącym odwiedzinom u staruszki siedzącej w swoim pokoju i oglądającej telewizję. Kiedy spojrzała na dziennik odwiedzin, tym razem coś jednak przyciągnęło jej uwagę. Jakieś dziwne, wewnętrzne uczucie kazało się jej zatrzymać, kiedy zapisywała swoje imię i nazwisko. Zanim zdążyła odszyfrować ten głos intuicji, kątem oka zauważyła pielęgniarkę Greta, która szła szybkim krokiem, wyraźnie zdenerwowana. Rory uniosła głowę znad arkusza wpisów i upuściła długopis na podłogę. Wszystko wokół niej zwolniło. Poruszona pielęgniarka wydawała się płynąć pod wodą, a jej włosy poruszały się za nią w zwolnionym tempie.

Rory poczuła, że kobieta chwyta jej dłoń i patrzy na nią ze współczuciem.

- Obawiam się, że twoja ciotka zmarła, Rory.

Rory zamrugnęła, kiedy świat przyspieszył i nagle powrócił do swojego pierwotnego tempa. Znowu usłyszała odgłosy dobiegające z holu. Ludzie poruszali się z normalną szybkością. Na ścianach odbijała się czerwień błyskających na zewnątrz świateł.

- Była bardzo szczęśliwa, kiedy kładła się wczoraj spać - dodała pielęgniarka. - Znaleźliśmy ją dziś rano. Odeszła w nocy. Spokojnie, bez żadnego niepokoju. - Rory nadal milczała, ściskając pod ręką karton z lalką. - Chciałaby ją pani zobaczyć?

Rory skinęła głową.

Chciała.

Rozdział 37

Chicago, 4 listopada 2019 r.

Rory leżała na łóżku, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu obrazu zamka spinającego brzegi czarnego worka i znikającej w tej szczelinie twarzy Grety. Wraz z nią zniknęła również jakaś część Rory. Walczyła z podobnymi emocjami, kiedy miesiąc wcześniej zatelefonowała do niej Celia, by przekazać informację o śmierci jej ojca. Walczyła z nimi również wtedy, kiedy weszła do domu z dzieciństwa i została zaatakowana uczuciami związanymi z przeszłością. Tego wieczoru toczyła kolejną bitwę, tym razem nie była jednak w stanie powstrzymać łez. Płakała tak bardzo jak nigdy. Nie płakała tak w dzieciństwie, o dorosłym życiu nie wspominając.

Nie można było powiedzieć, że Rory nie odczuwa emocji związanych z bólem czy smutkiem. Wpływały one na nią po prostu w inny sposób niż na większość ludzi. Uczucia te zmieniały jej myśli i nastroje. Odciągały ją od interakcji i sprawiały, że miała ochotę ukryć się przed całym światem, że pragnęła być zupełnie sama. Jednak ból rzadko przyjmował u niej społecznie akceptowalną postać poczucia straty czy histerycznego płaczu. Dziś było zupełnie inaczej. Rory leżała na boku z głową ukrytą pod poduszką i łkała jak nigdy dotąd.

Z jej świata zniknęło tak wiele rzeczy. Greta była jedyną żyjącą krewną Rory. Nie licząc Lane'a Phillipsa, Rory nie kochała nikogo innego. Cierpienie, które odczuwała w tym momencie, niosło jednak ze sobą jeszcze jedno znaczenie. Wraz z końcem linii jej rodu przepadły również wszelkie odpowiedzi na pytania dotyczące dokumentów adopcyjnych. Pytania o Franka i Marłę Moore'ów, o jej lata spędzone w domu na farmie i o powiązania Greta z Angelą Mitchell. Od kiedy Rory zaczęła rekonstruować jej śmierć, tajemnicza kobieta zdawała się mieć związek ze wszystkim, co zaszło w jej życiu. Było to połączenie, które wydawało się nie z tego świata, silniejsze niż zwyczajowa relacja, którą Rory nawiązywała z ofiarami rekonstruowanych przez siebie zbrodni. Także tego wieczoru, krótko po śmierci Greta, nie potrafiła myśleć o nikim innym poza Angelą Mitchell.

Kiedy zamknęła oczy, towarzyszył jej przejmujący żal, który doprawiał łzy spływające jej po policzkach i wsiąkające w poduszkę. Po pewnym czasie zasnęła. Poddała się łatwo tej nicości, ponieważ sen zapewniał coś jeszcze: znajomą pokusę, którą poznała już jako dziecko, pragnienie, które wyciągnęło ją z łóżka i zaprowadziło na prerię za domem na farmie, gdzie w końcu odnalazła spokój. Tego wieczoru, kiedy jej gałki oczne trzepotały pod powiekami, uświadomiła sobie, że tym razem kusi ją coś zupełnie innego. Mimo wszystko nie zdołała się temu oprzeć.

Kiedy Rory weszła do Grant Park, wokół panowała cisza i ciemność. W oddali majaczyły sylwetki budynków Chicago, na ścianach wieżowców migotały nierówne, żółte wzory światła z pomieszczeń, które wyraźnie odcinały się na tle mrocznego nieba. Rory wbiła wzrok w ciemność. Minęła fontannę Buckingham i ruszyła brukową alejką porośniętą z obu stron brzoźami. W końcu dotarła na

polanę, na której niemal dwa lata wcześniej odnaleziono ciało Camille Byrd. Dziewczyna tam była, siedziała samotnie na porośniętym trawą pagórku. Halogenowa żarówka na latarni oświetlała ją od góry, a na murze z cegieł za jej plecami widać było jej cień. Wyglądała na zupełnie spokojną, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, z kocem zarzuconym na ramiona. Kiedy Rory podeszła bliżej, dziewczyna uniosła rękę, wypełniając jej serce łagodną falą spokoju i smutku.

Camille miała coś na udach, a kiedy Rory wspięła się na pagórek, przyjrzała się temu czemuś z bliska. Na skrzyżowanych nogach dziewczyny spoczywała lalka Kestner. Camille przeczesywała palcami jej splątane włosy. Rory wytężyła wzrok i dostrzegła postrzępione pęknięcie, które biegło wzdłuż lewego policzka lalki, oraz otwarty oczodół przypominający połówkę orzecha.

- Tak mi przykro, że zaniedba/am twoją sprawę - powiedziała Rory.
- Przepraszam, że cię zignorowałam.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Był to promienny uśmiech, który wprowadził radosny nastrój w miejscu, w którym ktoś porzucił jej ciało. W jej oczach nie widać było ani cienia gniewu czy rozczarowania.

- Nie zignorowałaś mnie - odparła Camille. - Myślałaś o mnie częściej niż ktokolwiek inny.

- Obiecuję, że powrócę do twojej sprawy. Obiecuję, że znajdę człowieka, który ci to zrobił.

- Wiem, że do mnie wrócisz.

Rory zbliżyła o krok. Lalka Kestner wydawała się tak samo uszkodzona jak tego dnia, kiedy Walter Byrd przyniósł ją do biblioteki.

- Zbliżasz się do ludzi, których śmierć rekonstruujesz. Zawsze tak było. W taki sposób odkrywasz rzeczy, których nie widzą inni. Rozwiążesz także i swoją zagadkę. Wszystkie odpowiedzi masz na wyciągnięcie ręki. Wszystkie te rzeczy, które cię martwią, wszystkie rzeczy, które wydają się nie mieć sensu... - Camille przesunęła dłoń po twarzy lalki. - Prawdę łatwo jest przeoczyć, nawet kiedy mamy ją tuż przed oczami. - Camille wzięła lalkę na ręce i popatrzyła jej w oczy. - Wykonałyście z Gretą naprawdę doskonałą pracę.

Na dźwięk tego imienia przed oczami Rory stanęła ciotka, dręczona przez demencję za każdym razem, kiedy Rory wchodzi/a do jej pokoju, i kiedy staruszka wydawała się zmieszana i przytłoczona jej obecnością.

- Próbowalam cię ratować. Za dużo było krwi.

Rory przypomniawszy sobie strach w oczach Grety za każdym razem, kiedy ją odwiedzała. Strach, który panował tam przez kilka sekund, w trakcie których Greta powracała z pełnych udręki wspomnień z przeszłości.

- Chciałabym móc uratować cię tak łatwo, jak Rory i jak łatwo ratuję lalki.

Świat zaczął wirować, kiedy Rory przypomniawszy sobie tajemnicze pragnienie, które ogarnęło ją jako dziesięcioletką, kiedy poszła daleko za dom. Wszystkie obrazy się rozmazały, gdy pomyślała o różach rzuconych niedbale na ziemię, o ich słodkim zapachu, kiedy przysunęła jedną z nich do nosa, o spokoju, który ją przeppełnił.

Wirowanie zatrzymało się tak samo szybko, jak się rozpoczęło. Rory została sama. Camille Byrd zniknęła. W miejscu, w którym siedziała, pozostał jedynie trawiasty pagórek, bukiet róż i lalka Kestner, idealnie odrestaurowana.

W jej uszach rozbrzmiał ponownie głos Grety:

- Próbowałam cię ratować. Było za dużo krwi.
- Jest za dużo krwi. Musimy pojechać do szpitala.
- On nadchodzi. Powiedziałaś mi o tym. On po ciebie przyjdzie.

Wtedy znów usłyszała głos Camille:

- Prawdę jest łatwo przeoczyć, nawet kiedy mamy ją tuż przed oczami.

Kiedy Rory stała na pagórku w Grant Park, nagle wszystko nabrało sensu i znaczenia. Powiązanie z Angelą Mitchell, które odczuwała, i wszystkie podobieństwa między nimi, pisma apelacyjne ojca, w których krzyczał do Rory ukryty motyw mówiący o tym, by nigdy nie wypuścić Thomasa Mitchella z więzienia, związek Greta z Angelą, jej praca położnej, adopcja na rzecz Franka i Marli Moore'ów, stres jej ojca w ostatnim roku jego życia, kiedy nie był już w stanie zatrzymać procedury zwolnienia warunkowego Thomasa Mitchella.

Ale było coś jeszcze. Wydawało się już płynąć blisko powierzchni, ale im głębiej sięgała w odległe partie swojego umysłu, by to uchwycić, tym intensywniej przewracała się na łóżku. Rory jęknęła, próbując wydostać się z objęć snu. Kiedy spróbowała ucieczki, ponownie usłyszała głos Camille Byrd. Odwróciła głowę i zobaczyła, że dziewczyna znów stoi na pagórku z kocem zarzuconym na ramiona. Żółta halogenowa latarnia malowała jej cień na murze, a obraz ten odblokował coś w głowie Rory. Zrozumiała wreszcie, co nie dawało jej spokoju i że to Camille jej pomogła.

- Dziękuję za odrestaurowanie mojej lalki. Ona znaczy tak wiele dla mojego ojca.

Rory zobaczyła lalkę Kestner, która spoczywała w ramionach Camille. Dziewczyna pomachała do niej ręką, a Rory zaczęła biec.

Rozdział 38

Chicago, 5 listopada 2019 r.

Obudziła się wstrząśnięta i zaczęła wierzgać. Pościel zaplątała się jej wokół nóg i potrzebowała chwili, żeby je uwolnić. Była cała zlana potem, a serce wciąż jej łomotało na wspomnienie snu. Kiedy przypomniała sobie obraz przedstawiający cień Camille Byrd na murze, wyskoczyła z łóżka. Pospiesznie założyła džinsy i koszulkę, po czym wcisnęła stopy w swoje wojskowe buty. Zabrała po drodze wełnianą czapkę, po czym wypadła przez frontowe drzwi i wsiadła do samochodu.

Minęła północ i na drogach panował spokój, więc do domu opieki dojechała w ciągu kwadransa. Wjechała na żwirowy trakt, na którym wcześniej stały ambulans i wóz strażacki. Zostawiła uruchomiony silnik i otwarte drzwi po stronie kierowcy, po czym wbiegła do budynku.

W ciągu ostatnich lat Rory wielokrotnie przyjeżdżała w to miejsce o tak późnej porze i wiedziała, że dom opieki będzie uśpiony. Kiedy buty Rory zagrzechotały na posadzce w holu, siedzący na recepcji mężczyzna uniósł głowę.

- Dobry wieczór - wyszeptał głosem, który miał informować o tym, że o tej porze panuje tu cisza nocna. - Przyjechała pani w odwiedziny do kogoś?

- Muszę zobaczyć dziennik wizyt z wczorajszego dnia.
- Chce się pani wpisać?
- Nie, muszę tylko zerknąć na ten arkusz.
- Szuka pani konkretnego pacjenta?

Rory westchnęła. Mogła to rozegrać na jeden z dwóch sposobów: wymusić posłuszeństwo, grożąc natychmiastowym przybyciem Rona Davidsona z policji, który sprawdzi dla niej ten dziennik, albo zagrać kartą współczucia. Postawiła na to drugie.

- Wczoraj zmarła moja ciotka. Jej bliska przyjaciółka zjawiała się u niej tuż przed śmiercią, a ja zapomniałam jej nazwiska. Jestem pewna, że się wpisała, i mam nadzieję, że rozpoznam to nazwisko.

- Ach. - Mężczyzna natychmiast złagodniał. - Oczywiście.

Sięgnął do szuflady biurka i wyjął segregator z trzema kólkami. Położył go na blacie, odwrócił w stronę Rory i otworzył. W segregator zostały wpięte wszystkie arkusze wizyt z ostatniego roku. Wczorajszy znajdował się na samej górze. Rory przysunęła palec do pierwszego nazwiska i zaczęła przesuwając nim w dół, aż znalazła to właściwe.

Przed oczami natychmiast stanęły jej listy, które Thomas Mitchell napisał do jej ojca. Pismo Złodzieja było staranne, zapisane wielkimi literami i idealnie proste, mimo że papier nie był liniowany. Rory przypomniała sobie wyjątkowy sposób, w jaki zapisywał literę „A”, niczym odwrócone „V”.

Ten charakterystyczny znak rzucał się w oczy w każdym zapisanym słowie. Teraz Rory widziała go bardzo wyraźnie. Wnętrze domu opieki zaczęło wirować. Przypomniała sobie Camille Byrd ze snu, kiedy dziewczyna stanęła, a latarnia namalowała jej cień na murze z cegieł. Wróciła myślami do wieczora, kiedy znalazła się w alejce za domem Angeli Mitchell, gdy jej nogi uformowały odwróconą

literę „V”. Rory przypomniała sobie również dziwne wrażenie, które odniosła tamtej nocy. Poczula je ponownie poprzedniego dnia, kiedy wpisywała się w dzienniku odwiedzin. Jakieś przeczucie wołało o jej uwagę na moment przed tym, jak zobaczyła pielęgniarkę spieszącą z tragiczną wieścią na temat Greta. Teraz, po nocnym spotkaniu z Camille Byrd, Rory potrafiła już je zrozumieć. Na stronie, która miała przed sobą, widziała pismo należące do Thomasa Mitchella, z jego odwróconym „V”.

Osoba, która przyszła w odwiedziny do pacjentki z pokoju sto dwadzieścia jeden, zapisała w dzienniku nazwisko Greta starannymi, wielkimi literami: *MARGARET SCHREIBER*.

Rozdział 39

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Dochodziła druga nad ranem, kiedy Rory skręciła w zjazd z autostrady, która była niemal zupełnie pusta, nie licząc pojedynczych par reflektorów. Kiedy znalazła się na sennych, wiejskich drogach prowadzących w kierunku parku stanowego Starved Rock i domu ukrytego wśród drzew, poczuła się bardzo samotna. Pokonała tę trasę dwukrotnie, a podczas tej trzeciej wyprawy nie potrzebowała już nawigacji. Nie zawahała się na żadnym ze skrzyżowań, nie zastanawiała nad żadnym ze zjazdów. Znała drogę. Trasa zapisała się w jej pamięci jak inne rzeczy, z którymi miała do czynienia. Tak samo zapisywane i katalogowane były wszystkie szczegóły jej życia.

Rory nie zawsze była świadoma istnienia rzeczy, które jej umysł dostrzegał lub odkrywał, nie zawsze też rozumiała gigantyczne objętości materiałów rejestrowane przez jej pamięć. Jednak od przebudzenia i snu, w którym znalazła ducha Camille Byrd na trawiastym pagórku w Grant Park, wszystkie tajemnicze momenty jej dzieciństwa i wspomnienia z domu na farmie wróciły do niej z niezwykłą przejrzystością. Były pośród nich obrazy przedstawiające ciotkę Gretę, rodziców Rory, wizyty w domu opieki i rekonstruowane lalki, wypowiedane przez ciotkę słowa, które pozornie nie miały sensu, tajemnicze pragnienie, które zaprowadziło ją na pole za

domem na farmie, jej natychmiastowego powiązania z Angellą Mitchell i ich niemalże identycznych objawów fobii społecznej i dolegliwości obsesyjno-kompulsywnych. Wiedziała, co to wszystko oznacza. W końcu uchwyciła ten ulotny element swojego istnienia, który zdecydowanie zbyt długo był poza jej zasięgiem, a który - jak się okazało - wymagał jedynie delikatnego popchnięcia przez ducha martwej dziewczyny czekającej na jej pomoc.

„Prawdę jest łatwo przeoczyć, nawet kiedy mamy ją tuż przed oczami”.

Właśnie te słowa zaprowadziły Rory nocą w to miejsce. Znajdowała się na skraju ciemności, a jej dusza czuła się nią skalana. Nie miała pewności, czy uda się jej naprawić tę mutację samego rdzenia jej życia, jednak gniew pchał ją do tego, by chociaż spróbować. W końcu skręciła po raz ostatni w trakcie swojej podróży. Reflektory jej samochodu były jedynym źródłem światła w absolutnym mroku panującym dookoła. W końcu je zgasiła. Pozostał jej tylko księżyc, ale nawet on nie oferował zbyt wiele blasku tej nocy. Zjechała na pobocze, chrzęszcząc oponami po żwirze, po czym wyłączyła silnik. Dwieście metrów dalej miała przed sobą zasłonięty koronami drzew dojazd do domu Thomasa Mitchella.

Po raz setny chwyciła telefon i spojrzała na ekran. Miała już przygotowany numer do Lane'a, dzięki czemu mogła go szybko wybrać podczas jazdy do Starved Rock, ale nie zdecydowała się zadzwonić. To samo dotyczyło numeru Rona Davidsona, który również przygotowała sobie podczas trwającej godziny podróży. Kontakt z jednym z tych dwóch mężczyzn oznaczałby, że nie mogłaby zrobić tego, co zamierzała. Rory zdecydowała ostatecznie, że tej nocy w jej życiu będzie tylko jeden mężczyzna - ten, który odegrał w nim milczącą i tajemniczą rolę. Mężczyzna,

który zapewne w jakimś sensie ukształtował jej charakter. Mężczyzna, który odebrał jej więcej, niż mogła tej nocy odzyskać.

Kiedy wysiadła z samochodu i zablokowała drzwi, zaczęła się zastanawiać, czy wygaszenie źródła ognia było w stanie zdławić płomienie szalejące w przyległych miejscach. Panująca w nocy cisza nie pozwoliła jej znaleźć odpowiedzi na własne pytanie, skierowała się więc w stronę osłoniętego drzewami dojazdu. W połowie drogi między samochodem a domem natrafiła na ścieżkę prowadzącą do lasu. Zaświeciła latarkę w telefonie i poszła dróżką. Dwieście metrów dalej usłyszała delikatny chlupot wody i uświadomiła sobie, że ma przed sobą rzekę. Kiedy wyszła spośród drzew, zobaczyła wodę wylewającą się z koryta. W jej powierzchni odbijał się blask księżyca, rysując na ziemi mistycznego węża wijącego się w nocy między drzewami. Podążyła wzdłuż brzegu przez kolejne dwieście metrów, aż dotarła do pomostu, który zobaczyła podczas swojej pierwszej wizyty w tym miejscu z Ezrą Parkerem i Naomi Brown. Od pomostu w górę stromego wzniesienia ciągnęły się zaniedbane, drewniane schodki. Weszła po nich ostrożnie, aż poczuła pulsowanie w mostku i szum krwi w głowie.

U szczytu schodów ujrzała dom stojący na środku terenu o powierzchni pięciu akrów. Prostokątna polana otoczona była lasem. Kiedy ruszyła powoli w stronę budynku, księżyc rzucał na ziemię jej słaby cień. Tej nocy był on jedynym towarzyszem Rory.

Rozdział 40

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Zdecydowała się podejść od tyłu. W oknach panowała ciemność tak gęsta, że Rory wydawało się przez chwilę, iż patrzy prosto w czarną dziurę. Drogę dzielącą ją od skrajy lasu do ściany budynku pokonała bardzo ostrożnie, ponieważ wyłączyła wcześniej latarkę. Trawa pod jej stopami wydawała się równa i chodzenie po niej nie sprawiało jej na szczęście większych trudności. Kiedy jednak znalazła się w odległości około pięćdziesięciu metrów od domu, postawiła krok, ale nie poczuła pod stopą żadnej powierzchni. Straciła równowagę i spadła o niecały metr w dół. Już w tym momencie było za późno, żeby kontrolować upadek. Uderzyła twarzą o ziemię i poczuła w nozdrzach zapach wilgotnej gleby.

Leżała przez chwilę nieruchomo, próbując dojść do siebie po wstrząsie. Wymacała telefon, który wypuściła z dłoni. Kiedy go znalazła, włączyła latarkę. Rozejrzała się dookoła i natychmiast zrozumiała, że znajduje się w świeżo wykopanym dole. Zobaczyła nad sobą kopiec ziemi. Uklęka powoli, po czym zaczęła się podnosić w dziurze, która gdy wstała, sięgała jej do pasa. Oddychając z trudem, spojrzała w stronę domu. Wokół panowały cisza i spokój.

Wyszła z dołu, schowała telefon i pokonała odległość dzielącą ją od zabudowania. Kiedy znalazła się na żwirowej drodze okalającej cały dom, przypomniała sobie, jak dwa dni wcześniej przejeżdżała tędy samochodem. Poszła tą samą drogą, dotarła do frontowej części domu i sięgnęła do kieszeni, gdzie wymacała jedyną broń, której zabranie uznała za stosowne - scyzoryk подарowany jej przez Kipa.

Rozłożyła go, stąpając po żwirze. Kamyki i czerwona glina pokrywające podłoże chrzęściły pod jej wojskowymi butami. Kiedy nastąpiła na jeden ze stopni prowadzących na werandę, ten zaskrzypiał pod jej ciężarem. W absolutnej ciszy panującej wokół równie dobrze mogłaby wystrzelić z działa. Po chwili nerwowego oczekiwania Rory weszła na kolejny stopień, a potem na następny, aż stanęła przed samymi drzwiami wejściowymi. Nie zamierzała dłużej zwlekać, bo tylko narosłoby jej zdenerwowanie. Sięgnęła do klamki i ją nacisnęła. Drzwi otworzyły się bez protestu, a zawiasy jęknęły cicho, kiedy pchnęła je do środka. Odczekała pół minuty, czując drżenie w końcówkach palców. Kiedy weszła do środka, powitała ją ciemność.

Umysł Rory natychmiast przywołał plan parteru, który zapisał się jej w głowie podczas pierwszej wizyty w tym miejscu, kiedy przeprowadzała kontrolę w towarzystwie kuratora i pracownicy społecznej. Pomimo panującego tam mroku wiedziała, gdzie znajdują się trzy pomieszczenia - salon, kuchnia i weranda na tyłach domu. Schody po lewej stronie prowadziły do dwóch sypialni i łazienki. Mitchell musiał przebywać na górze i z pewnością spał. Prawdopodobnie spała również Greta, kiedy wszedł do jej pokoju w domu opieki.

Zaczęła wchodzić po schodach, czując wibrujące w zaciśniętej dłoni ostrze.

Sypialnie okazały się puste. Łóżka były niepościelone, nie ujrzała na żadnym z nich prześcieradła czy kołdry. Wróciła na parter, włączyła latarkę w telefonie i zatoczyła nią krąg dookoła. Na ławie zauważyła rozrzucone w nieładzie papiery. Podniosła jedną z kartek i ujrzała jego staranne pismo, którym sporządził swoją wieloletnią kronikę poszukiwań żony. Rory poczuła dziwny ucisk w żołądku. Nie mogąc się powstrzymać, usiadła na sofie, odłożyła scyzoryk na ławę i zaczęła przerzucać kartki. Nietrudno byłoby jej całkowicie się zatracić w tych słowach, poddać pragnieniu zrekonstruowania wydarzeń sprzed wielu lat i przekonać się, dokąd zaprowadziły go te wszystkie poszukiwania. I pewnie uległaby nawet tej pokusie, gdyby nie natrafiła na narysowaną odręcznie mapę.

Wszędzie wokół atakowała ją specyficzna litera przypominająca odwrócone „V”. Próbowała zrozumieć, co widzi. Wyglądało to jej na rysunek przedstawiający położenie domu i działki, na której się znajdował. Zarys architektoniczny nieruchomości i jej granic. Na formalnym schemacie rozrysowano ręcznie prostokątne pola. Tworzyły one siatkę i zajmowały cały teren za domem. W każdym z pól wpisane zostało nazwisko. Rory natychmiast rozpoznała tożsamości kobiet, które zaginęły w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Upuściła rysunek na podłogę, kiedy sobie uświadomiła, że trzyma w dłoni mapę prowizorycznego cmentarza i że całkiem niedawno wydostała się ze świeżo wykopanego grobu.

Rozdział 41

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Rory stała w salonie w domu Thomasa Mitchella z mapą cmentarza u stóp i czuła, jak gwałtownie rośnie jej temperatura. Poczowała pot występujący na plecach i karku i szybko się przekonała, że nie może oddychać. Podobny epizod przeżyła kilka dni wcześniej, kiedy próbowała złożyć w całość odkrycia dotyczące Greta i Angeli. A teraz znów nadchodził ten sam przerażający atak paniki.

Rory zerwała czapkę z głowy i usiłowała rozpiąć guziki płaszcza. Kiedy jej puls zaczynał osiągać niepokojącą wartość, udało się jej rozpiąć górną część okrycia i zaraz poczuła na szyi powiew chłodnego powietrza. Dzięki temu na moment odzyskała jasność myśli i poczuła przytłaczające wręcz pragnienie ucieczki z tego miejsca. Płuca bolały ją tak mocno, że w końcu zassała gwałtownie powietrze. Nie gasząc latarki w telefonie, Rory zabrała scyzoryk ze stołu, przeszła pospiesznie przez salon i wpadła do kuchni. Otworzyła drzwi prowadzące na werandę, planując przeciąć tylną część działki, znaleźć schody prowadzące do rzeki i pobiec do samochodu. Kiedy wyszła na werandę, wszystkie myśli związane z opuszczeniem tego miejsca natychmiast wyparowały. Jakaś kobieta siedziała na krześle z nylonową pętlą założoną na szyję i rękami skrępowanymi z tyłu, za plecami. Drżenie, które Rory czuła w

opuszkach palców, teraz ogarnęło całe jej ciało. Podeszła bliżej i uświadomiła sobie, że patrzy na Catherine Blackwell.

Pętla okalająca jej szyję została przymocowana do sznura, który biegł ku dużej, drewnianej konstrukcji przyśrubowanej do sufitu werandy. Rory poświeciła telefonem. Sznur wił się pomiędzy trzema krążkami - w górę, w dół, w górę i w dół - a jego drugi koniec leżał na podłodze niedaleko Catherine. Konstrukcja miała kształt litery „M” i Rory natychmiast przypomniała sobie rysunki Angeli. Podobne urządzenie odkryła ona w magazynie należącym do jej męża.

Rory oderwała snop światła od sufitu i podbiegła do kobiety.

- Catherine! Słyszysz mnie?

Ledwie wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że to, co robi, nie ma już żadnego znaczenia. Oczy kobiety pozostawały zamknięte, a jej ciało było zimne. Rory odblokowała telefon, co udało się jej uczynić po kilku niezdarnych próbach przesunięcia po ekranie dygoczącym palcem. Kiedy w końcu zobaczyła ikony, zawahała się przez moment, zastanawiając się, czy powinna zadzwonić bezpośrednio do Rona Davidsona, czy na policję. Kiedy próbowała podjąć szybką decyzję, zobaczyła w oddali światła. Przez siatkę na werandzie dostrzegła kołyszący się, długi stożek z latarki, który przecinał ciemność i kołysał się w miarę jak trzymająca ją osoba zbliżała się do domu.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądał budynek, kiedy pokonała schody pnące się od strony rzeki paręnaście minut wcześniej, Rory uzmysłowiła sobie, że blask jej własnej latarki w komórce z pewnością jest widoczny w ciemnościach. Szybko zakryła ją dłonią i przycisnęła do piersi. Nadal kucając przy ciele Catherine, wyłączyła latarkę i schowała telefon do kieszeni. Odwróciła się szybko i wbiegła z powrotem do kuchni.

Kiedy podeszła cicho do drzwi prowadzących na frontową werandę, zobaczyła zbliżające się światło latarki. Odległość skurczyła się o połowę i obcego dzieliło od domu jakieś trzydzieści sekund spaceru. Rory zaczęła kręcić się po ciemnej kuchni w poszukiwaniu kryjówki. Uświadomiła sobie, że znów przestała oddychać i wystraszyła się na samą myśl, że będzie zmuszona o tym oddechu pamiętać. Na ścianie wymacała klamkę drzwi prowadzących do spiżarni. Otworzyła je i wsunęła się do środka w tym samym momencie, w którym zaskrzypiały drzwi prowadzące na dwór.

- Wciąż masz w sobie ostatnią rundę? Jestem pewny, że tak.

Rory zadrżała, kiedy usłyszała głos Thomasa Mitchella.

Rozdział 42

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Rory walczyła o kontrolę nad oddechem, ukryta w spiżarni, i przystawiała nos do samych drzwi niczym do wieka skrzyni. Uderzył ją zapach pleśni i kurzu, aż do oczu napłynęły jej łzy. Między drzwiami i framugą wciąż widoczna była minimalna szczelina. Poczowała ucisk w żołądku i dudnienie w uszach, kiedy zobaczyła, jak Thomas Mitchell przygotowuje sobie w kuchni posiłek. Stał w odległości nie większej niż metr i mieszał jedzenie w metalowej misce. Po chwili spróbował go na stojąco, oddzielony klinicznie od radości płynącej ze smakowania i zainteresowany wyłącznie potrzebą napełnienia żołądka.

Po wejściu do domu zapalił światła, dzięki czemu Rory widziała wyraźnie kuchnię i werandę. Kiedy przyjrzała się uważniej, dostrzegła czerwone ślady, które zostawiła na całej podłodze. Przeniósła wzrok w miejsce położone bezpośrednio przed werandą i zobaczyła rozmazane odciski, które zostawiła w chwili, kiedy pospiesznie szukała kryjówki. Natychmiast poczuła narastającą panikę i skoncentrowała się na pracy płuc oraz wyrównaniu oddechu. Odnosiła wrażenie, że każdy oddech bierze przez tubę i obawiała się, że w każdej chwili Thomas może podejść do spiżarni, otworzyć drzwi i odkryć swoją nagrodę. Gotowa była drapać i gryźć,

szczypać i bić. Nie zawahałaby się odgryźć jakiegokolwiek kawałka jego ciała, gdyby ten znalazł się blisko jej ust. Jedyną rzecz, na którą nie była gotowa, to śmierć z ręki tego człowieka. Podało mu się już zbyt wiele kobiet. To właśnie z tej przyczyny Rory teraz na niego patrzyła, zamiast biec do otoczonego drzewami traktu w stronę swojego samochodu. Dopiero teraz sobie to uzmysłowiła.

Jak zwykle jej świadomy umysł potrzebował chwili, żeby dostosować się do podświadomości. Ale teraz już wiedziała, dlaczego nie zdecydowała się wybiec przez frontowe drzwi, kiedy miała taką okazję, i dlaczego wyłączyła telefon, zamiast wybrać numer na policję. W taki sam sposób duch Camille Byrd przemówił do niej przed kilkoma godzinami. Były też inne kobiety, które potrzebowały pomocy Rory. Inne kobiety, które czekały na spokój i ukojenie. Te, które spoczywały w ziemi za domem, nie mogąc zaznać spokoju przez czterdzieści lat. Rory nie potrafiła się do nich wszystkich odwrócić plecami, podobnie jak do Camille Byrd. Nie potrzebowała już Lane'a ani Rona, ani kogokolwiek innego, kto mógłby pomóc czekającym na nią kobietom. One potrzebowały Rory, a Rory musiała na to wołanie o pomoc odpowiedzieć.

Kiedy te myśli materializowały się w jej głowie, Thomas odstawił metalową miskę na kuchenny blat i skierował kroki w stronę spiżarni. Rory cofnęła się o kilka centymetrów w ciemną przestrzeń za swoimi plecami. Jej płuca było już tak trudno wypełnić powietrzem, że obawiała się ujawnienia swojej kryjówki. Przymknęła oczy, czekając na srebrne światło, które wtargnie do spiżarni po otwarciu drzwi. Światło będzie jej sygnałem do ataku. Do dzikiej walki o życie. Do walki w imieniu Catherine, w imieniu wszystkich utraconych dusz spoczywających w ziemi za domem. Naprężyła mięśnie, szykując się

do skoku. Zamiast tego jej ciężki oddech utonął w dźwiękach muzyki.

Otworzyła szerzej oczy i zamrugła, po czym natychmiast przysunęła nos do szczeliny między drzwiami i futryną. Spojrzała na kuchnię, ale Thomasa w niej nie było. Dom wypełniły dźwięki Requiem Mozarta, z początku łagodne, później mocniejsze, coraz głośniejsze. W końcu go zobaczyła. Minął spiżarnię i wyszedł na werandę.

Rozdział 43

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

W domu muzyka zagłuszała wszystko, ale tutaj, na werandzie, jej głośność była odpowiednia. Miał nadzieję, że dźwięki okażą się wystarczające, żeby ją poruszyć, żeby sprowadzić ją z powrotem. Marzył o tym, by liryczny refren Requiem Mozarta wybudził ją i powiedział jej, co nadchodzi. Ledwie przetrwała ostatnią rundę i nie miał pewności, czy jeszcze żyła. Uderzenia brakowało mu o wiele bardziej, niż sobie wyobrażał, a teraz znów zapragnął je poczuć.

Oba ślady, którymi podążał, okazały się nietrafione. Jedna z kobiet okazała się zbyt stara, żeby cokolwiek zaoferować, nawet jeśli wydawało mu się, że znała prawdę. Nie miał jednak czasu, żeby ją z niej wyciągnąć. Liczył na to, że bardziej mu się poszczęści z tą drugą, którą miał teraz przed sobą, ale w jego poszukiwaniach Angeli okazała się równie bezużyteczna. Kiedy uznał, że nie wie, dokąd się udać w dalszej kolejności, poddał się swojemu długo tłumionemu pragnieniu poczucia Uderzenia.

Słyszając odę do zagubionych dusz dochodzącą z głębi domu, Thomas wszedł na stołek stojący w odległości niecałych dwóch metrów od Catherine. Założył sobie na szyję nylonową pętlę i natychmiast poczuł wypełniające go całego endorfiny. Zacisnął pętlę i powoli zsunął się ze stołka, obserwując jednocześnie, jak Catherine

unoszą się z krzesła. Widok był przecudowny. Dzięki czarującej muzyce i Uderzeniu przenikającemu jego ciało Thomas Mitchell osiągnął stan euforii.

Zamknął na chwilę oczy. Choć wyszedł już z wprawy, przypomniał sobie o niebezpieczeństwach płynących z niepowściągliwości. Uderzenie było tajemną praktyką, było czymś najbardziej zbliżonym do błogostanu i kusilo go jak marchewka na kiju, by wyciągnął dłoń i je poczuł. Ale Thomas wiedział, że ten kij trzyma Ponury Żniwiarz, a przedawkowanie Uderzenia oznaczałoby koniec. Może na tym polegała cała ta pokusa. Ekstaza i śmiertelność oddzielone od siebie cienką linią.

W tej chwili jednak odczuwał euforię, a całe jego ciało dygotało od Uderzenia. Otworzył oczy, by ponownie spojrzeć na kobietę, która kołysała się na sznurze tuż przed nim. Doświadczył tego, jak w magiczny sposób lewitowała. Zjawisko to było wspaniałe i doskonałe. Do czasu. Do chwili, kiedy dostrzegł coś na skraju pola widzenia. Przestraszyło go to. Otworzył całkowicie oczy i zaczął gorączkowo manipulować przy pętli na szyi, jednocześnie szukając stopą stołka.

Rozdział 44

Starved Rock, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Rory obserwowała ze swojej kryjówki w spiżarni Thomasa, który przesunął na środek werandy niewielki stołek. Przez chwilę kombinował przy pętli. W końcu stanął na stołku, założył sobie pętlę na szyję i powoli zszedł ze stołka, unosząc jednocześnie Catherine w powietrze niczym magik używający różdżki. Na ten widok Rory straciła resztki oddechu, które miała w płucach.

Wyglądając przez szczelinę w drzwiach spiżarni, stała się świadkiem dziwnej sceny, która rozegrała się na jej oczach. Rekonstruowała już sprawy, w których dochodziło do godnych pożałowania przypadków asfiksji autoerotycznej, kiedy to jacyś zbrodniecy osiągnęli zaspokojenie seksualne poprzez podduszenie ofiar lub siebie samych. To, co widziała na własne oczy, było jednak zupełnie inne. Nie był to akt seksualny, lecz nieco inny rodzaj perwersji, jeszcze bardziej niepokojący. Ekstaza, którą osiągał Thomas Mitchell, nie wynikała z żądzy zaspokojenia popędu seksualnego, lecz z przyjemności związanej z obserwowaniem śmierci innej osoby.

Rory patrzyła na kołyszące się bezwładnie nogi Catherine, którą do góry wywindował ciężar ciała Thomasa na drugim końcu konstrukcji. Przypomniała sobie układ krążków, który Angela narysowała w

swoich notatkach, kiedy opisywała znalezisko w magazynie należącym do firmy jej męża. Thomas zdołał zrekonstruować ten system tutaj, w swoim domu, a tuż obok niego wisiała jedyna przyjaciółka jego żony. Ktoś, kogo z pewnością oskarżył o udzielenie Angeli pomocy podczas jej zniknięcia czterdzieści lat wcześniej. Jakże bardzo się pomylił, pomyślała Rory.

Kiedy Thomas opuścił się płynnym, powolnym ruchem, zatrzymał jedną nogę na stołku w ramach zabezpieczenia, po czym położył się tak nisko, że nacisk okazał się zbyt duży i groził utratą przytomności. Kiedy ponownie uniósł się ku górze, Catherine opadła z powrotem w dół. Rory obserwowała tę perwersyjną huśtawkę pośród dźwięków muzyki klasycznej dobiegającej z głębi domu.

Kiedy zobaczyła, że Thomas znów zaczyna opadać, żeby zatrzymać się w odległości trzydziestu centymetrów nad podłogą, a pętla zacisnęła się tak mocno, że jego twarz spurpurowiała, poczuła w piersi coś dziwnego. Uczucie to okazało się tak samo silne jak przed laty, w domu na farmie. Szybkim ruchem otworzyła drzwi spiżarni. Wszystkie odgłosy na szczęście wytłumił Mozart. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła scyzoryk z logo Dark Lorda. Rozłożyła go, aż na ostrzu zaśniło światło z werandy. Kiedy przekroczyła próg, jej ruchy przestraszyły Thomasa, który zaczął rozpaczliwą walkę o odzyskanie równowagi na stołku. Jego zaczerwieniona twarz przybrała jeszcze głębszy odcień. odcień purpury.

Thomas próbował stanąć na stołku, wymachiwał nogami, aż jego prawa stopa zetknęła się z powierzchnią mebla. Gdyby dysponował jeszcze kilkoma sekundami, stołek znalazłby się pod nim i mógłby zwolnić nacisk pętli na szyję. Rory zadbała o to, żeby tych kilku sekund nie dostał. Podeszła do niego powoli i ich spojrzenia się spotkały. Jej wzrok był spokojny, kalkulujący, a jego spanikowany i

rozpaczliwy. Choć raz Rory nie miała najmniejszego problemu z tym, by nawiązać kontakt wzrokowy. Pomyślała o ciotce Grecie, samotnej w swoim pokoju w nocy, kiedy Thomas do niej przyszedł. Pomyślała o kobietach zakopanych w prowizorycznych grobach za tym domem. Pomyślała o Catherine i o Angeli.

Rory złożyła scyzoryk, uznawszy, że nie będzie go potrzebowała. Kiedy Thomas postawił stopę na stołku, kopnęła z całej siły i wybiła go spod niego. Mężczyzna opadł o kilkanaście centymetrów i zatrzymał się z mocnym szarpnięciem. Patrzyła, jak sięga do szyi, bez powodzenia próbując wcisnąć palce między pętlę a skórę. Kiedy zaczął się szamotać, Rory ze spokojem obrzuciła go spojrzeniem, a potem się pochyliła i wyszeptała mu coś do ucha. Jego wytrzeszczone oczy zrobiły się jeszcze większe. Następnie skierowała swoją uwagę na Catherine.

Nie mogła pozwolić na to, żeby wisiała niczym półtusza w rzeźni. Po kilku minutach Rory udało się ułożyć jej ciało na podłodze werandy. Następnie, zerkając na wciąż podrygującego lekko Thomasa, wróciła do kuchni i podniosła słuchawkę telefonu z widełek. Wizytówka tkwiła wciśnięta w szczelinę między gniazdkiem a ścianą. Wybrała numer, zaczekała, aż osoba na drugim końcu linii się odezwie, po czym odłożyła słuchawkę na kuchenny stół.

Kiedy Rory opuściła w końcu dom, zostawiła otwarte drzwi wejściowe. Gdy zbliżała się do samochodu, wciąż słyszała słabe dźwięki Requiem Mozarta.

Rozdział 45

Chicago, 5 listopada 2019 r.

Kiedy Rory zatrzymała samochód przy krawężniku przed domem, dochodziła szósta nad ranem. Wbiegła bosą po stopniach i użyła klucza. Gdy weszła do środka, skierowała kroki prosto do salonu, zabrała gazety wetknięte w kosz stojący przy kominku i wcisnęła je pod kawałki drewna spoczywające na palenisku. Zapaliła zapałkę i przyłożyła płomyk do papieru, po czym starannie podsyciła ogień, żeby dobrze się rozpałił. Ułożyła na górze kolejne szczapy, układając z nich precyzyjny stożek, żeby zapewnić maksimum ciepła.

Kiedy skończyła, rozebrała się i wrzuciła ubranie do ognia - najpierw dżinsy i koszulkę, a następnie płaszcz i czapkę. Zaczekała chwilę, aż płomień pochwyca tkaninę. Ogień stał się bardziej intensywny, kiedy zaczął pożerać ubrania. Kiedy w końcu zniknęły, uciekając przez komin w postaci popiołu, Rory chwyciła swoje buty wojskowe Madden Girl Eloisee, które pokrywała czerwona glina - pamiątka po wyprawie przez las do domu pod Starved Rock. Włożyła je do ognia.

Stojąc w samej bieliźnie, patrzyła, jak buty zaczynają się topić. W końcu weszła na piętro i wskoczyła do łóżka.

Lane Phillips otworzył drzwi wejściowe i wszedł do domu Rory. Dochodziło południe, a ona wciąż nie odbierała jego telefonów.

Dzwonił kilkakrotnie. Zauważył płonące szczapy w gasnącym kominku w salonie.

- Rory? - zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Zajrzał do gabinetu. Pusto. Przeszedł do pracowni. Również pusto, nie licząc lalek na półkach. Wszedł na górę i zastał ją śpiącą w łóżku. Rory Moore nigdy nie była rannym ptaszkiem, ale spanie do południa też było w jej przypadku stosunkowo rzadko spotykane. Lane podszedł, żeby się jej przyjrzeć z bliska. Pościel unosiła się i opadała w miarę jej rytmicznych oddechów, a Lane nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział ją śpiącą tak głęboko.

Zauważył coś wystającego spod koca. Odsunął go na bok i znalazł podniszczony egzemplarz swojej pracy doktorskiej. Narożniki były powyginane od częstego czytania, a niektóre arkusze wymięte. Lane przekartkował dokument i zobaczył notatki Rory na marginesach wielu stron. Kiedy zbliżył się do końca, znalazł zagiętą kartkę w rozdziale, w którym opisał, dlaczego mordercy mordują, oraz przedstawił mechanizmy psychologiczne stawiające człowieka na skraju przepaści i podejmującego decyzję o tym, czy odebrać komuś życie. Na samym środku strony zakreślono markerem jeden fragment. Przeczytał zamalowane na żółto zdanie: „Niektórzy wybierają ciemność, inni są przez nią wybierani”.

Strona była wilgotna od okrągłych plam, jakby ktoś skropił ją wodą. Woda, pomyślał Lane, czy łyż? Rozległ się dźwięk dzwonka na parterze i Lane uniósł głowę. Rory się nawet nie poruszyła. Znów ktoś zadzwonił do drzwi. Odłożył dokument na stolik, zszedł na dół, po czym otworzył drzwi stojącemu na werandzie Ronowi Davidsonowi.

Rozdział 46

Chicago, 5 listopada 2019 r.

- Rory?

Jej powieki zatrzepotały. Znów usłyszała dźwięk swojego imienia.

- Rory.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła stojącego przy łóżku Lane'a, który zaraz dotknął jej policzka.

- Hej, dobrze się czujesz?

- Tak - odparła i usiadła na łóżku. - W porządku.

W jej głowie natychmiast pojawiły się obrazy domu pod Starved Rock, Catherine Blackwell wiszącej na sznurze, Thomasa Mitchella pogrążonego w dziwacznej ekstazie. Przypomniała sobie swoją kryjówkę w spiżarni i cienki pasek światła między drzwiami i framugą. Dźwięki muzyki klasycznej wciąż dzwoniły w jej uszach.

- Która godzina?

- Południe - odparł Lane. - Słyszałaś, co mówiłem o Ronie?

- Nie, co z nim?

- Jest tutaj, na dole. Powiedział, że musi z tobą porozmawiać. Ponoć coś pilnego.

Rory zamrugała kilka razy. Zobaczyła egzemplarz pracy Lane'a na stoliku. Czytała ją wcześniej, zanim ogarnął ją głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Rory przeczesła dłonią włosy i skinęła głową.

- Powiedz mu, że za minutkę zejdę.

Kwadrans później cała trójka siedziała w salonie na parterze.

- Dziś rano odebrałem telefon z biura szeryfa hrabstwa LaSalle - oznajmił Ron. Siedział na sofie, a Rory i Lane zajęli fotele. Rory miała kominek po lewej stronie, Lane po prawej, a szef wydziału zabójstw z Chicago prosto przed sobą. Gdyby Rory mogła wybierać, zaprosiłaby go do kuchni. Niestety, kiedy zeszła na dół, Ron i Lane siedzieli już w salonie.

- Z hrabstwa LaSalle? - spytała Rory.

- Starved Rock - dodał Ron. - Wciąż łączymy ze sobą elementy układanki, ale wygląda na to, że Thomas Mitchell popełnił samobójstwo.

Rory zachowała niewzruszony wyraz twarzy. Tak reagowała zazwyczaj na tego typu wieści i zależało jej, żeby tym razem zareagować identycznie.

- W jaki sposób? - zapytała tylko.

- Powiesił się. Ale szczegółowe informacje wciąż spływają. Rozmawiałem tylko przez kilka minut z detektywem prowadzącym sprawę. W domu znaleziono jeszcze jedno ciało kobiety. Wygląda na to, że w jakiś sposób ją torturował. Chłopaki wciąż nad tym pracują.

- Jak go znaleźli?

- Nad ranem, mniej więcej o trzeciej, zadzwonił do swojego kuratora. Zostawił odłożoną słuchawkę na stole i się powiesił. Tak przynajmniej twierdzą. Ekipa śledcza wciąż przygląda się szczegółom. Facet był twoim klientem, pomyślałem więc, że wpadnę i dam ci znać. Właśnie się zbieram, żeby tam pojechać.

Rory pokiwała głową.

- Dzięki. - Spojrzała na Lane'a, a następnie z powrotem na detektywa. - Wybacz, że sprawiam wrażenie trochę nieobecnej, ale próbuję to sobie poukładać.

Rory obawiała się przede wszystkim, że zostawiła odciski palców na słuchawce telefonu lub w innym miejscu w domu, albo że nie udało się jej do końca usunąć czerwonych śladów wojskowych butów, kiedy wychodziła.

- No cóż, jest jeszcze więcej spraw do poukładania.

- Tak? A co jeszcze się stało?

- Policja stanowa znalazła w tym domu plan, który przypomina mapę miejsc pochówku kilku kobiet, które zaginęły w siedemdziesiątym dziewiątym. Wszystkie te kobiety zostały porwane przez Thomasa Mitchella.

- O Boże - jęknął Lane.

- Wygląda na to, że porwał je w Chicago, zamordował, a potem zakopał za domem swojego wuja. Kiedy jego krewny zmarł, otrzymał po nim nieruchomość w spadku. Sukinsyn prawdopodobnie przez cały czas wiedział, co Thomas tam robił.

Rory pokręciła głową.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Moi ludzie wezmą udział w śledztwie z uwagi na to, że ofiary pochodziły z Chicago. Biuro szeryfa też się do tego dołączy.

- To ma sens - odparła Rory.

- Powiedz mi, Szara, kiedy byłeś po raz ostatni w Starved Rock?

Rory popatrzyła na Rona.

- Hm, parę dni temu, kiedy pojechaliśmy z Lane'em odstawić Thomasa na miejsce.

- Doktorze? - zapytał Ron. - Wtedy byłeś tam ostatni raz?

- Tak - powiedział Lane. - A dlaczego? Co się dzieje?

- Tylko odhaczam fakty. Chłopcy z hrabstwa LaSalle prosili, żebym zapytał. Po prostu was informuję, bo skoro byliście w tym domu, to zapewne zechcą z wami porozmawiać.

- Jasne - odparł Lane.

Rory skinęła głową.

- Nie ma problemu.

W kominku trzasnęła żarząca się szczapa, a głośny odgłos zwrócił uwagę zebranych. Rory po raz pierwszy spojrzała w miejsce, w którym kilka godzin wcześniej spaliła swoje ubranie. Poczowała drżenie mięśnia na szyi, kiedy zobaczyła resztki jednego z jej butów na szczycie kupki popiołu. Była to jego przednia połowa - palce i podeszwa, około dziesięciu centymetrów skóry i gumy, których nie pochłonął ogień. But sterczał spomiędzy żarzących się kawałków niczym martwa ryba unosząca się na powierzchni wody w akwarium. Pokrywał go czerwony pył z gliniastej gleby otaczającej dom pod Starved Rock. Spojrzała na podłogę przed kominkiem i zobaczyła słaby, czerwony ślad w miejscu, gdzie postawiła swoje buty w oczekiwaniu na wypalenie się ciuchów.

W ułamku sekundy, podczas którego Rory uświadomiła sobie swoje błędy, Lane wstał z fotela i chwycił za pogrzebacz.

- Czegokolwiek będziecie od nas potrzebowali - powiedział, stojąc przed paleniskiem i blokując Ronowi widok - zrobimy wszystko, co konieczne, by wam pomóc.

Dorzucił kilka szczap do żarzącego się drewna, wzniecając iskry, które oddzieliły się od pomarańczowego blasku. Szczapy natychmiast zajęły się ogniem i płomienie znów ożyły. Rory wyraźnie widziała wewnątrz kominka i obserwowała Lane'a, który czubkiem pogrzebacza przesunął resztki jej wiśniowego buta w ogień. Dzięki temu roztopiły się one i spaliły w szybkim tempie.

Lane dorzucił do ognia kolejny kawałek drewna i zawiesił pogrzebacz na haczyku obok innych narzędzi. Rory zauważyła również, że przesunął dywanik leżący na podłodze przed kominkiem w taki sposób, by zamaskować karmazynowe ślady.

- Tak czy inaczej - ciągnął Ron - mamy w tej chwili niezły bałagan. Media będą wniebowzięte. Zważywszy na to, że nasz człowiek był twoim klientem, Rory, policja stanowa zechce porozmawiać również z tobą. Za moment tam jadę, więc może chcesz się ze mną zabrać?

Rory zapragnęła nagle pozbyć się Rona Davidsona z domu. Nie zmieniało to faktu, że posiadłość pod Starved Rock był teraz ostatnim miejscem, w którym chciała się znaleźć. - Tak - odparła i skinęła głową. - To chyba dobry pomysł.

Lane usiadł na fotelu. On również pokiwał głową. Nawiązali kontakt wzrokowy i przeprowadzili krótką, pozbawioną słów rozmowę za pomocą samych spojrzeń.

- To faktycznie dobre rozwiązanie - przyznał w końcu.

- Dasz mi chwilkę? - zapytała Rory.

- Oczywiście - odparł Ron i wstał z sofy. - Zadzwoń i dam znać moim chłopakom, że jesteśmy w drodze.

Ron podszedł do drzwi wejściowych, trzymając już telefon przy uchu. Kiedy wyszedł, Rory nadal patrzyła na Lane'a. Chciała z nim porozmawiać, o wszystkim mu opowiedzieć.

- Lepiej się ubierz - zasugerował Lane.

Dziesięć minut później Rory znalazła Rona na werandzie przed domem. Uniósł palec, kończąc właśnie rozmowę. W końcu wsunął telefon do wewnętrznej kieszeni płaszcza i rzucił jej pytające spojrzenie.

- Gotowa?

- Jasne - odparła Rory i poprawiła okulary na nosie. - W czym problem?

Ron popatrzył na jej stopy.

- Jeszcze nigdy cię nie widziałem bez twoich butów.

Rory wcisnęła na głowę zapasową czapkę, znaną w szufladzie komody. Dysponowała również zastępczym płaszczem, który zapięła teraz pod samą szyję. Posiadała jednak tylko jedną parę swoich wojskowych butów. Miały dziesięć lat, doskonale dopasowały się do jej stóp, a teraz zmieniły się w kupkę popiołu.

- No cóż - rzuciła. - Tam panuje niezły bałagan. Nie chcę ich sobie wybrudzić.

Powiedziawszy to, minęła swojego szefa i wsiadła do jego nieoznakowanego radiowozu.

Rozdział 47

Peoria, Illinois, 5 listopada 2019 r.

Na siedzeniu pasażera leżały dwie rzeczy oczekujące na dostawę. Rory zatrzymała się na parkingu biblioteki miejskiej imienia Harolda Washingtona. Podniosła jeden z przedmiotów - należącą do Camille Byrd lalkę Kestner - i weszła z nią do lobby. Zauważyła Waltera Byrda stojącego w niemal tym samym miejscu, w którym spotkała go przed kilkoma tygodniami. Poprawiła odruchowo okulary.

- Proszę wybaczyć, że to wszystko zabrało mi tyle czasu.

- Czy jest gotowa? - zapytał pan Byrd.

Rory wskazała drzwi biblioteki.

- Zaraz panu pokażę. Myślę, że będzie pan zadowolony z rezultatów.

Weszli w głąb biblioteki i znaleźli pusty stolik w narożniku. Rory położyła na blacie karton i otworzyła wieko. Ostrożnie wyjęła i podała mężczyźnie lalkę Camille. Walter Byrd chwycił ją, przełknął głośno ślinę i przesunął palcem po powierzchni jej twarzyczki. Rory zauważyła, że w oczach mężczyzny zalśniły łzy. Uniósł wzrok i popatrzył na nią.

- Dziękuję - powiedział. - Wygląda po prostu niesamowicie.

Rory odwróciła spojrzenie i skinęła głową.

- Chciałam panu powiedzieć, że teraz zajmę się już wyłącznie sprawą Camille. Muszę jeszcze zakończyć jedną rzecz, a potem całą uwagę poświęcę pańskiej córce.

Pan Byrd spojrzął na lalkę.

- Dziękuję - powtórzył.

Rory chciała mu powiedzieć, że Camille pomogła jej we wręcz niewyobrażalny sposób. Był on jednak równocześnie niewytłumaczalny i nikt by nie zrozumiał, w jaki sposób dusza nieżyjącej dziewczyny czekająca na pomoc Rory mogła przekazać jej tyle informacji. Zamiast tego powiedziała:

- Czuję pewne powiązanie z Camille i chcę jej pomóc. Obiecuję, że to zrobię.

Odwróciła się i wyszła z biblioteki, pozostawiając ojca Camille Byrd trzymającego doskonale odrestaurowaną lalkę z dzieciństwa jego córki. Kiedy znalazła się na zewnątrz, ruszyła w stronę samochodu, by dostarczyć we właściwe miejsce drugi przedmiot.

Pojechała długą, prostą, wiejską drogą, mijając po drodze niezliczone pola kukurydzy. Było późne popołudnie i słońce powoli zmierzało ku horyzontowi, świecąc na pomarańczowo nad płaskim terenem. Niebo było bezchmurne, a delikatny błękit ustępował miejsca głębokiemu, łososiowemu odcieniowi.

Za domem pod Starved Rock znaleziono ciała wszystkich kobiet zaginionych w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Ich tożsamości potwierdzono za pomocą danych uzyskanych na podstawie badań stomatologicznych, a bliscy ofiar w końcu odnaleźli spokój. Niestety wielu członków rodzin zamordowanych kobiet zmarło przed dokonaniem tego odkrycia. Większość rodziców odeszła, nie znając losu swoich córek. Żyło jednak ich rodzeństwo i wiele osób przyjechało na konferencję prasową, w trakcie której

detektyw Ron Davidson wyjaśnił niedawne odkrycie świata. Prasa i telewizja podchwyciły temat w oszałamiającym tempie. Czterdzieści lat później, Thomas Mitchell, wydarzenia z lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku i tragiczne znalezisko z za domu pod Starved Rock miały już na zawsze stać się częścią folkloru dla fanów kryminałów. Pozostawało tylko czekać, kiedy jakiś filmowiec zdecyduje się przenieść całą tę historię na ekran w formie dokumentu. W takiej sytuacji Rory nie zamierzała jednak otwierać drzwi komukolwiek, kto do nich zapuka i zacznie zadawać pytania. Chciała pozostać jedynie drobnym przypisem w historii Thomasa Mitchella, prawniczką, która krótko reprezentowała go podczas warunkowego zwolnienia. Nie chciała nawet, by o tym wspomniano, wiedziała jednak, że to jedynie pobożne życzenia. Jej zależało przede wszystkim na ukryciu prawdy. Prawdy na temat Angeli Mitchell, jej ucieczki na farmę Greta oraz dziecka, przy którego narodzinach zmarła. Dziecka, w którego żyłach płynęło DNA Thomasa Mitchella.

Na miłość boską, pomyślała Rory, ale ci wszyscy popaprańcy z internetu będą mieli używanie.

Nic dziwnego, że ludzie, którzy kochali ją najbardziej, dołożyli takich wysiłków, żeby ukryć tajemnice z przeszłości. Rory planowała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby nigdy ich nie ujawnić. Wiedziała jednocześnie, że będzie to wymagało dużego wysiłku. Ludzie nie przestaną szukać. Na czatach i na Reddicie rozgorzała już ożywiona dyskusja na temat jednej z ofiar, której ciała nie odnaleziono za domem Thomasa Mitchella, a mianowicie ciała jego żony Angeli. Kobiety, która w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku rozpoczęła własne śledztwo i doprowadziła do upadku Złodzieja.

W jednym z publicznych wątków wyrażano głębokie współczucie, mówiąc o tym, że skoro ciała Angeli nie wykopano, a teraz Thomas Mitchell już nie żył, miejsce jego złożenia może już na zawsze pozostać tajemnicą. Inny dialog miał nieco bardziej konspiracyjny charakter i sugerował, że istnieje proste wytłumaczenie dla faktu, iż jej ciała nie odnaleziono w ziemi za domem: Angela Mitchell wciąż żyła. Teorie spiskowe zawsze przebijały współczucie i w ciągu kilku minionych miesięcy ta wersja stawała się coraz popularniejsza, aż całkowicie zdominowała wszelkie dyskusje. Fani kryminałów uparli się, że Angela Mitchell wciąż gdzieś przebywa, i obiecali, że ją odnajdą.

Kiedy Rory jechała pustą, wiejską drogą, знаła już prawdę. W końcu wszystko zrozumiała. Nie tylko zdołała zrekonstruować śmierć Angeli, ale poskładała również w całość fragmenty własnego dzieciństwa. Te brakujące kawałki zmaterializowały się w sposób, który wręcz wstrząsnął duszą Rory. Była to rekonstrukcja, której ukończenie zabrało jej całe życie. Uważne badania i miesiące poszukiwań uzmysłowiły jej, że pozostała ostatnią osobą znającą prawdę. Nie miała najmniejszych zamiarów ujawniać jej komukolwiek na świecie.

Przez krótką chwilę rozważała nawet zwierzenie się Ronowi Davidsonowi, opowiedzenie mu o wszystkim. Pewnie powinna była to zrobić. Reperkusje były jednak zbyt nieprzewidywalne. Gdyby powiedziała o wszystkim Ronowi, bystrzy ludzie mogliby zacząć zadawać pytania, a śledczy mogliby złapać trop. Gdyby choć jeden z nich zaczął kopać z taką intensywnością, z jaką robiła to Rory, natrafiłby pewnie na ten sam rodowód, który odkryła ona sama. Był to jednak sekret, który postanowiła zabrać ze sobą do grobu.

Jedyni ludzie, którzy znali prawdę, już odeszli, a ona czuła satysfakcję na myśl, że gdziekolwiek przebywali w innym świecie, obserwowali ją, jak wybiera się w tę ostatnią podróż. Byli z niej dumni. Kiedy prowadziła samochód na pustej szosie, ogarnęło ją silne uczucie spokoju. Było to swego rodzaju pojednanie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła, a które pozwalało jej czuć się wolną i żywą, w pewien sposób wyzwoloną. Dokonała wyboru i była z niego zadowolona.

Droga zakończyła się rozwidleniem, na którym Rory skręciła w lewo. Chwilę później zobaczyła przed sobą dom na farmie. Upięknęło już trochę czasu od jej ostatniego pobytu w tym miejscu. Ciotka Greta przeniosła się do domu opieki kilka lat wcześniej i aż do tego dnia Rory nie miała powodów, by tutaj wracać. Jednak kiedy tylko ujrzała ten dom, z jego pomalowanym na niebiesko, cedrowym gankiem, uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za tym miejscem. Wspomnienia natychmiast przeniosły ją do letnich miesięcy, które spędziła tutaj jako dziecko.

Z głową pełną wspaniałych obrazów, Rory skręciła w żwirowy trakt. Zaparkowała przed samym domem, gdzie żwir już się kończył i grunt porastała trawa. Odczekała chwilę, jakby podświadomie się spodziewała, że ktoś otworzy drzwi od środka. Nie była pewna, jak by zareagowała, gdyby się okazało, że mieszkają tutaj nowi domownicy. To, co zamierzała zrobić, nie mogło jednak dłużej czekać. Pragnienie gdzieś w głębi duszy stało się zbyt silne, by je zlekceważyć. Po kilku minutach w domu na farmie wciąż panowała cisza i bezruch. Rory zerknęła na siebie we wstecznym lusterku. Nawet podczas długiej trasy na wieś nie zdjęła z nosa swoich plastikowych okularów, a wełniana czapka wciąż zasłaniała jej czoło.

Uniosła ręce i zdjęła jedno i drugie. Tego dnia nie mogła się ukrywać. Nie chciała tego. Nie potrzebowała tego.

Położyła okulary i czapkę na siedzeniu pasażera i podniosła drugi przedmiot, który zabrała ze sobą w podróż. Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Okrążyła dom z boku i znalazła się na podwórzu. Tylny ganek miała po lewej stronie i zaraz przypomniała sobie ze wszystkimi szczegółami tamtą noc, kiedy miała dziesięć lat i dziwne pragnienie wyciągnęło ją z łóżka, a następnie zaprowadziło na pole. Przypomniała sobie matowy księżyc i odległą burzę, która co pewien czas rozświetlała horyzont błyskawicami. Tego dnia zachodzące słońce pomalowało horyzont na liliowo, a niebo przybrało barwę ciemnego kobaltu.

Rory dotarła do niskiego ogrodzenia, które otaczało całą posesję. Ruszyła wzdłuż niego jak tamtej nocy, czując w środku niezwykle spokoj. Minęło niemal trzydzieści lat, a Rory w końcu zrozumiała znaczenie tamtej nocy. To pragnienie w piersi, ten magnetyzm, to poczucie spokoju, który ją ogarnął, kiedy podniosła z ziemi różę i wciągnęła do nozdrzy jej słodki zapach.

Rory podążyła wzdłuż ogrodzenia na tyły działki, aż do miejsca, w którym skręcało ono o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Kiedy dotarła na skraj prerii, spojrzała na ziemię. Przed wieloma laty, kiedy uczyniła to samo, znalazła kwiaty, które ciotka Greta zawsze ścinała w ogrodzie. Kwiaty, które później Rory pomagała układać w bukiety.

Wielbiciel teori spiskowych mogli mieć swoje czaty i wątki na grupach dyskusyjnych. Mogli przedstawiać swoje szalone i niepoparte żadnymi dowodami pomysły na temat Angeli Mitchell i miejsca, w którym obecnie przebywała. Ale żaden z nich nigdy nie pozna prawdy. Żaden z nich nigdy jej nie odnajdzie. Angela nie chciała zostać odnaleziona czterdzieści lat wcześniej i nie chciała

zostać odnaleziona również dziś. Rory uniosła ciasno związany bukiet róż, który zabrała z samochodu. Przyłożyła je do nosa, zamknęła oczy i wciągnęła ich słodki aromat.

W końcu przykucnęła i ułożyła je na ziemi.

Podziękowania

Na moje ogromne podziękowania zasługują:

Cały zespół w Kensington Publishing, który nadal wspiera moje powieści w sposób, który mnie onieśmiela. Dziękuję w szczególności Johnowi Scognamiglio, który walczył o mnie bardziej, niż zdaję sobie z tego sprawę.

Marlene Stringer, agentka i przyjaciółka, która zawsze wyprzedza mnie o dwa kroki.

Amy Donlea, która skleja całą naszą rodzinę. Bez ciebie moje życie byłoby zbiorem fragmentów, których nawet Rory Moore nie zdołałaby złożyć w całość.

Abby i Nolan, za to, że jesteście moimi największymi fanami i że stale prosicie o możliwość czytania moich książek (wciąż nie jesteście w odpowiednim wieku) oraz za wszystkie szalone pomysły na przyszłe powieści. Nie przestawajcie!

Mary Murphy, za to, że tak bardzo się starasz prowadzić ze mną spójne rozmowy na tematy całkowicie niespójne dotyczące rękopisu, który był gotowy zaledwie w połowie, kiedy zacząłem nękać cię o pomoc.

Chris Murphy, za sugestie dotyczące ostatniej wersji i za przesłanie mi portera Dark Lord. Niebawem powinniśmy wypić go sobie wspólnie.

Rich Hills, za pomysł, choć jestem pewny, że twoja pierwotna koncepcja okazała się bardziej zakręcona i perwersyjna.

Mike Chmelar i Jill Barnum za podzielenie się ze mną wiedzą prawniczą, dzięki której mogłem wypuścić z więzienia seryjnego mordercę.

Thomas Hargrove, założyciel i prezes prawdziwego programu Murder Accountability Project, który odbierał moje telefony i wyjaśniał, co mam robić.

Wszyscy moi czytelnicy, za to, że kupują moje książki. Jestem wam niezmiernie wdzięczny.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[Uderzenie](#)

[Pokłosie](#)

[Słodki zapach róż](#)

[Część 1. Złodziej](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 10](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 13](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 14](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 15](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 16](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 17](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 18](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 19](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 20](#)

[Część 2. Rekonstrukcja](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 21](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 22](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 23](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 24](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 25](#)

[Chicago](#)

[Część 3. Dom na farmie](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 26](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 27](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 28](#)

[Chicago](#)

[Rozdział 29](#)

[Chicago](#)

Część 4. Wybór

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Some Choose Darkness*

Copyright © 2019 by Charlie Donlea
Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce © Adina Iftime / Arcangel

Redakcja: Katarzyna Smardzewska / panbook.pl
Korekta: Kamila Sowińska / panbook.pl
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-538-6

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl